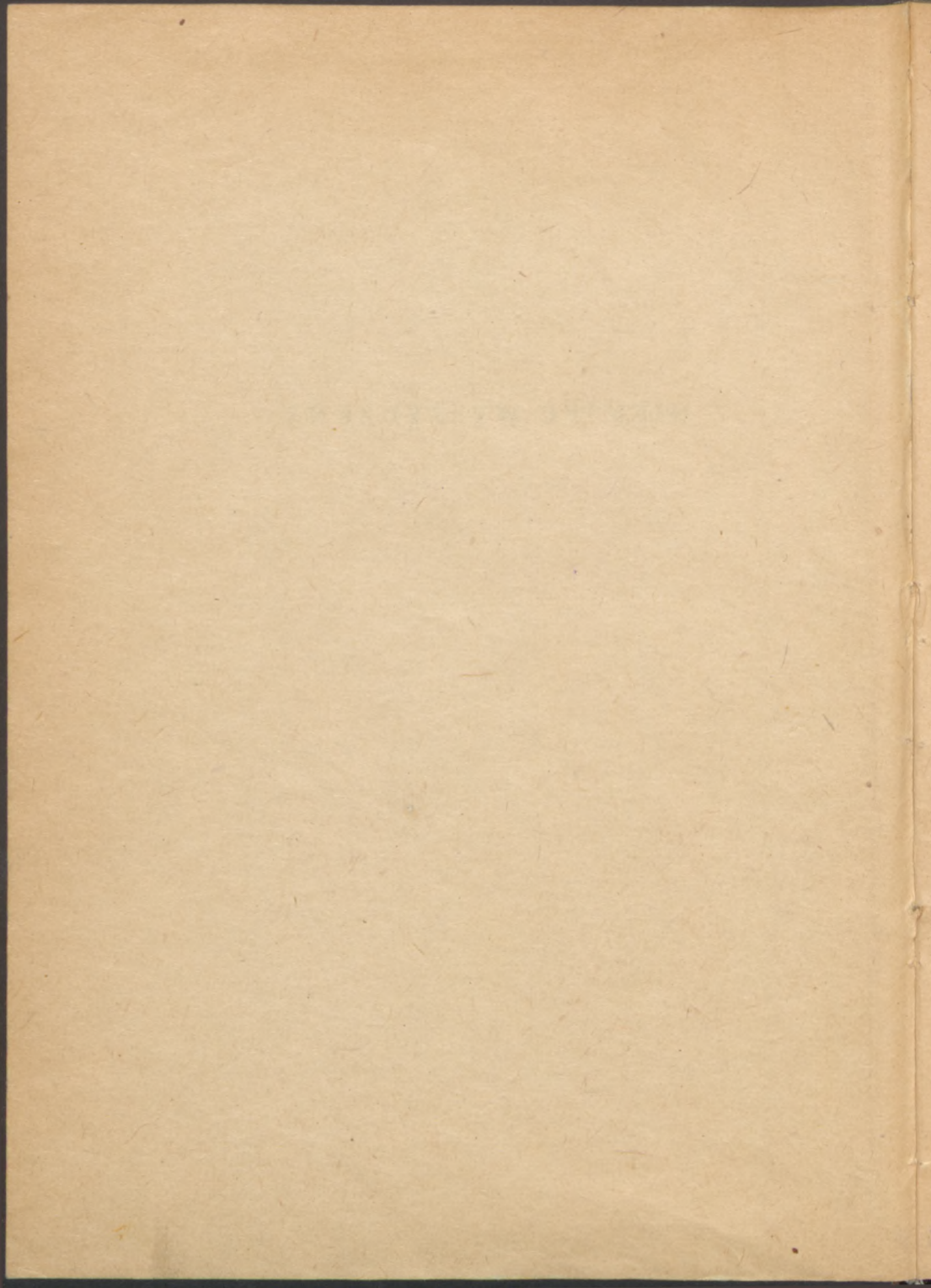


NIEMIEC WYSZYDZONY



52770

STANISŁAW DZIKOWSKI

Niemiec
wyszdyzony

WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK
KSIĘGARNI NAUKOWEJ
T. Szczęsny i S-ka
Toruń, Rynek Staromiejski 36

Nr. 2067

WYDAWNICTWO LUDWIKA FISZERA
i JOZEFA KUBICKIEGO
w WARSZAWIE

ILUSTRACJE ALEKSANDRA SWIDWINSKIEGO,
ORAZ REPRODUKCJE Z WYDAWNICTW
POLSKI PODZIEMNEJ

Wszelkie prawa zastrzeżone
All Rights reserved
Copyright, 1946, by
Ludwik Fiszer, Warsaw
B-O 7034

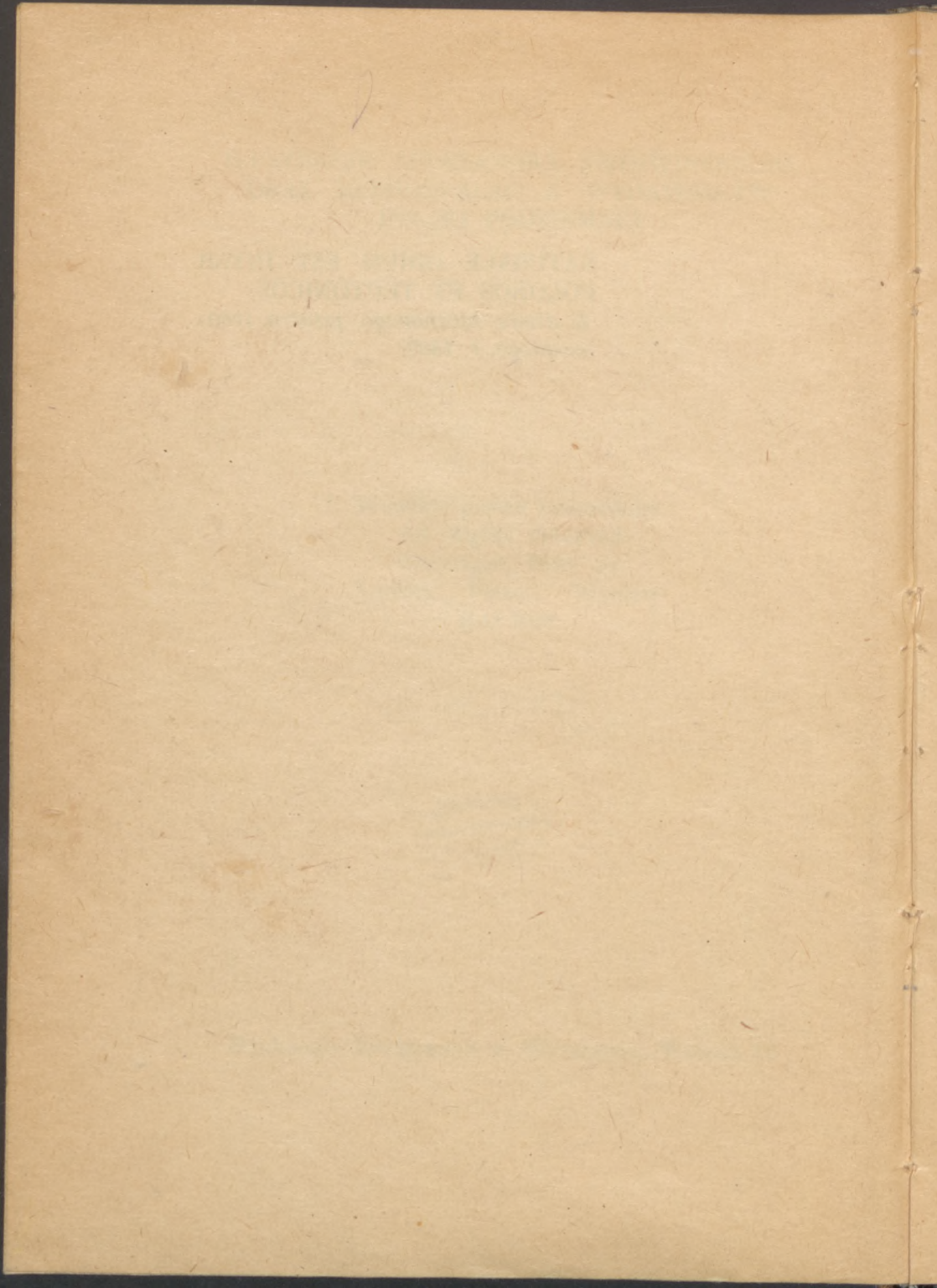
V. 182/69



Drukarnia Krakowska w Warszawie, Wolska 19.

NATURALE ODIUM EST INTER
POLONOS ET TEUTONICOS

*Z dzieła nieznanego pisarza fran-
cuskiego, r. 1309.*



SŁOWO WSTĘPNE

„Niemiec wyszydzony“ jest omówieniem i zarazem wyborem uszczypliwych przysłów, piosenek i opowiadań, które znaleźć można w naszych materiałach etnograficznych i których satyryczne ostrze zwraca się przeciwko dumnym synom „Herrenvolku“. Wydało mi się również, iż koniecznym uzupełnieniem tych dawniejszych tradycji jest choćby częściowe przedstawienie tej walki z Niemcami, którą orężem szyderstwa toczyliśmy podczas ostatniej wojny. Walkę tę obserwowałem osobiście w Warszawie czasu sześciu lat okupacji niemieckiej i jestem najsilniej przekonany, że nieustające oszydzanie Niemców sprzyjało w bardzo znacznym stopniu naszej woli przetrwania najcięższych okresów terroru niemieckiego.

Walka z Niemcami bronią żartu i „kawałów“, nieraz ze staranną dokładnością przygotowanych, nie objawiła się sama przez się. Była ona ściśle związana z tymi antyniemieckimi nastrojami, które wypowiedają się w Polsce od niepamiętnych czasów i które są stałym przejawem wrażliwości na grożące nam niebezpieczeństwo niemieckie. I dlatego w pracy niniejszej starałem się przedstawić choć w części ten pradawny rodowód i powiązać

go z ostatnimi czasami. Nie usiłowałem tematu obranego całkowicie wyczerpać, wymagałoby to znacznego rozszerzenia pracy niniejszej.

„Niemiec wyszydzony“ ozdobiony został rysunkami utalentowanego artysty Aleksandra Świdwińskiego, oraz reprodukcjami z wydawnictw Polski Podziemnej. Jest to próba odzwierciedlenia ostatnich przeżyć z innego niż dotychczas zakresu. Wiemy dziś bardzo wiele o naszej pracy konspiracyjnej, ukazują się wciąż liczne pamiętniki więźniów, odsłania się ze wszystkimi szczegółami piekło obozów koncentracyjnych. Pojawiły się w ostatnich czasach opisy zamachów na Niemców kreślone z wielką subtelnością, ale walka z prześladowaniami hitlerowskimi toczyła się na sposoby wielce różnorodne. W tym właśnie wyrażało się bogactwo życia, bogactwo nieprze widziane przez schematyczny program wroga.

Zadaniem pracy niniejszej jest ukazanie pewnego odcinka tej walki, która trwa już od pierwszej epoki uświadomienia narodowego Polski. Zagadnieniem tym zajmował się już prof. Bystron w swej interesującej książce „Megalomania narodowa“. Prof. Bystron stwierdza, że „nikt dotychczas nie próbował odtworzyć popularnych wyobrażeń o Niemcach“. Pogląd prof. Bystronia dziś nie jest już zupełnie ścisły. Nie wspomina on bowiem o pracy uczonego niemieckiego Kurta Lücka, które ukazało się po książce prof. Bystronia.

Jest to historia nieco dziwna, a nawet zabawna...

Kurt Lück, który w r. 1942 zginął na froncie wschodnim, w swojej karierze naukowej poświęcił się wyłącznie t. zw. zagadnieniom sąsiedztwa polsko - niemieckiego. Jego najważniejszym dziełem bardzo zresztą pracowitym, pozbawionym jednak wszelkiego polotu i ca-

kowicie oddanym celom propagandy niemieckiej, jest wielkiego formatu 500 stronicowy tom p. t. „Mit o Niemcu w polskiej tradycji ludowej i literaturze“.

Książka ta obecnie rzadkość bibliograficzna, doczekała się dwóch wydań. Pierwsze ukazało się w r. 1937. Lück utrzymywał wówczas bardzo uprzejme stosunki z uczonymi polskimi, którzy mu w tej pracy bezinteresownie pomagali i którym zawdzięczał niejedną cenną wskazówkę. Lück dziękował, zwłaszcza profesorom Bystroniowi i Krzyżanowskiemu oficjalnie w przedmowie do wydania pierwszego. Drugie wydanie całkowicie przez Lücka przygotowane i rozszerzone ukazało się już po śmierci autora w r. 1943. Ukazało się wówczas, kiedy w Polsce panował się ponury i tępy terror niemiecki. Książka Lücka była tedy posłusznym narzędziem propagandy niemieckiej. Nazwiska uczonych polskich zniknęły z przedmowy i zachowały się jedynie w obszernych przypisach. Lücka tymczasem kreowano na bohatera i nazwano nawet jego nazwiskiem jedną z ulic Warszawy.

Mimo wszelkich środków ostrożności, książka Lücka, której niewielka ilość egzemplarzy dotarła do Polski, była zjawiskiem groteskowym. Jeszcze w r. 1938 „Kurier Poznański“, oceniając dzieło Lücka pisał: „Gdyby dziś w Niemczech ukazała się podobna książka napisana przez Polaka, zostałaby nie tylko skonfiskowana, ale jej twórca musiałby napewno zawrzeć bliższą znajomość z obozem koncentracyjnym“.

Istotnie w żadnej publikacji nie zebrano jeszcze tak starannie i tak pracowicie wszelkiego rodzaju wymysłów, szyderstw, naigrawań, obelg, drwin, prześmiejchów, żartów, kpinek złośliwych wymierzonych przeciwko

Niemcom, co w tym oficjalnym wydawnictwie propagandy niemieckiej. Płynie stamtąd istna lawina pogardy i nienawiści. Wyrazicielem jej jest przede wszystkim lud polski, który od pierwszej chwili zetknięcia się z naszą germańską poczuł w niej odrazu, podświadomie groźne niebezpieczeństwo zarówno dla nas, jak i dla wszystkich słowiańskich sąsiadów. Ten żywiołowy odór duchowy przejęła potem polska literatura i polska nauka. Nie było w Polsce znaczniejszego pisarza, któryby nie starał się ukazać prawdziwego oblicza kultury niemieckiej wraz z całą potwornością tej rasy nieuleczalnie chciwej i zaborczej. Kurt Lück ograniczając się do tradycji ludowej i literatury pięknej nie uwzględnił tych wszystkich zarzutów, które padały miotane nieustannie od strony polskich myślicieli. A możnaby nimi zapełnić tom jeszcze większy niż dzieło Lücka.

Kiedy „Mit o Niemcu...“ pojawił się w Warszawie, podczas największego rozpierania się „Herrenvolku“, osobliwej dóznaliśmy przyjemności. W oficjalnym wydawnictwie niemieckim krył się niewyczerpany podręcznik sobaczenia i oszydzania Niemców. Zbiór konceptów antygermańskich dostępny był dla wszystkich, skoro sumienny autor znaczniejszą część wywisk w czystej polszczyźnie. Można było to znakomite dzieło położyć na widocznym miejscu i dowoli się zaczytywać rozkosznym dla nas materiałem zebrany tak pracowicie i tak naiwnie, celem udowodnienia ile to niesprawiedliwych i nieuzasadnionych obelg miotają złośliwi Polacy na Bogu ducha winnych Niemców.

Niewątpliwie ukrywa się tutaj zagadnienie, którego pomijać niepodobna.

Narody sąsiadujące ze sobą wyrażają nieraz poprzez

literaturę ludową, przez przysłowia, piosenki i przypowiadki niechęć wzajemną. Napięcie tej wrogości raz wzmagają się, to znowu słabnie. Zależy to w dużej mierze od stosunków politycznych i obustronnych skłonności rasowych, zależy od tego czy wzajemne obcowanie ma charakter zgodnego współżycia czy też z tej lub tamtej strony przejawia się napór groźny i wzmagająca się zaburczość. Niewątpliwie od ściany niemieckiej niebezpieczeństwo nie słabło ani na chwilę. Byliśmy zagrożeni w naszych podstawowych prawach do życia zawsze i wszędzie. Lud polski wyrażał swoją odporność wobec przeciwnika natrętnego i nieubłaganego żartem, szyderstwem, pogardą dla jego charakteru, sposobu życia i obyczajów. Można bez najmniejszej przesady stwierdzić, że nigdzie na świecie nie objawiała się tak żywiołowa niechęć jak między Polakami a Niemcami. Tak obfitego materiału tradycyjnego odporu nie spotykamy na żadnym pograniczu narodowościowym. Stan taki nie mógł istnieć bez przyczyny. Odpór o najwyższym napięciu świadczył o niesłabnącym nacisku. Gdzie indziej istniała zmienność stosunków wzajemnych, pomiędzy nami a naszym zachodnim sąsiadem utrzymuje się nieustający stan wrogości, a wojna toczy się właściwie bez przerwy zarówno na bezpośrednio zagrożonych kresach jak i w samym sercu Polski.

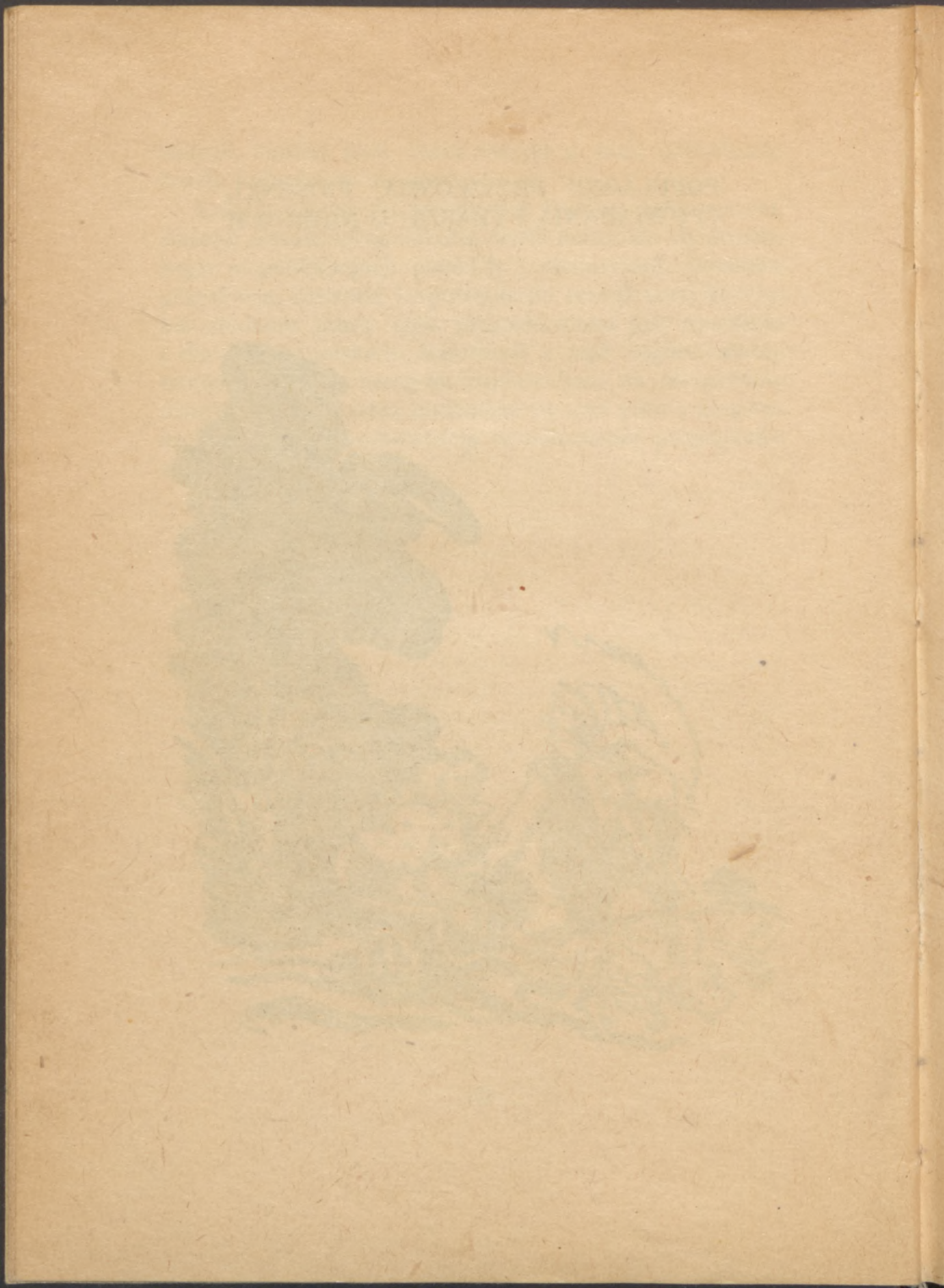
Kurt Lück nie chce nic o tym wiedzieć. Powtarza z uporem wciąż to samo: przez długie lata pomiędzy Polską a Niemcami wojny nie było. Powołuje się w tym względzie na autorytet historyków polskich, z Olgerdem Górką łącznie, tak, jakby dla stwierdzenia najprostszyc faktów potrzebny był wogóle autorytet naukowy. Natoż miał uczone niemiecki nie chce nic wiedzieć o wojnach

innych, choćby tych, które toczyły z nami najezdnicze hordy kolonistów niemieckich.

Książka Lücka jest dziś dla nas źródłem dość cennym. Uczony niemiecki zgromadził wiele materiału rozprósnego w publikacjach polskich i niemieckich. Niektóre przysłowia, piosenki i opowiadania zebrał sam. W tym też zakresie praca jego niepozabawiona jest znaczenia i dla badań polskich. Natomiast z jego uogólnieniami, wnioskami i tak częstymi rozżaleniami na niesprawiedliwość polską, można obchodzić się dziś jako z niegroźną już dzisiaj osobliwością wynaturzonej propagandy niemieckiej.

POPULARNE PRZYSŁOWIA, PIOSENKI,
OPOWIADANIA I FRASZKI O NIEMCACH







DAWNIEJ I DZIS

Tchnienie wrogości pomiędzy Polakiem a Niemcem wylania się z bardzo odległych czasów. Można bez przesady powiedzieć, że gdyby słowiańskie kości odkryte w prastarych grobach mówić mogły, niechybnie wyraziłyby odwieczną do Niemców nienawiść. Słuszność tego przypuszczenia potwierdzają dowody niewątpliwe. Tam bowiem, gdzie zawodzi archeologia i prehistoria, doznajemy pomocy niezawodnej od etymologii roztropnie użytej. Wszelki język zawiera nieraz i przechowuje aż do dni ostatnich najodleglejsze tradycje. U nas taką skamieliną przeddziejową, ukrywającą prawdę niewątpliwą jest samo słowo: Niemiec, które przechowuje prastare szyderstwo. „Tym uszczypliwym przewiskiem — mówi Brückner — o „niezrozumiałym“, a więc niby *niemym* człowieku uraczył Słowianin pierwszych Niemców, którzy napotkał, Bastarnów przed Chr. albo Gotów po Chr. i nazwę tę rozszerzył na wszystkich bliskich im mową czy zbroją“.

Jak tam było dokładnie za dawnych czasów nie wiemy. Prawdopodobnie nie poprzestawano na obcych „niezmych“ ludziach. To pewne jednak, że pierwsze posiewy

wrogości rozrastały się coraz bujniej, o czym świadczą wszystkie pomniki naszego piśmiennictwa i cała niemal historia literatury polskiej. Niemiec oszydzany na wszystkie sposoby mnożył się i przemieniał bardzo różnorodnie. Mamy więc tych przezwisk pogardliwych niezmiernie bogactwo.

A więc: Niemiec, Miemiec, Niemczysko, Niemczuga, Niemczyk, Niemcyk, Niemczę, Niemczak, Niemczuch, Niemcula, Niemczura, Mimosek, Niemczyna, Niemiaszek, Dajczmanek (u Reja), Niemka, Niemeczka, Niemkini, Mymra, Niemra, Niemczanka, Szwab, Świab, Szwabina, Szwabisko, Szwabek, Szwabini, Szwabka, Szwabica, Prusak, Prusaczek, Prusaczysko, Luter, lutrzysko, luteriusz, niedowiarek, odmieniec, potępieniec, cholera, pies, kałaluch, pluder, pludrak, pantoflarz, pończoszka, kapelusznik, szoldra, kusy, kartoflarz, cybuch, pipsteby (od fajki, Pfeiffenstab), Krzyżak, hakatysta, hitler, hitlerowiec. Na Śląsku opolskim nazywano Niemców Rajchami, a w innych okolicach derdysami, fadrami, mutrami, flukami, farflukami i farflukterami, gudakami, jamrotami i t. d. W czasach średniowiecznych nazywano Niemców wedle ich imion ówczesnych, a więc Hans, Hanus, Hanysek, Matys, później Johann i Fryc.

Jednocześnie narastały przysłowia. Najważniejsze z nich i najbardziej w Polsce całej rozpowszechnione brzmi: Póki świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem. Bystron w „Megalomanii narodowej“ szczególną mu poświęca uwagę. „Niewiadomo — stwierdza on — w jakich czasach ono powstało; w każdym razie już Wacław Potocki we wstępie do *Wojny Chocimskiej*, mówiąc o królu Zygmuncie, powołuje się na ten zwrot, jako zdawna już znany: „w którym się rzetelnie owa staro-

polska ziściła przypowieść". Czytamy także w tekście poematu:

Za psa nasza uczynność, bo póki świat światem,
Nigdy Niemiec nie będzie Polakowi bratem,

a potem jeszcze w *Moraljach* :

Nigdy w szczerzej nie żyli Polak z Niemcem zgodnie,
Polaka pycha, Niemca wolność w oczy bodzie.
Stąd przypowieści miejsce, że póki świat światem
Nie będzie nigdy Niemiec Polakowi bratem.

Przypominano sobie to przysłowie pod koniec osiemnastego wieku, gdy po krótkiej erze sentymentu polsko-pruskiego nastąpiły surowe rządy pruskie w Warszawie. Mazurek z r. 1798 tak śpiewa:

Nie może być, parobcy,
Żeby się tak zostało;
W naszej ziemi człek obcy,
By mu się dobrze działo.
Wszak przysłowie to wiecie,
Póki tylko świat światem,
Póty Polak Niemcowi
Nie mógł i nie był bratem.

Do dziś dnia przysłowie to jest żywe i szeroko znane. Poza tym przysłowiem programowym, ujmującym w formie lapidarnej istotę stosunków polsko-niemieckich istnieje jeszcze bardzo wiele przysłów szyderczych, związanych z najrozmaitszymi ocenami charakteru

**WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK
KSIĘGARNI NAUKOWEJ
T. Szczęsny i S-ka
Toruń, Rynek Staromiejski 36**



i obyczaju niemieckiego. Tu i owdzie przewija się i sa-
mokrytyka, jak np. w takich przysłowiowych ujęciach:

Co Anglik zmyśli, Francuz skreśli, a Niemiec doma
nakrupi, wszystko to głupi Polak kupi.

Albo:

Gdzie Polacy chleba nie mają, Niemcy mięso zjadają.

Przysłowia w tym rodzaju są jednak dość rzadkie. Lücker starał się wyłowić wszystko, co jego dowiedze-
niom sprzyjało, ale zdobycz okazała się nader mierna. Polska tradycja narodowa przy każdej sposobności wy-
raża niezmiennie przekonanie, że z Niemcem współży-
cie niepodobna. Olbrzymia większość przysłów polskich
o Niemcu to przede wszystkim zaświadcza. Szyderstwo
przeciwgermańskie rozkrzewiło się u nas nader bujnie.
Niemiec przemawia językiem nie tylko dla nas niezro-
zumiałym, ale i śmiesznym. Niemiec jest diabłem, od-
mieńcem, demonem. Niemiec wyróżnia się charakte-
rem odstręczającym i budzącym politowanie. Niemiecka
kuchnia jest tak samo nie warta jak niemieckie kazanie,
i t. d., i t. d. We wszystkich tych jednak odmianach
tradycji ludowych i literackich znajdujemy na dnie bez
chyby jedną i tę samą prawdę o niezmiennej i do nie-
bezpiecznego działania zawsze skorej wrogości niemiec-
kiej wobec Polski.

Dla przykładu podaję nieco przysłów ujmujących
ogólnie zagadnienie stosunków polsko - niemieckich,
odkładając inne do dalszych rozważań.

Co Polak — to nie Niemiec.

Niemcy pany, a bydło Polany.

Zgoda z Niemcami jak wilkom z barany.

Jak nie będzie z zimy lata, tak nie będzie z Niemca brata.

Pierwej polkniesz promień słońca, nim z Niemcami dojdiesz końca.

Niemiec i Polak, pies i kot.

Od istnienia człowieka Niemiec Polakowi wbija ćwieka.

Co Polaka znuży, Niemcowi na zdrowie służy.

Bądź Niemcowi wierny, to w ostatku tobie piernie.

Z Niemcem to i diabeł do sensu nie dojdzie.

Marna to duma, zaprosić Niemca na kuma.

Kto Niemcowi służy, temu diabeł płaci.

Niemiecka opieka i w zimie dopieka.

Pruski dar: dał i odebrał.

Niemiec dziurki nie robi, a krew wypije.

Do Niemca bez kija nie podchodź.

Niemcowi wierzyć jak i psu.

Wywdzięczyl się jak Niemiec.

Rozmawiaj z Niemcem, a kamień trzymaj w kieszeni.

Kto Niemcowi wierzy, temu pałką mierzy.

Niemiec tylko dobry, jeżeli śpi.

Gadajże z nim, kiedy on Niemiec.

Niemiec w radzie, koza w sadzie, wilk w oborze,
łgarz przy dworze, białogłowa na urzędzie — za diabła
to wszystko będzie.

Tylko dybie na człeka, gdyby jastrząb na kury; nie-
miecka to opieka, odrzeć człeka ze skóry.

Jak Szwab choruje, Polak winszuje, a diabeł się ra-
duje.

Bij go, bo to Niemiec.
Nie dowierzaj Niemcom, bo Niemiec jest odmieniec,
nie dotrzyma wiary.

Wiedzieli snać dobrze Niemcy, że na wrogie uspo-
sobienie sobie u nas zasłużyli skoro ich stare przysło-
wie mówi:

Od Włochów dzielą nas Alpy, od Francuzów rzeki,
od Anglików morze, od Polaków nienawiść.

Inne narody odnosiły się do nich z niemniejszą
niechęcią. Przestrzegają przed nimi przysłowia rosyjs-
kie, ukraińskie, czeskie, serbskie, kroackie, łotewskie,
węgierskie itd.

Niewątpliwie na pograniczach narodowościowych,
zwłaszcza tam, gdzie się toczyły krwawe wojny, łatwo
odnaleźć wzajemną przysłowiową niechęć. Holender np.
objawia nieufność do Francuza, Francuz powie „me-
chant comme un Anglais“. Anglik odplaca pięknym za
nadobne Francuzowi, oraz lekceważy Hiszpana i Portu-
galczyka. Są to przejawy poniekąd prawidłowe. Nie-
zgodność polsko - niemiecka to jednak coś więcej niż
wzajemne uszczypliwości i szyderstwa. Ze strony pol-
skiej to wyraz instynktu i najcięższych doświadczeń...



NIEMIECKI CHARAKTER.

Niemieckie usposobienie, niemiecka spójnia z życiem, niemieckie sposoby dorabiania się nie budziły nigdy zachwytu u ludu polskiego. Przyznawano im za pociągłość, pracowitość, zdolności organizacyjne. Zdarzały się nawet wyrazy podziwu dla osiągnięć gospodarczych, najczęściej jednak powodzenia niemieckie wydawały się podejrzane, uzyskane przez sposoby nieczyste, budzące w nas obrzydzenie, pogardę i wstręt. Niemiecka chciwość, sknerstwo, chytrość, sobkostwo, wtręctwo, a nade wszystko brak powszechnej słowiańskiej cnoty: gościnności — to wszystko razem wytwarzało atmosferę odpychającą, nastrój nieufności, który Niemiec mógł przewyciężyć jedynie całkowitym spolszczeniem się. Często taki nowonawrócony stawał się w niechęci do Niemców gorliwszy niż niejeden rdzenny Polak.

Lud ziemi dobrzyńskiej o takiej z Niemcem opowiada rozmowie:

- Niemcze będziesz jadł kluski?
- Ja.
- A z twojej mąki?
- Nein.

Wiele przysłów wyśmiewa również skąpstwo niemieckie. I tak np.:

U Niemców i mucha się nie pożywi.
Co Polak wypije na dzień, Niemca majątek stanowi.
Przy Polaku i Niemiec się pożywi, a przy Niemcu
ani pies.

U Niemca zawsze po obiedzie.

Niemiec lepszy od Żyda, bo i wody na gorąco nie
da się darmo napić.

Pobożny Luter: sam zjadł jajko, a ubogiemu dał
gorącą wodę.

Niemiec zawsze biedny stęka, ale w domu mu się
pieniądz brzęka.

Szwab kartofle świniom zjadł, świnie nic nie miały
i z głodu zdychały.

Niemce to są ludzie wredne, nawet psy im niepo-
trzebne. To, co ma dać psom, to on zjada sam.

Chciwy jak Niemiec.

Według popularnego mazurka, który przytacza Kol-
berg w drugiej części Krakowskiego, bardzo zabawnie
wyglądały niemieckie uctowania w tych czasach, kie-
dy brali po skórze od Francuzów:

Jasne widać zęby
O ćwierć mili z gęby;
Niemeczki zębate,
Niemczyska garbate.
Stali Niemcy stali
W reductowej sali;
Gdy Polak pił trunek
Gęby nadstawiali.
Sto Niemców festyna,
Wyszła kwarta wina;
Ta niemiecka zgraja,
Zjadła po pół jaja.

Niemiecką odporność, wytrzymałość i gospodarność lud polski w szyderczy ujmuje sposób. Przysłowie z Lubelskiego mówi:

Niemcy kupują ziemię za masło, budynki stawiają za ser, ubranie sobie sprawiają za maślankę, a z serwatki żyją jako żywność.

Podobna jest treść i innych przysłów:

Nawet z błota Niemiec robi złoto.

Gdzie łąki i torf, tam niemiecki dorf.

Niemiec siedzi na spróchniałym pniu i żyje.

Wszędzie, gdzie nikt nie chce tam Niemcy siedzą.

Niemiec jak wierzba, gdzie go posadysz tam rośnie.

Gdzie Polak się śmieje, tam Niemiec wysieje. Gdzie Polak bieduje, tam Niemiec żniwuje.

Kiedy nikt już nie ma chleba, to do Niemca chodzić trzeba.

Gdzie Polacy z głodu umierają, tam się Niemcy wy-
pasają.

Gdzie Polakowi piasek w oczy wieje, tam Niemiec
pszenicę nawet sieje.

Gdzie Polak nie chce, tam Niemiec usiądzie i uży-
wi się.

U Niemca: co figiel to grosz.

Wedle przekonania ludu polskiego Niemiec jest nie tylko skąpy i chciwy, ale i niegościnnie aż do obrzydliwości. Nie ma w nim ani odrobiny godności gospodarskiej, nie przejawia nigdy chęci odpłaty za doznaną krzywdę. Istnieje wiele na ten temat facecji i przypowieści, przytaczam jedną pochodzącą z okolic Łodzi:



U SKAPEGO NIEMCA:

Pewnego razu podejmowano Niemca w polskim domu jako zaproszonego gościa. Stół był zastawiony samymi dobrymi potrawami, gospodarz podsuwał jeszcze gościowi najsmaczniejsze kąski i ciągle go zachęcał:

— Jedz, skoro ci smakuje...

Niemiec nie dał się zbyt prosić i wcinał co się tylko dało. Mimo to Polak wciąż mu nowe podtykał potrawy. Kiedy Niemiec najadł się tak, że jego kaldun więcej pomieścić nie mógł, Polak przemówił do niego:

— Wszystko, co się na stole znajduje było przeznaczone dla ciebie. Jeśli chcesz mi prawdziwą sprawić przyjemność, zabierz to ze sobą.

Niemiec nie namyślał się długo, wyciągnął wielką chustkę, zapakował wszystko, co się tylko zmieściło, podziękował grzecznie i ucieszony pobiegł do domu.

Na następną niedzielę Niemiec zaprosił do siebie Polaka, który się bardzo z tego ucieszył. Niedługo jednak u Niemca bawił. Po godzinie wrócił już do domu.

— No, jakże tam było? — zapytała żona.

— Ach, — opowiadał Polak — u mnie najadł się do syta i jeszcze dużo zabrał do domu, ale ja nie zdołałem się u Niemca pożywić. Trzy razy tylko coś mi tam podsunął, a potem kazał żonie wszystko sprzątnąć ze stołu, mówiąc, że mi widać ich jedzenie nie smakuje...

Okupacja pruska łączyła się w pojęciu ludu zawsze z wyzyskiem gospodarczym. Mówią o tym współczesne piosenki:

.....
Boże! pełny litości,
Do Cię prośby wnosimy,
Pozbawże nas tych gości,
Wysłuchaj nas, prosimy.
Bo nas Niemcy nie słyszą,
Ni się żalić nie dadzą,
Tylko piszą a piszą,
A pieniądze gromadzą.
Dawniej człowiek bywało,
Gdy do miasta przyjedzie,
To się wszystko sprzedało,
Nazad z groszem wyjedzie.
Teraz Niemcom płac a płac,
Diabeł nadał tę sprawę,
Ani można ich napchać,
Gdyby wory dziurawe.

Podobna myśl przewija się i w piosence: „Po daw-
nemu zwyczaju“:

Przyszli Niemcy do kraju
Według swego zwyczaju,
Z cielęcami torbami,
a teraz są panami.
Oj biedaź nam Mazury,
Jakiej nigdy nie było,
Prusy nas drą ze skóry,
O czym nam się nie śniło.
Założyli rogatki,
Każą płacić podatki.
Drogi tytoń, tabaka,
Każdy Niemiec sobaka.

.....



NIEMIECKA CHYTROŚĆ I NIEMIECKA GŁUPOTA

Każdy kto posiada jakie takie doświadczenie życiowe, ten wie, że człowiek chciwy i chytry najczęściej nie odznacza się prawdziwą mądrością, lecz wprost przeciwnie objawia umysłowe ograniczenie. Tradycja ludowa utwierdza najczęściej tego rodzaju spostrzeżenia w formie niezłomnej zasady. Tak się też ma sprawa z Niemcem, któremu wedle przekonania ludu brakuje prawdziwego rozumu. Zobaczmy później w postaci niemieckiego diabła tę pozorną przeciwstawność doprowadzoną do klasycznego istic zespolenia. Narazie notuję kilka charakterystycznych przysłów:

Co Niemiec to generał.
Niemiec chytry jak cholera.
Niemiec cały świat okpił.
Niemiec bez figła z ławy nie spadnie.
Sztuką Niemców tłuką.
Niemiec i na drewnianym koniu pojedzie.

Mimo to wszystko:

Głupi jak Niemiec.
Niemiec duży jak topola, ale głupi jak fasola.

Mądry Polak po szkodzie; a Niemiec, niech sobie to przysłowie kupi, jak i przed szkodą, to i po szkodzie głupi.

Niemiec mądry jednak głupi, bo go Polak w worku kupi.

W mowie potocznej często się słyzy określenie: jasne jak filozofia niemiecka, co jest pokrewne francuskiemu wyrażeniu: faire un livre á l'allemande, i oznacza sposób pisania uczony, lecz niezrozumiały. U Dostojewskiego prawdziwy filozof niemiecki, na miarę Kanta, odznacza się fenomenalną głupotą.

Facecji ludowych na temat głupoty niemieckiej jest bardzo wiele. Oto jedna z najzabawniejszych. Wyjąłem ją z pierwszego tomu opracowanych przeze mnie „Klehd polskich“.

KOBYLE JAJO

Było to wówczas, kiedy Niemcy zaczęli się znowu sprowadzać do Polski. Przyjeżdżali z cielecymi torbami na wózkach w psy zaprzęgniętych i wykupywali ziemię, osiedlając się po wsiach. Pracowali zawzięcie, ale jeszcze lepiej umieli drzeć z ludzi skórę, a sami żywili się byle czym. Żarliby dużo klusek, ale z cudzej mąki, a jak się sami dobrze najeść chcieli, to się najadali suczą kielbasą lub szpekem z końskiego ogona. Dogadać się z nimi było trudno. Wiarę luterską albo kalwińską wyznawali, a niektórzy ludzie nawet opowiadali, że każdy z tych odmieńców ma u nogi po sześć palców.

Często pokpiwano sobie z pludraków, a nieraz nawet udało się wypłatać jakiemuś Niemcowi niezgorszego figla.

I tak pewnego razu zdarzyło się, że jeden z takich „olendrów“ wybrał się na targ do miasteczka. Ujrawszy tam ogromnej wielkości dynię, którą chłop miał na sprzedaż, zapytał:

— Co to jest?

— Kobyle jajo, — odpowiedział bez wahania chłop-filut.

— No, a co się z tym jajem robi? — dowiadywał się rozciekawiony Niemiec.

— To jajo możecie sobie sami wysiedzieć: Jak będziecie na nim siedzieć bez przerwy, to po czterech miesiącach wylęgnie się wam źrebak, a po roku będziecie mieć konia.

Po długich targach zapłacił Niemiec chłopu kilka talarów i zabrał dynię.

Przyszedłszy do domu wysmiał polskiego wieśniaka, że mu za tanie pieniądze sprzedał rzecz kosztowną i począł naradzać się z żoną, gdzie ma wysiadywać to jajo. Żona mniemała, że w domu na takie sprawy miejsca nie ma, najlepiej będzie, jeżeli się gdzieś schowa na polu we zbożu. Trzeba bowiem, aby sąsiedzi nie wiedzieli i nie zazdrościli, bo napewno nic by się nie wylęgło. Jak urządzili tak się i stało. Żona nosiła mu teraz wasserzupki i kartoflanki, a nakoniec gdy już osłabł, kluski z owocami i wieprzowinę. Pludrak obżerał się co niemiara i nabierał coraz lepszej wagi. Stał się wreszcie zupełnie ociężały. Zawczasu cieszył się z oczekiwanego źrebaczka. Myślał sobie, że to będzie krzepki koń, koń jak ptak, bo w jajach tylko ptaki ze skrzydłami bywają. I tak mu zeszyły cztery tygodnie, a tu jeszcze nic nie widać. Zniecierpliwiony rozmaicie już zaczął myśleć. Może kobyle jajo zażył, kiedy z niego na chwilę zląził, może trafił na jajo

niezależne. Wreszcie powiedział sobie, że jak za tydzień nic nie wysiedzi, to wyrzuci je do lasu.

Tymczasem zdarzyło się, że dziedzic tamtejszy wyprawiał właśnie polowanie dla swoich gości i psy pogoniły w tę stronę, gdzie Niemiec odsiadywał swoje rekolekcje. Dziedzic tuż za psami, zobaczywszy zająca, wystrzelił i ubił go. Działo się to wszystko tuż obok owego heretyka, a że dynia pod nim była już nadgnita, więc Niemiec zląkszy się upadł na ziemię. Wtem ujrzał, że zając pada obok niego, więc załamał ręce i począł wołać w najwyższej rozpacz:

— Moje zibie, moje zibie:

A dziedzic na to:

— Głupi jesteś, przecież to zając...

Niemiec rozumiejąc, jakoby szlachcic mówić o zajęciu, począł się skarżyć:

— Ej, było to panu zająć, a nie zastrzelić, pif, paf.

Kiedy wrócił do domu, długo się żalił żonie. Wciąż opowiadał, że ten koniczek był taki krzepki. Przecież źrebię jak się urodzi, to z miesiąc chodzić nie może, a ten z kobyłego jaja odrazu tak chyżo uciekał. Byłby go chował i karmił gołym owsem, siankiem zielonym i ziółkiem pachnącym, aby mieć konia najlepszego chyba gąstunku na świecie.

Przez długi czas nie mógł się opamiętać z żalu. Ile razy wybrał się na jarmark, zawsze uważał, czy kto czasem nie sprzedaje kobyłego jaja...

Na pograniczu pomorskim Niemiec występuje we wszystkich klechdach, opowieściach i facecjach jako postać ujemna lub wyszydzona, ukazuje się nawet jako nieposkromiony chciwiec, który wędruje z Panem Je-

zusem i naprózno usiłuje Go naśladować w uzdrawianiu ludzi umierających. Niemiecki mieszczuch wreszcie występuje we wszystkich ulubionych przez ludy europejskie opowiadaniach o ludzkiej głupocie. Do tego kręgu należy facecja, którą powtarzam według Lücka:

GDAŃSKI LEKARZ I GDAŃSKI ASTROLOG NA KASZUBACH

Za dawnych czasów żyli w Gdańsku niemiecki lekarz i astrolog. Obaj niewiele mieli do roboty, skoro ludzie tutejsi dobrego zażywali zdrowia i nie troszczyli się wiele o pogodę.

Pewnego razu rzekł lekarz do astrologa:

— Kochany przyjacielu, chodźmy na wieś na Kaszuby. Może tam uda się nam trochę grosza zarobić. Ludzie na wsi są zależni od pogody, a ponieważ ciężko pracują muszą chorować od czasu do czasu.

Astrolog przystał na ten zamysł. Obaj opuścili miasto i wędrowali przez cały gorący dzień letni. Zmęczeni i głodni zaszli do kaszubskiego gburą, którego chata znajdowała się na skraju lasu. Dobroduszny gospodarz zaprosił ich na nocleg i wieczerzę, nie żądając żadnej zapłaty.

Kiedy bydło wróciło z łąki, gospodyni podała wieczerzę. Wówczas lekarz zapytał naumyślnie astrologa:

— Jaka pogoda będzie pojutrze?

— Pojutrze będzie deszcz — odpowiedział astrolog.

— Ach nie, — wtrącił się gospodarz — pojutrze będzie na pewno piękna pogoda.

— Moje wiadomości są lepsze od twoich, — rzekł astrolog — gdyż przepowiadam pogodę zawodowo.

Mimo to gbur upierał się:

— Pojutrze będzie piękny dzień, a słońce będzie świecić bez przerwy.

— Skądże ty wiesz o tym? — zapytał astrolog.

— Spójrzij przez okno! — odpowiedział gbur. — Kiedy mój buhaj skacze wesoło przed wejściem do stajni, zawsze drugiego dnia piękna panuje pogoda.

Astrolog zamilkł, bo nie wypadało mu spierać się z głupim chłopem.

Kiedy wszyscy najedli się już do syta i zamierzali udać się na spoczynek, gospodarz zapytał:

— Matko zjadłbym jeszcze jakąś drobnostkę. Może masz tam coś jeszcze?

— Z obiadu został jeszcze pełen półmisek grochu. Czy mam ci go zagrzać?

— Ach, nie rób sobie kłopotu! dzisiaj jest bardzo gorąco, zjem groch na zimno...

I ku zdumieniu gości Kaszuba wsunął sobie wielki półmisek zimnego grochu, poczym oświadczył, że narzecie się najadł.

Kiedy mieszczenie gdańscy ułożyli się na słomie, rzekł lekarz do astrologa:

— Jutro będzie dla mnie robotą! Po takiej wieszce nie tylko człowiek, ale i koń by zachorował.

Zasnęli, ale wczesnym rankiem obudziło ich jakieś gwałtowne stukanie. Astrolog wyjrzał przez okno i zobaczył, że gospodarz nawpół ubrany rąbie drzewo.

— Co ty robisz tak wcześnie? Dlaczego odwalasz robotę, którą powinien wykonać twój parobek? Ty się mozolisz, a ten nicpoń śpi.

— Kochany przyjacielu, — odpowiedział gospodarz — zwykle drzewo rąbie u nas parobek, ale wczoraj wieczorem zjadłem trochę za wiele i zepsułem sobie żołądek. Dlatego właśnie rąbię drzewo, bo to jest najlepsze lekarstwo na zapchane kiszki.

Lekarz i astrolog zatrzymali się jeszcze u gospodarza cały dzień i następną noc. Kiedy chłop nie zachorował, a słońce wciąż pięknie świeciło, astrolog tak przemówił do lekarza:

— Wracajmy do miasta! Tu na Kaszubach, gdzie buhaj przepowiada pogodę, a siekiera leczy ludzi, umarliśmy z głodu...

Podziękowali tedy pięknie gospodarzowi za gościnność i wyruszyli z powrotem do Gdańska.



TCHÓRZLIWOŚĆ NIEMCA

Narody sąsiadujące, które od czasu do czasu wojują ze sobą, przechwalają się wzajemnie, jak dwóch awanturników przed bijatyką. Prastary zwyczaj wojowniczy każe przed walką lżyć przeciwnika słowami, dla nabrania odwagi. Już u Homera znaleźć można przesadną wybujałość takich przechwałek, które w rzeczywistym starciu okazywały się dość zawodne. Jeżeli np. Anglik twierdzi, że łatwo sobie poradzi z trzema Francuzami, to wiemy dobrze, iż mamy do czynienia z przesadnym samochwalstwem. Ale są narody, które nigdy nie grzeszyły zbyt wielką odwagą. Takie ujemne mniemanie rozpowszechnione jest np. o Włochach i Austriakach. Popularne przysłowie mówi, że po to Pan Bóg stworzył Włochów, żeby Austriacy mieli kogo bić. Co do Niemców to wedle powszechnego przekonania są oni niebezpieczni tylko jako zorganizowana i zdyscyplinowana masa, niezdolni natomiast do bohaterstwa ani do walki indywidualnej. Wojnę przygotowują z wrodzoną sobie systematycznością, ale kiedy bieg wypadków zaskakuje ich, nie posiadają żadnych zdolności do improwizowania. Są urodzonymi napastnikami wykonywującymi ze ścisłością doskonałą plan od dawna przygotowany. Wów

czas się właśnie przejawia przysłowiowy *furor teutonius*. Polacy nie pragną żadnych zdobyczy, bronią natomiast zaciekle swego stanu posiadania i wówczas stają się naprawdę niebezpieczni. Tak też trzeba rozumieć wszystkie przechwałki nasze wobec Niemców. Cudzego nie chcemy, swojego nie damy. Ta zasada wywodzi się jeszcze z tych czasów, kiedy pierwsze hordy germańskie uderzały na nieprzeczuwających nic złego Słowian. Nie wątpliwie we wszelkich starciach między Niemcami a Polakami, pierwsi górowali przygotowaniem i organizacją, drudzy szaleńszym, często nawet niepotrzebnym bohaterstwem. Tak było np. w bitwie pod Kutnem, gdzie kawaleria polska atakowała czołgi i zmotoryzowaną artylerię niemiecką. Niewątpliwie jednak w jakichś zwadach karczemnych pomiędzy chłopami polskimi a kolesnistami niemieckimi, we wszystkich walkach orężnych o równych szansach, Polacy odnosili raczej sukcesy dzięki odwadze i impetowi działania. Może więc w naigraniach się naszych z niemieckiego braku odwagi jest nieco prawdy.

Popularna piosenka ludowa tak szydzi z Niemców:

W Warszawie na sali
Niemcy tańcowali.
Polak wąsem ruszył,
Niemcy uciekali.

A w r. 1806 śpiewano w Warszawie:

Kusy fraczek, kusy,
Harcabek po uszy;
Polak szablą ruszy,
Niemiec już bez duszy.

Nie brak również i przysłów na ten sam temat.

Dużego szwaba pobije polska baba.

Jeden Polak siedmiu Niemców pod pachami zdusi.

Słusznie nosisz imię Szwaba, boś ty zuch jak stara baba.

Kopa Niemców, a wiertel pierza.

Widziałem na wierzbie jak się Niemcy piekli. Ja do nich widelcem, a oni uciekli.

Jeszcze w XVI wieku współczesny wierszyk głosił:

Niemiec pyszny i hardy,
Rad widzi krwawe boje.
Wszak pola nie dostoi,
Bo się Polaka boi.



JAK NIEMIEC WYGLĄDA.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, żeśmy w niektórych okresach ulegali znacznym wpływom niemieckim. Pożyczki językowe niemieckie są u nas bardzo okazałe. Przyjmowaliśmy od nich niejedną zdobycz kulturalną i cywilizacyjną, począwszy od najwcześniejszego czasu obcowania. Niekiedy wypełniali oni zadania pośredników, dzięki którym przenikała do nas kultura zachodnia. Niemniej jednak z wpływów niemieckich otrząsaliśmy się niejednokrotnie bardzo stanowczo. Tak było np. w XVI wieku, kiedy kultura włoska i polerowane obyczaje Odrodzenia, przyjęte z pewnym umiarem, daleko nam lepiej przypadły do smaku niż niemieckie ciężko strawne pomysły. Przewyższaliśmy bowiem zawsze Niemców oglądą towarzyską, dowcipem, wdziękiem w rozmowie i tańcu, powabem gorętszej uczuciowości, i t. d.

Aleksander Brückner, którego trudno pomawiać o niechęć do Niemców, pisze w drugim tomie „Dziejów kultury polskiej“: „Ale i w domu i za granicą ujmował sobie Polak ludzi uprzejmością i żywością, odbijającą od ciężkości niemieckiej; Beauplan wyraźnie zaznaczał to podobieństwo do Francuzów; grzeczność była rysem wybitnym i imponowała Niemcom...“.

Kurt Lück acz z niechęcią i ze zastrzeżeniami przyznaje nam wyższość towarzyskich zalet: dar żywej rozmowy, gościnność, uprzejmość, temperament. Te walory, stwierdza żałośnie, odciągały i wynaradawiały tyście naszych synów. To, co Polak traci przez brak talentu organizacyjnego, wytrwałości i gospodarności nadrabia przez zniewalającą siłę swego usposobienia. Dlatego właśnie Bismarck mówił o niebezpieczeństwie polskiego romantyzmu dla duszy niemieckiej.

Poświadcza również Lück, że sztuka tańca jest Polakom wrodzona. Sarmaccy kawalerowie uchodzili wszędzie za najlepszych tancerzy. Polonez i mazur odbywały triumfalny pochód przez całą Europę. Jeden z pisarzy niemieckich stwierdził w r. 1759, że odtańczenie poloneza przez Niemca i Polaka ma się tak do siebie, jak sylabizowanie abecadła do doskonałego wykładu artysty. Znany podróżnik po Polsce Schultz, który nie szczędził nam przy różnych okazjach przykrych uwag, zachwyca się pełnym wdzięku sposobem, jakim odznaczają się Polacy w swoich tańcach narodowych.

I tu również drzemie groźne dla Niemiec niebezpieczeństwo:

„Niejedna niemiecka dziewczyna i niejeden niemiecki młodzieniec — mówi Lück — stracili swoje serce na słowiańskiej sali tanecznej i przez małżeństwa mieszane przepadli dla nas na zawsze. Namiętność innego narodu porwała ich i podobała się im więcej niż poważna, gospodarcza i narodowa walka na ziemi niemieckiej“.

Za te wszystkie uznania nie mamy się czym Niemcom odplacić.

Ciężkość, nieokrzęsaność i grubość niemiecka są u nas przysłowiowe.

„Satyra, słowna czy plastyczna, — pisze Bystron w „Megalomanii narodowej“ — daje nam pewien konwencjonalny obraz typowego Niemca: korpulentnego, często opasłego, o powolnych ruchach, jakby schematycznie na komendę wykonywanych. O przykład nie trudno, wystarczy zaglądnąć do któregoś z pism humorystycznych, polskich, francuskich czy nawet południowo niemieckich.

Dodać można, że obraz to wcale dawny: już Andrzej Morsztyn w wierszu *do Imci pana Jana Szumowskiego* wyśmiewa:

„niemieckie surowe postawy,
nasztychowne brody i powagę,
Oczy na szrubach i słowa na wagę,
Rady z zegarka...“

Znacznie jaskrawiej wyrażają się przysłowia i śpiewki ludowe:

Niemiec karaluch opasły ma brzuch.

U Niemczaka wielki brzuch, marna siła, marny duch.

Niemcze, karaluchu, kartofle masz w brzuchu, sieczkę masz w głowie, a w nogach ołowie.

Idź ty Szwabie, ty garnkarzu z twoją brzydką, świńską twarzą. Bo szwabska twarz taki wygląd ma, jakby Szwab codzien żaby jadł.

Polak bez wąsów: bez dachu chałupa. Niemiec bez fajki, wygląda jak d...

Waśń niemiecko niemiecką pogłębiała za dawnych czasów także i różnica stroju. Niemiec wówczas wyglądał zawsze inaczej i przy każdym spotkaniu narzucał choćby wzrokową obcość, co dawało sposobność do prześmiejów, drwinek i szyderstw.

Niemiec ubierał się kuso, co wobec obszernych, starodawnych szat polskich sprawiało wrażenie śmieszne i pocieszne. Strój niemiecki, a właściwie zachodni, bo go i francuskim nazwać można, zdobywał sobie i w Polsce miejsce, aż wreszcie zwyciężył. W XVIII wieku toczyła się walka jakby z naporem cudzoziemczyzny, godzącej w staropolski obyczaj.

„Nareszcie — opowiada Kitowicz — połowa narodu odkryła się niemiecką suknią. Na wszystkich zjazdach publicznych prezentowały się oczom dwa narody: jeden polski, drugi niemiecki“.

„Młodzież osobiwie powracająca z zagranicy, upatrywała dla siebie w stroju cudzoziemskim jakąś dystynkcję; i choć nie w jednej kompanji, mianowicie na sejmikach, tym polskim Niemcom fałdów przetrzepano jedynie z przyczyny stroju, na który krzywo patrzyli długo sektatorowie polskiej sukni, jednak takowe momentalne przypadki nie trwały gustu paniczom do niemieczyzny, gdy w nagrodę od białej płci pierwsze względy odbierali. Jeżeli się do damy zabierało dwóch konkurentów równej fortuny i talentów, a było w mocy damy obierać sobie męża, bez wątpienia obrała sobie Niemca, a Polaka odprawiła. Jeżeli rodzice lub opiekuni obierali pannie męża i byli za Polakiem, ale panna płakała, to mu kładli kondycją, aby się przebrał po niemiecku“.

Mimo to szyderstwo z niemieckiego stroju nie ustało. Już w XVI wieku wyśmiewano pludry czyli niemieckie spodeńki. Pludraka znaleźć można w najnowszej literaturze polskiej i u ludu. Śmiano się z harcapów i harbajtli, na które niepodobna było nałożyć czapki.

„...kiedy puder wszedł jeneralnie na wszystkie gło-

wy, — opowiada Kitowicz — nie nakrywali głów, a którzy sobie kapeluszem z pod pachy wyjętym uklon oddawali; nie nakrywali dlatego głowy, ponieważ fryzura modna, wytrefiona i grubo pudrem przyprószona, traciła od kapelusza swoje ułożenie, kapelusz się pudrem oblepiał i kiedy w izbie musiał z głowy przenieść się pod pachę, suknię plamił. Było tedy śmieszno Polakowi, ciepłą czapką głowę nakrytą mającemu, widzieć Niemca w najcieńszy mróz z gołą głową po ulicy biegnącego, a w futrze ciężkim, wilczem albo niedźwiedziem albo innem, lecz moda wszystko wytrzyma“.

Zanim moda zachodnia w Polsce zwyciężyła, długo jeszcze wywoływała zdumienie i oburzenie. Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ tak o tym ustami Pankracego opowiada:

„Pamiętam, chociaż byłem wtenczas małe dziecie,
Kiedy do ojca mego, w oszmiańskim powiecie
Przyjechał pan Podczaszyć na francuskim wózku,
Pierwszy człowiek, co w Litwie chodził po francusku.
Biegali wszyscy za nim, jakby za rarogiem,
Zazdroszczono domowi, przed którego progiem
Stała Podczaszyca dwókolna dryndulka,
Która się po francusku zwała „kariulka“.
Zamiast lokajów w kielni siedziały dwa pieski,
A na kozłach Niemczysko chude, nakształt deski:
Nogi miał długie, cienkie, jak od chmielu tyki,
W pończochach, ze srebrnymi klamrami trzewiki,
Peruka z harbajtlem, zawiązanym w miechu.
Starzy na on ekwipaż parskali ze śmiechu,
A chłopci żegnali się, mówiąc, że po świecie
Jeździ weneckj djabeł w niemieckiej karecie“.

Kiedy w XVIII wieku fala kolonistów niemieckich przywędrowała do Polski w drewnianych pantoflach, często ich przy tej okazji niemiłosiernie wysmiewać. I tak np.:

Niemcy zawsze na pokutach,
Bo im nie wolno chodzić w butach.
Tylko w drewniane kajdany,
Choćby też największe pany.

Niemca poznać można po kapelusie,
Bo go prosto na głowie nosi.
A Niemczanka, gdy się urodziła,
Zaraz w pantoflach chodziła.

Przyjechały dwa Szwaby,
Miały na łbach harcaby.
I na nogach pantofle,
Zjadły świniom kartofle.

Jak się Luter urodził,
To zaraz w pantoflach chodził.

Niemcy do Polski
W pantoflach przybyli.
Teraz chodzą w butach,
Bo się dorobili.

Lud polski śmiał się z niemieckich osobliwości ubraniowych aż do ostatnich czasów. Śmiano się z niemieckich gołych kolan, niemieckich pończoch; braku kożu,

cha, z niemieckich betów, chociaż pierzyna przyjęła się
i u nas na wsi.

Do niedawna szydzono w Poznańskim:

U Niemców kobiety w workach chodzą,
A chłopci w spodniach jak bociany brodzą.

Nie ma takiej części niemieckiego ubrania, która by
przez Polaków nie została oszydzona — skarży się Lück.





NIEMIEC DEMONICZNY

W miarę niniejszego opowiadania mimowolą narasta demoniczność Niemca, która wreszcie szczytu dosięgnie w postaci niemieckiego diabła. Wszystkie dotychczas wymieniane cechy niemieckie są przeważnie elementami jego demoniczności. Niezrozumiałość, chciwość, zaborczość, skąpstwo, chytryść, odmienność stroju, inna wiara — to wszystko razem sprawia, że Niemiec staje się coraz bardziej niesamowitą postacią nawet wówczas, kiedy mu jeszcze nie wyrosły rogi i ogon. Prostactkie przysłowie ludowe, które Karłowicz pomieścił w „Słowniku gwar polskich“ powiada: „Kany się Niemiec wys., tam siedem roków trawa nie rośnie“.

Lud puszczy sandomierskiej, który tak wybitną objawia skłonność do znajdowania w ludziach i wydarzeniach pierwiastka demonicznego, taką opowiada niesamowitą klechdę:

NIEMIEC KAMIENSKI

Do Kamienia, niedaleko Sokołowa, przyszedł jakiś Niemiec i tam zamieszkał. Kupił sobie piękny dom, ogród, sad i cztery stajania gruntu. Przy sobie nie miał nikogo,

ani córki, ani syna, ani stryjka, wujka, swata ani żadnej służki, choć trzymał dwie krowy, jednego konia i psa. W domu, w polu i na obejściu wszystko sam robił. Sprawił pole, orał, siał, żął, pokładał, krowy i konia pasał, nawet sam sobie warzył.

Do żadnego z Polaków nawet słowem jednym nie zagadał. Mówili ludzie, że po polsku, po naszymu nic nie rozumie. Czasami tylko z Niemcami gwarzył, ale i oni od niego stronili, jakby się czegoś bali. Pomiedzy sobą Niemcy o Niemcu Kamieńskim dużo szwargotali, naszym jednak nic prawdy powiedzieć nie chcieli. Ludziska z nich przecież skryte. Byleby się im dobrze działo, o nas nigdy nie dbali.

Zachodzili nasi na najrozmaitsze sposoby, żeby się co nieco o tym dziwacznym człowieku dowiedzieć. Ale cóż, kiedy w dzień on sam siebie zamykał, a w nocy zły pies ujadał i nikogo nie dopuszczał. Ludzie namawiali piękne dziewczyny, a one podchlebiali się Niemcowi, który musiał mieć bardzo dużo gotowych pieniędzy. Ale on się do nich nawet odezwać nie chciał. Wybrał się do niego z namowy ludzkiej żyd dla handlu dobrego, ale on i jego nie puścił.

Kiedy już żadnego nie było sposobu, dwóch urlopników, walnych chłopaków, kupiło w mieście trucizny i zmieszało ją z mięsem. W nocy zakradli się do Niemca, cisnęli galki psu, a ten zjadł i wnet zdechł. Chłopacy ruszyli śmiało do chałupy z kijami, a tu drzwi zamknięte. Zaczęli szukać Niemca, lecz nigdzie nie było widać człowieka. Tylko chmara kruków krakała na stole, na ławach i na przypiecku. Ponad nimi wysoko na piecu siedział jakiś olbrzymi, żółty ptak z krzywym dziobem i długimi, ostrymi pazurami. Wszystko cisnęło się na woja,

ków z wrzaskiem okrutnym. Wtedy starszy parobek wystrzelił z piszczela i zabił dużo kruków, a resztę powybił drugi palicą. Najcięższa była robota z wielkim żółtym ptakiem. Wojowali z nim nasiekłymi i żelaznymi widłami, aż go wreszcie zatłukli.

W chałupie znalazły się srogie skarby. Chłopaki zabrali tyle ile unieść zdołali i uciekali z nimi za lasy i rzeki. Ale kiedy niedaleko Leżajska trafił ich północek na Sanie, potopili ich tam djabli ze wszystkimi bogactwami.

Nowinki religijne, reformacja nie zdołały się przyjąć w Polsce tak jak w innych krajach. Szczególnie opornym dla nowych prądów religijnych okazał się lud, zwłaszcza na Mazowszu. Niechęć do cudzoziemskiej wiary połączono z niechęcią do Niemców. Popularne w całej Polsce przysłowia mówią: *Niemiecka wiara, psia wiara. — Co Niemiec, to heretyk.*

„...cały impet nienawiści — pisze Bystron w „Megalomanii narodowej“ — do ewangelików, wzrastający w toku dyskusji religijnych XVI i XVII wieku, a dochodzący do szczytu w czasie zwycięstwa reakcji katolickiej, zwrócił się przeciwko Niemcom. Są co prawda także i Niemcy katolicy, i to w bardzo poważnej liczbie, ale popularna opinia uprościła sobie jak zwykle, to zagadnienie i nawet katolika Niemca skłonna jest uważać za coś gorszego, za niewiernego, niespełniającego obowiązków religijnych, nieszanującego kościołów i świąt... Heretyków wyobrażano sobie najrozmaiciej, przeważnie w dość nieokreślonej, choć potwornej postaci. Ów Mazur, który chciał (w XVII wieku) lutra zobaczyć, aby się przekonać, czy to człowiek, czy coś innego, żyje do dziś

dnia; *ty luter jesteś, nie człowiek*, wymyślają na Podlasiu. *Pół Niemca, pół kozy, niedowiarek Boży*, mówi się powszechnie, że lutry mają po sześć palców u nóg. W każdym zaś razie, choćby heretyk nie był jakimś niezwykłym straszylem, to jest z natury kimś złym, niezycliwym, nie umiejącym się odpowiednio zachować: *tyś jeszcze gorszy niż luter*, orzeka wyzwisko. Oczywiście, jest on także bezbożnikiem; niedowiarek i luter jest mniej więcej tym samym. *Lutry, kalwiny, bezbożne syny, z oczyny matki, chcą szarpać płatki*, mówi bardzo niegdyś popularna pieśń konfederatów barskich“.

Niema takiej okolicy w Polsce, gdzieby się nie znalazły uszczypliwe przysłowia i piosenki na temat nie-mieckiej, luterskiej wiary. I tak naprzykład:

Stała się w Polsce trwoga.
Czy od ludzi, czy od Boga?
Przez nieszczęsnych heretyków,
I nie dosyć katolików.

Myślicie, wy Szwaby,
Że będziecie w niebie?
Przyjdzie diabeł z workiem,
Weźmie was do siebie.

A wy Niemcy, wy nie wiecie
Wasza wiara siedzi w życie.
Jak Polaki żyto zerzną,
Waszą wiarę djabli wezmą.

Szwab, drab kuternoga,
co nie wierzy w Pana Boga.
Nie ma ojca ani matki,
ma na spodniach tysiąc łatki.

Szwab klnie i tańczy,
Kiedy Polak się modli i świętuje.

Chwieje się jak luterska wiara.

Lutrowi zadzwonią w kobyli łeb.

To ostatnie przysłowie jest wyrazem dawnego uprzedzenia, że lutra nie wolno chować na cmentarzu ani mu dzwonić. Lutra wolno było tylko grzebać na rozstajnej drodze, gdzie się poniewierają szkielety łbów końskich, o które rydel zadzwoni.

W większym stopniu niż u innych odbywa się u ludu polskiego przyswajanie narodowe spraw Boskich, Boga, świętych, a przede wszystkim Matki Boskiej. Nie brak przy tym ostrza przeciwniemieckiego szyderstwa. Istnieje nawet szeroka rozpowszechniona wiara w istnienie Boga polskiego i niemieckiego. Według śpiewki ludu nadrańskiego:

Na krakowskim zamku,
bili się tam bogi.
Nasz Pan Jezus niemieckiemu
powybijał nogi.

Z Poznańskiego zaś wywodzi się taka zabawna piosenka:

Niemiecki Hergott
włazł na płot.
A polski „laboga“
jak weźmie batoga,
jak zdzieli Hergotta
spadł biedak z płota.

Na Górnym Śląsku zaś opowiadają, że pewnego razu podczas burzy piorun uderzył w ewangelicką „kirchę“. W pobliżu na łące pilnowało bydła dwóch pasterzy, jeden Niemiec, a drugi Polak. Ten ostatni po uderzeniu pioruna spojrział z dumą na swego towarzysza i tak do niego przemówił:

— Nasz waszemu ale dał!

W okolicy słynnej prześladowaniem Wrześni, jakiś stary bardzo Niemiaszek przemówił pewnego razu do polskiej babiny:

— Tak, tak, niedługo już powędrujemy oboje w górę do nieba.

— Co? — oburzyła się staruszka. — Wy lutrzy wyobrażacie sobie, że dostaniecie się do nieba? Ależ niebo jest tylko dla katolików! Niemcy to gałgany. Wasza wiara została wymyślona, a nie tak jak nasza objawiona. Tylko katolików stworzył Bóg i tylko dla Polaków jest niebo...

Lud prosty nie filozofuje zbyt, nie tworzył nigdy systematów mesjanistycznych, niemniej jednak wierzy, że w niebie rozmawiają po polsku, a w piekle po niemiecku, że Matka Boska wyłącznie się o Polaków troszczy, a niemieckiej mowy wcale nie rozumie. Ona to przecież podczas oblężenia Częstochowy przez heretyckich Szwedów, pomogła odeprzeć ich ataki.

W polskiej tradycji ludowej szczególnie zniechęconą i oszdydaną postacią jest Marcin Luter. Opowiadają o nim od najdawniejszych czasów, opowiadają, że urodził się z tyłka wilczycy, że wychowywał go Lucyfer

i zamianował ministrem w piekle. Inni prawią, że będąc duchownym na dworze papieskim zachowywał się krnąbrnie i skarcony przez Ojca św. stał się niemieckim heretykiem. Według górali z okolic Żywca, Luter był synem diabła.

W jednej wsi — opowiada ta klechda — była bardzo bogata dziewczka. Starzała się coraz bardziej, a nikt nie przychodził, coby się z nią chciał żenić. Modliła się do Boga, ale to nic nie pomagało. Wreszcie zaczęła się gniewać na samą siebie i przeklinać ten świat. Jednego razu doprowadzoną do ostatniej rozpacz tak powiedziała:

— Kiedy niema parobka, cobym za niego szła, to niechże już diabeł przyjdzie i weźmie mnie nieszczęśliwą.

Ledwo te słowa wymówiła, aż tu nadchodzi pan jakiś czarno ubrany, z wąsem pod nosem, z brodą ostrzyżoną i lagą w ręku.

— Jak się macie, — przemówił do niej — piękna pani, niestety, a dobrze się wam tutaj odpoczywa?

— A dobrze — odpowiedziała dziewczka.

Przysiadł się do niej, zaczęli ze sobą rozmawiać, aż się on przygadał do żeniaczki. Dziewka ucieszyła się bardzo i obiecała, że pójdzie za niego.

Pobrali się i mieli chłopca Marcina, pół człowieka, pół diabła, kształtu jednak ludzkiego. Ojciec rzadko przebywał w domu, czasami tylko przychodził, ale ona dobrze wiedziała, że jej chłop to diabeł, bo do ślubu nie chciał przystąpić a niekiedy widać mu było końskie nogi. Marcinek zaczął potem chodzić do szkoły i zawsze był najlepszym uczniem w klasie. Po jakimś czasie zaczął się nawet uczyć u księdza. Ale diabelska krew odezwała się w nim.

Jednego razu wziął Marciniek dwie książki, jedną naszą, a drugą luterską i pojechał z nimi do Rzymu, do papieża. Najpierw pokazał Ojcu świętemu tę księgę naszą i prosił go, aby mu pozwolił tak nauczać jak tam było napisane. Papież przepatrzył księgę od deski do deski i nie znalazł nic takiego, co by się sprzeciwiało przykazaniom Boskim. Potem wyszedł do drugiego pokoju po pieczętkę, a książkę zostawił na stole. Skorzystał z tego Marcin Luter i podsunął książkę luterską, schował zaś tę, którą Ojciec święty już przejrzał. Papież wrócił i przybił pieczętkę na księdze, która zawierała w sobie diabelską naukę. Marcin Luter zabrał ją, poszedł w świat i uczył ludzi złej wiary, pokazując wszystkim Ojca świętego na dowód, że mu tak właśnie uczyć kazal.

Na ewangelickiego pastora lud polski patrzył niechętnie i podejrzliwie. Na Górnym Śląsku wierzono, że niemiecki pastor może odprawiać „czarną mszę“ na niekorzyść ludzi, albo też przy pomocy tego rodzaju praktyk zwalczać skutecznie działanie czarownicy, zwłaszcza jeśli pozbawia krowę mleka“. W innych okolicach Polski, pastor czyli „minister“ był zabawnym typem nieporadnego głupca, wysławiającego się przy tym niezdarą, zniekształconą polszczyzną. Wielka ilość takich śmiesznych kazań istniała od dawnych czasów w literaturze sowizdrzałskiej, a potem przeszła do ludu. Jedno takie kazanie przytacza np. Federowski w „Ludzie białoruskim“:

Szanofni parafianie, pofiem fam przykładne kazanie! Oto słuchajcie i uszy nadstawiajcie: Ofiec przynosi lepszy pożytek od szlofiak; jak ostrzygną ofiec i wyprzędą welna i zrobie sukman, czyż nie ciepła? Jak się zarżnie

ofiec, zedro skóra i uszyje kożuch, czyż nie wygoda? Weź stuka mięsa od ofiec i upiecz na rożan, a czyż nie smaczne? Obedrzyć lój i zrobić świeca, zapaliwszy fieczorem, a czyż nie fidno? A teraz wzięść kiszki i firobić na struna, naciągnąć na skrzypce i zahrać, a czyż nie fesolo? Takie to pożytki ofiec przynosi, moje szanowne parafianie, a szłofiek jak umre, to co? — zakopio do ziemi i nic niema!

Inne kazanie, pogrzebowe, przytacza Bystroń, nie podając źródła:

Była jedna fdoła pocziwa, co wszystkim dawała, ale nie to, co fy rozumiecie: Ona dafala jalmużna ubogim: kaczki pieczone i kapusta tuszona a dopiero leży do stolu glofa, a do progu giegami bez ducha: Nie malo ona truduów poniosła, jeszcze ostafila syna osła, ale on nie jest glupi i za kazanie pifa nam kupi!

Naturalnym następstwem potępienia niemieckiej religii, niemieckiego obrządku, księdza i kościoła jest potępienie i małżeństwa mieszanego. Ten motyw sięga również pradawnych czasów, dość wspomnieć powszechnie znaną narodową pieśń:

Wanda leży w naszej ziemi,
co nie chciała Niemca.
Lepiej zawsze mieć rodaka,
niżli cudzoziemca.

A w Poznańskim jeszcze niedawno śpiewano:

A ty dziewczyno z Czerwieńca,
nie wychodź ty za Niemca.
Bo ten Niemiec szwargoce,
pourywa ci warkoce.

Gdy Polak z Niemką się brata,
tam wnet pastor do ślubu wyswata,
Diabeł w piekle się raduje;
bo heretyków tam potrzebuje.

Często piosenka ludowa wyjaśnia, że Polak lepiej od Niemca kochać umie. I nikt na świecie nie jest tak ulubiony jak chłopiec tego samego rodu.

Morawiec na ławie,
a Niemiec pod ławą,
a mój najmiłszy
w łóżeczku ze mną.

Polski chłopiec także w Niemkach nie smakuje:

Gdybyś była katoliczka,
tobym ci całował liczka,
ale jesteś luteranka,
złodziejka i cyganka.

Skoro jednak małżeństwo mieszane dojdzie do skutku, następstwa bywają jak najgorsze. Dzieci takiego małżeństwa pokutować muszą za winy rodziców. Są chore, wite i anormalne, nie do życia. Trzeba dopiero jakiegoś szczególnego wydarzenia, aby odzyskały zdrowie.

I tak oto zdarzyło się, że jakiś Niemiec ożenił się z Polką. Urodziło im się dziecko, ale dziecko było ślepe. Polska kobieta poszła do kościoła i wyspowiadawszy się,

wyznała księdzu, że dziecko jej jest ciężko chore. Ksiądz poradził, aby po ratunek udała się do Częstochowy. Niech się tam pomodli razem z mężem, a wówczas Najświętsza Pani napewno nie odmówi pomocy.

Kiedy wróciła do domu, opowiedziała o wszystkim mężowi, ale ten machnął ręką i rzekł lekceważąco:

— Ach, co tam Matka Boska Częstochowska pomoże!

Ten sam ksiądz dowiedziawszy się o powiedzeniu Niemca wyraził się podczas niedzielnego kazania:

— Luter jak to Luter, w Matkę Boską nie wierzy!

Niemiec postanowił przekonać żonę, że ksiądz jej obiecuje gruszki na wierzbie i wyruszył razem z nią i z dzieckiem do Częstochowy. Tu modlili się oboje gorąco. Podczas drogi powrotnej dziecko niespodziewanie zaczęło płakać. Kiedy podeszli do niego, spojrzali na nich zdrowymi oczyma. Niemiec poznawszy co znaczy Matka Boska przeszedł na wiarę katolicką.





POLSKI DIABEŁ W NIEMIECKIEJ POSTACI

Diabeł, który ludzi namawia do złego i pragnie ich dusze dla piekła pozyskać, zjawia się często w ludzkiej postaci, aby mniej na siebie zwracać uwagę i w pierwszym przynajmniej wrażeniu pozyskać zaufanie. W tym wypadku jednak strój jego jest najczęściej cudzoziemski. I tak np. w Holandii występuje jako Hiszpan, u dawnych Prusaków w polskim ubiorze, we Francji wygląda jak Anglik, w Irlandii mówi po angielsku. W Niemczech jakkolwiek diabeł nie reprezentuje żadnej narodowości ubrany jest zawsze wedle najnowszej mody i dzieje się to tak długo, jak długo ta nowa moda nielubiana jest i niepopularna.

W Polsce diabeł nie występuje nigdy inaczej, jak w kusym niemieckim stroju. Popularne przysłowie nasze mówi: *zakochał się jak diabeł w niemieckim stroju*. Diabeł, zwłaszcza ten, który z piekła przybywa, może przemieniać się w rozmaite zwierzęta, kiedy ludziom figle płata i wodzi ich po manowcach, w pewnych okolicznościach może przybrać postać zwykłego człowieka (np. w klechdzie „Diabeł na służbie“ pracuje za karę u gospodarza jako parobek), ale oficjalnym niejako strojem diabła, stale na ziemi przebywającego, jest strój niemiecki.

ki i to bez żadnego chyba wyjątku. Lück, który chce go wystroić w szlachecki kontusz, popelnia zasadniczą pomyłkę. Lück opiera się na Wójcickim, który w zupełnie dowolny sposób, nie poparty przez późniejsze badania etnograficzne, stworzył postać diabła Boruty, jako awanturnika w szlacheckim stylu, co brata się i pojedynkuje z piskorzami łęczyckimi. W tradycji ludowej niczego podobnego nie znajdujemy. Wszystkie opisy zewnętrznego wyglądu diabła ukazują go zawsze w kusym stroju niemieckim. Fraczek bywa czerwony albo czarny, pludry czerwone albo zielone, z pod trójgraniastego kapelusza wygląda nieodzowny harcap. Kusy, kusał, kusielec, oznacza zawsze diabła w stroju niemieckim. Mickiewicz w „Pani Twardowskiej“ mówi:

Diablik to był w wódce na dnie
Istny Niemiec, sztuczka kusa...“

Czarownice w zeznaniach torturami wymuszonych opowiadają o stosunkach lubieżnych z niemieckim diabłem.

Wyobrażenie sobie diabła w stroju niemieckim stało się powodem kilku tragicomicznych wydarzeń. O jednym z nich opowiada facecja, którą pomieścił Kolberg w „Łęczyckim“:





OSTATNI FIGIEL BORUTY

Było to za rządu pruskiego. Łęczycę fortyfikowano. Tysiące chłopów pędzono do kopania szanców i sypiania wałów. Praca była nad wyraz ciężka. Sprzężaj się niszczył, siły ustawały. Zrozpaczeni chłopci wzywali tużtejszego diabła Boruty, żeby się z Niemcami choć trochę popieścił. Ale Boruta jakby w spółce z Niemcami będąc straszyl wieczorami ludzi powracających do wiosek.

Pomiędzy chłopami parającymi się tą niewdzięczną robotą był jeden chwacki parobek z Topoli, któremu dotychczas nie przygodziło się żadne z Borutą spotkanie, jakkolwiek co wieczór wracał do swojej wioski za Łęczycą o pół mili położonej. Pewnego wieczoru parobek ten, któremu na imię było Stach, wracał później niż zwykle. Odjechał już dość daleko, kiedy koło przepaścistej bajory, konie nagle chrapnąwszy uskoczyły w bok. W oka mgnieniu Stach wywinął potężnego kozła i padł na drogę, a konie grzęzły i szarpały się w ubocznym bagienku. Parobek zerwał się i począł szukać lejców, a wtem tuż oboku niego rozległo się jakieś przeciągłe: he, he, he, he.

Nic innego być nie mogło, jeno Boruta zjawił mu się we własnej postaci. Przy jasnym świetle księżyca, obok kępy trzciny, tuż przy drodze ukazał się czarny od stóp do głów potwór, z wywiędłą, żółtawą twarzą; w szerokich ustach, z których wystawało kilka dwucalowych zębów, trzymał krótką fajeczkę. Na głowie zamiast czapki duży nietoperz. Potwór ubrany był w aksamitny kaftan z wielkimi białymi guzami, w także majtki u kolan białymi sprzączkami spięte, cieniutkie jak u komara nóżki odziane miał w czarne, jedwabne pończochy i pantofle także z białymi sprzączkami. Nakoniec już nie jeden jak zwykle u biesów, ale dwa wyglądały ogony. Jeden wisiał z pod kaftana, drugi na plecach się majtał.

Parobek przeżegnał się i zawołał:

— W imię Ojca i Syna, czy to bies Boruta?

— Ja, ja... — usłyszał w odpowiedzi.

Stach nie namyślając się wiele chwycił za kłonicę i rznął z całej siły mniemanego diabła. Rozległ się łoskot padającego ciała i jakby stado nietoperzy większych i mniejszych uleciało w górę. Parobek, nie przyglądając się niczemu, czymprędzej sprawił wóz, zaprzął konie i podążył do Topoli. We wsi zaczął opowiadać wszystkim o swojej przygodzie zwycięskiej. Na drugi dzień połowa wsi wyruszyła prowadzona przez parobka, aby znaleźć pokonanego biesa. Jakoż znaleźli go utopionego w błocie. Tylko diable nogi i ptasi ogon wyglądały z bagna.

Gdy się wieść o tym wydarzeniu w całej lęczyckiej okolicy rozeszła, jednocześnie dozorca niemieccy poczęli wypytywać chłopów czy czasem nie widzieli gdzie pana Regierungsratha, który wyszedł wczoraj po południu celem rozpoznania okolicy i dotychczas nie wrócił. Śledztwo i porównanie wszystkich okoliczności doprowadziły

do aresztowania Stacha pod zarzutem morderstwa politycznego. Niewiele brakowało, a zastosowano by wobec niego surowe prawo wojenne. Legendę o Borucie poczytano za umyślny wymysł. Po pewnym czasie jednak łęczycki Kriminalgerecht doszedł do przekonania, że wiara w Borutę jest istotnie powszechna i przy zastosowaniu wszelkich okoliczności łagodzących skazano Stacha na karę kilkotygodniowego aresztu.

Następnie wskutek tego wyroku, aby na przyszłość nikt się niewiadomością zasłaniać nie mógł, przez cyrkularze wójtów i burmistrzów, oraz po kościołach z ambon i przez rozlepione ogłoszenia, cały lud polski został powiadomiony, że osoby w stroju czarnym, niekrajowym, w aksamitnych kaftanach z metalowymi guzami, również w aksamitnych do kolan majtkach, czarnych, jedwabnych pończochach i pantoflach ze sprzączkami, nie są bynajmniej diabłami, Borutami, biesami lub innego rodzaju złymi duchami, lecz urzędnikami. Osoby te nie noszą na głowie nietoperzy, ale stosowane trzyrożne, splaszczone kapelusze, co zaś za diabelskie ogony poczytywano, są to poły od kaftana, oraz narodowy niemiecki harcap. Zaleca się dla nich szacunek i poważanie.

Nikt jednak z ludzi miejscowych w to nie uwierzył. Skoro jednak błota rowami i groblami osuszono, Boruta przestał się już pojawiać.

W bardzo przyjemnej książeczce „*Górale beskidowi*“, którą napisał L. Delaveaux znajdujemy opis podobnej przygody, która wydarzyła się znanemu naturaliście Schultesowi, profesorowi Akademii krakowskiej. W r. 1808 zbierał on rośliny w lasach babiogórskich i straszyl górali swoim wyglądem: czarnym i kusym ubiorem,

okularami, kapeluszem i parasolem. Kiedy w górach za-
błądził, żaden z górali nie chciał mu przyjść z pomocą.
Wszyscy żegnali się i uciekali od rzekomego diabła. Do-
piero urzędnicy leśni słysząc opowieści o błakającym się
w górach czarcie, odszukali po dwóch dniach ledwo
żywego profesora.

Ciekawą charakterystykę naszego diabła zawdzięcza-
my Ryszardowi Berwińskiemu. W jego przypisach do
„*Powieści wielkopolskich*“, które jako dwudziestokilko-
letni młodzieniec napisał, czytamy:

...diabeł niemiecki, jak wszyscy Niemcy, jest misty-
kiem i filozofem. A że filozofia i moralność niemiecka,
(umysł i serce) strasznie rozmazane, gęste i ciężkie —
to też utwory ich wyobraźni muszą dźwigać u nóg owe
potężne kamienie filozoficzne, z którymi nawet Mefisto-
felesowi Goethego, tak trudno chodzić po ziemi... Nasz
diabeł wbrew niemieckiemu nigdy nie wyrzeka, nigdy
nie deklamuje — filozofią sobie głowy nie łamie. Był
i jest fircykiem na lekkich kurzych stopkach — zwinny,
obrotny; ogon chowa w pantaloney — różki pod kape-
lusz stosowany; figle płata i wyrządza psoty; mniej umie
szkodzić, bo go chłop nasz zawsze w pole wywiedzie;
i w tym jest charakter narodowy, a może i wieszczce prze-
czucie, że w końcu zwyciężym to zło historyczne“.

Jeśli rozpatrzmy dokładnie wierzenia ludowe, wów-
czas nabyć musimy przekonania, że poza pewnymi ce-
chami demonicznymi nasz diabeł, to jest diabeł o cha-
rakterze niemieckim i po niemiecku ubrany, a po zie-
miach polskich się uwijający, jest djabłem najczęściej
głupim i naiwnym. W takim właśnie pojmowaniu złego du-
cha, wyraża się osobliwy, polski optymizm. Jednocześnie
trzeba pamiętać o tym, że diabeł nasz wyposażony został

we wszystkie ujemne znamiona psychiki niemieckiej, które poznaliśmy już w poprzednich omówieniach.

Diabeł nasz jest tedy jeszcze jedną odmianą powszechnego oszydzania Niemca.

Diabeł może wyrządzić ludziom wiele złośliwości, ale właściwie władza jego osiągnąć może tylko tych, którzy zgrzeszyli. Zwykłego śmiertelnika wolno mu straszyć i niepokoić, wodzić po wszelkich manowcach, ale wystarczy, aby nieszczęsna ofiara użyła jakiegoś świątobliwego zaklęcia i natychmiast wtedy „pęka moc czartowska“. Diabeł może na śmierć zadrzeć albo porwać do piekła, ale tylko człowieka grzechem śmiertelnym obciążonego.

W przeważającej atmosferze polskiego optymizmu życiowego, diabeł występuje najczęściej jako postać naiwna i głupia. Oszukuje go nie tylko wytrawny filut, ale zapędza go w kozie róg byle chłop, byle stara baba. Wiąże go lipowym łykiem albo zaprzęgają do żelaznego pługa, a diabelskie pazury zaciskają w śrubstaku. Zwyciężają go wszelkimi podstępami. Diabeł przegrywa wszystkie zakłady i próby. Ulega zwłaszcza wszystkim sztukom chytrej niewiasty. Ludzie przezywają go wówczas, kiedy im jest potrzebny, ale potem zostaje oszukany, wyprowadzony w pole i ośmieszony.

W starej klechdzie, Twardowski ratuje się w najgorszej opresji tym, że komponuje naprędce godzinki i przed atakiem diabelskim ucieka na księżyc.

Naiwny diabeł zdaje sobie sprawę, że ludzie wyyskują jego dobroduszość i w niejednej klechdzie skarżą się na tego rodzaju wyysk.

Dla przykładu przytaczamy typową, mniej znaną baśń tego właśnie rodzaju:

DIABEL WYRZEZANY

Diabeł, który swój ogon wszędzie wścibić lubi, przysglądał się raz jak chłop pod borem za pługiem chodził. Aż miło było patrzeć na mocne, kare konie, które pług ciągnęły, a lśniące ostrze jedną za drugą skibę czarnej, tłustej ziemi odwalają.

— Wio, wio, — wołał chłop — wio, moje wałaszk.

Diabeł nie rozumiał dobrze co to znaczy, podszedł więc do chłopca, ukłonił mu się trójgraniastym kapeluszem i zapytał:

— Dlaczego wołasz na te konie: wałachy?

— Dlatego, — odpowiedział chłop — nazywam je wałachami, bo są wywałaszone. Póki ich misiarz nie wyrzezał, to były ogiery, a teraz są wałachy.

— A który jest lepszy, ogier czy wałach?

— Do roboty zawsze wałach zdatniejszy i silniejszy. Ogier niech tylko klacz zdaleka zobaczy, to postronki porwie, grzywę nastroszy, łeb w pałak zegn timer, ze ślipiów mu ogień bucha i nogami przebiera, jak w dzikim tańcu. Dobry gospodarz, jeśli chce mieć u siebie spokój, to wszystkiemu stworzeniu każe wyróżnać jądra. Konie to się wałaszy, barany się skopi, koguty się kapłoni i tak dalej.

Diabeł zamyslił się i po chwili zapytał:

— To może lepiej by było, żebym został wałachem!

— A może i lepiej...

— Przynajmniej bym swojej roboty pilnował, za dziewczkami nie latał i siły by mi przybyło. — Zamyslił się znowu i po chwili postanowił: — Nie ma co, tylko musisz mnie gospodarzu zaraz wymisić!

— A no dobrze, tylko, że widzisz pokuso, nie mam takiego ostrego noża, zdatnego do trzebieńcia.

— To możesz mnie wyrzezać krojem *) od pługa, on się chyba nada...

Dopiero diabeł się ukląkł, a chłop go wymisił i jeszcze mu ranę rolą zasypał. Diabeł podziękował i poszedł sobie, ale to puzdro coraz go więcej bolało, że już prawie wytrzymać nie mógł.

Na drugi dzień diabeł przyleciał w to samo miejsce, w którym chłop znowu wałachem orał i woła:

— Czekałno chłopie, ja cię też wymiszę, żeby cię taki sam jak mnie ból trapił.

— Dobrze, możesz mnie tak samo wyrzezać, ale nie prędzej jak jutro.

Doorał gospodarz do wieczora, ale wciąż się martwił i nie wiedział w jaki sposób sobie poradzić. Kiedy wrócił do chałupy, to wyglądał tak bardzo zmizerowany, że aż strach było na niego popatrzeć.

— Czegoś ty tak zmartwiony? — zapytała żona.

— Nie warto gadać, bo i tak mi nie poradzisz.

— A może i poradzę.

Opowiedział jej o wszystkim a ona rzekła:

— Daj mi jutro swoje ubranie, ja pójdę orać, a ty zostaniesz w domu.

Jak Bóg dał dzień nazajutrz, kobieta oblokła się w męża portki i poszła orać, a diabeł już czekał pod borem na gospodarza. Kiedy ją zobaczył, myślał, że to ten sam gospodarz, który go wyrzezał i rzekł:

— Dobrze, żeś przyszedł.

A ona woła:

*) Nóż do pługa, krojący skibę pionowo.

— W imię Ojca i Syna, wio, moje wałachy.

— Ty nie wołaj, wio moje wałachy, tylko się kładź.

Kobieta ukladła się, diabeł chwycił za krój i dalejże do roboty. Ale kiedy ją dobrze obejrzał, tak się zdziwił, że aż od niej odskoczył i zawołał:

— A niechże cię, to ty masz większą ranę do gojenia, niż ja. Nie ma co z tobą robić.

Splunął i uciekł i więcej już w tamte strony nie wrócił.

Słusznie dowodzi Kurt Lück, że głupi niemieckj diabeł w tradycji ludowej bez zasadniczych zmian przeniósł się również do polskiej literatury pięknej. W aktach wszystkich zresztą procesów o czary, znajdujemy niezliczoną ilość zmianek o tym, że czarownice obcowały cielesnie z niemieckimi diabłami, że tańczyły i weseliły się na wszystkich Łysych Górach z paniczkami po niemiecku szwargoczącymi.

W satyrze Krasickiego p. t. „*Pochwała wieku*“ czytamy:

„Zdejmowały uroki stare baby dziecku,

Skakał na pustej baszcie diabeł po niemiecku...“

O niemieckim diable opowiada Szujski, Rzewuski, Górecki, Sienkiewicz, Kraszewski, Dygasiński, Rydel, Orkan, Bunikiewicz, Morcinek, i wielu innych pisarzy polskich.

Smętek Żeromskiego jest bardziej osobliwą, demoniczną odmianą diabła niemieckiego. Melchior Wańkowicz w swojej książce „*Na tropach Smętka*“, przejmuje go od Żeromskiego jako zasadniczy motyw.

Zostało nam jeszcze kilka rysów charakterystycznych należących do wielkiego zespołu oszydzania Niemców. Była już mowa o niemieckich cechach fizycznych i psychicznych, zostało między innymi zagadnienie niezmiernie zasadnicze, które wiąże się z organem tak czułym i wrażliwym jak żołądek. Zła kuchnia, byle jakie jedzenie, są równie odstręczające jak najbardziej przewrotny charakter..



Niemiecka Kuchnia

Wedle powszechnego na świecie przekonania, Niemcy jedzą byle co i byle jak. W polskiej tradycji ludowej wytykano im niezmiennie zamiłowanie do lichej i obrzydliwej strawy. Lüćk przyznaje, że polska kuchnia szlachecka i wielkopańska przewyższały niewątpliwie niemiecką, ale twierdzi, że szerokie masy ludowe jadły lepiej w Niemczech niż u nas. Twierdzi nawet, że plemiona germańskie więcej jadły mięsa, słowiańskie zaś więcej jarzyn. Przez długi czas np. Niemcy nie wiedzieli nic o grzybach, które Słowianie wprowadzili już od dawna na swój stół. Mięsożerni Germanie objawiali tedy znaczną aktywność i zaborczość, wegetariańscy Słowianie odznaczali się charakterem spokojnym i bardziej biernym.

Pogarda dla niemieckiego smaku i niemieckiej kuchni występuje w sposób bardzo stanowczy zarówno w polskiej literaturze, jak i w tradycji ludowej. Już u Reja czytamy:

„Więc chłop k'temu plugawy, słoninami śmierdzi.
A co z grochu nie doje kawalca słoniny,
To włoży do kalety Dajczmanek nasz miły,
Chociaż śmierdzi, jako chce, nic tego nie czuje,
A pijanice wiedzdy prawie z przyrodzenia,
Że tam mało zostanie dobrego baczenia.

Luterską wiarę określano w Polsce w XVI wieku jako „szpek augsburski“. Bystron cytuje z „*Albertusa z wojny*“ mało wytworny, ale wcale charakterystyczny koncept na temat niemieckiego szpeku:

Ksiądz

Przeto fortelnie Niemcy, a dobrze, działają,
Swych koni wszystkich w puzdrach ogony chowają.
Wszakos widział podobno, gdyś mieszkał w Krakowie,
Kiedy więc z niemieckich stron bywają posłowie.

Albertus

I mniemacie wy, pater, że to dla samego
Ogona tylko czynią, jest tam coś inszego.
Jam slyszal raz w Krakowie, gdy Niemcy wjeżdżali,
Że chłopięta jakiś szpek tam być powiadali.

Ksiądz

Cóż to za szpek?

Albertus

Jać nie wiem; jakaś ich potrawa,
Bez której żadna nie jest niemiecka wyprawa.
Więc ten szpek nad cepuchem *) dla ciepła wieszają,
To czynią dla żołądków, które słabe mają.

Ksiądz

Toć to sztuczne potrawy ci ludzie wnaszają...

Albertus

Przecież się ich Polacy naszy nie chwytają.
Już oni po staremu w dymie mięso wędzą.

*) *Rura w kominie.*

Według przekonania naszego ludu, i to przekonania wielce prawdopodobnego, Niemcy robią kielbasy z psiego mięsa. Mówi o tym popularna piosenka:

Wędrowali Niemcy przez bory i lasy,
napotkali sukę, wzięli na kielbasy.

A w innej piosence:

A wy Niemcy za górami
Jedli sukę z pazurami,
jeszcze jednej nie pożarli,
już po drugą polecieci.

Można się zgodzić z Lückem, że niektóre potrawy, najpierw w Polsce wyszydzane przejęliśmy wreszcie od Niemców, ale wcieliwszy je do naszej kuchni, umieliśmy przyrządzać te potrawy smaczniej i bardziej esencjonalnie. I tak np. Polacy odnoszą się nęufnie do niemieckiej słoniny, niemieckiej kielbasy i niemieckich kartofli. Później jednak wytykamy im już tylko, że jedzą śmierdzącą słoninę, kielbasy z psiego mięsa i rozpychają sobie brzuchy nadmiernym objadaniem się kartoflami.

A kiedy kuchnia niemiecka zaczyna używać najrozmaitszych „ersatzów“, słonina staje się jakby symbolem polskiej mocy.

Już w pierwszych latach ostatniej okupacji niemieckiej śpiewano na ulicach buntowniczej Warszawy:

„Uciekaj Hitler z margaryną,
Bo idzie Sikorski ze słoniną“.

Kartofle wprowadzone przez kolonistów niemieckich do Polski w połowie XVIII wieku, przyjęto z początku bardzo niechętnie.

I tak czytamy w Kitowicza „*Opisie obyczajów*“:

„Zjawiły się najprzód za Augusta III w ekonomicznych królewskich, które samemi Niemcami Sasami ekonomicznie osadzone były, a ci dla swojej wygody ten owoc z Saksonji z sobą przywieźli i w Polsce namnożyli.

„Długo Polacy brzydzili się kartoflami, mieli je za szkodliwe zdrowiu, a nawet niektórzy księża wmawiali w lud prosty takową opinię, nie żeby jej sami dawali wiary, ale żeby ludzie, przywyknąwszy niemieckim smakiem do kartofli, mąki z nich jak tamci nie robili i za pszenną nie przedawali, przez co by potrzebującym mąki przez się pszennej do ofiary ołtarzowej, mąkę kartoflaną, choćby i z pszenną zmieszaną, zawód świętokradzki czynili.

„Powoli rolnicy w ekonomicznych królewskich zaczęli od Niemców nabywać kartofli, od których znowu po granicznicy. Nareszcie gdy kartofle były znajome po żuławach gdańskich, po holendrach wielkopolskich i litewskich, gdy do Wielkopolski przyszło kilkaset familji Szwabów, którymi panowie niektórzy, a mianowicie miasto Poznań, wsie swoje całe, wypędziwszy dawnych chłopów polskich, poosadzali, ci przychodniowie, przyuczony w swoich krajach żyć niemal samymi kartoflami, najbardziej do nich polskim chłopom, a od tych szlachcyce apetyt naprawili; tak, że na końcu panowania Augusta III, kartofle znajome były wszędzie i w Polsce, w Litwie i na Rusi“.

Przy rozpowszechnieniu się kartofli nazywano je różnie w poszczególnych dzielnicach, najwięcej jednak po

niemiecku, skoro za pośrednictwem niemieckim przywędrowały do Polski. Lücker przytacza wiele takich charakterystycznych nazw, a więc przede wszystkim szwabki albo szwabki, a poza tym: niemki, berlinki, pantuwki, tywki, kompery, krompele, knole i kule, mardyburki, dobery, sasy, sasaki, purchawki, brandeburki i mandeburki, brambory, bambry, frejki, sztajferki i t. d.

Kartofle rozpowszechniły się w Polsce szybko, dawniejsze nazwy przeważnie zatarły się, ale do dziś jeszcze używane jest powszechnie w stosunku do Niemca szyderskie przezwisko: kartoflarz.

Nie brak zresztą kartoflanych motywów w naszych piosenkach i przysłowiacz.

Pamiętajcie Niemcy, coście wy robili,
Gdyście pod Berlinem kartofle sadzili?
O juchy Niemcy,
juchy, juchy, juchy,
Niemcy, psy, cybuchy.

Nie ma jak u Niemca służyć,
feloków pojeść i fajeczkę kurzyć.

U Niemca najlepsza jest potrawa:
zupkartofle i czarna kawa.

Szwaby, Luterany,
mają kartoflami
brzuchy rozepchane.

Szwabie karaluchu:
Kartofle masz w brzuchu.

Wyszydzano również niemieckie pijaństwo i niemieckie fajki, a wreszcie twierdzono, że Niemcy jedzą żaby.

To wszystko znaleźć można w przysłowiach i przysłowkach:

Nie pamiętasz Niemcze,
jak szedłeś z Berlina.
Śmierdziała ci z pyska
tabaka i pryma.

Gdy Niemcy do nas przyjechali,
to na obiad żaby łapali.

Niemiec fluk
na kamieniu żabę tłukł,
żaba się zerwała,
Niemcowi w mordę dała.





DOCINKI JĘZYKOWE

Nie jest moim zadaniem przedstawiać tutaj wpływ jaki wywarł język niemiecki na polski i odwrotnie. Tymi zagadnieniami zajmowało się u nas wielu poważnych uczonych, Aleksandrem Brücknerem na czele. Ciekawy tych spraw czytelnik znajdzie wiele bogatego materiału w studiach specjalnych, między innymi we wstępie do „Słownika wyrazów obcych“ (Trzaska, Evert i Michalski). Natomiast wiemy wszyscy o tym dobrze, że zarówno potoczny jak i literacki język polski wykazuje bardzo znaczne pożyczki niemieckie, przewyższające to wszystko, co Niemcy brali od nas. Jeszcze bardziej jaskrawa zależność ujawnia się w słownictwie technicznym które dopiero w ostatnich czasach udało się dość znacznie oczyścić z germańskich naleciałości.

I tak np. Kurt Lück z wielkim zadowoleniem powołuje się na inwentarz stolarski z r. 1573, w którym czytamy: „szynwaga mosądziowa, raszple, heble, ambusy, klubzagi, winkelmosy, streichmodły, listwy, sprengle, tablice sztukferkowe, srobcwingi, kielbraty i inny cojg ślusarski“.

W znanym felietonie satyrycznym Tuwima z ostatnich, przedwojennych czasów znajdujemy jeszcze terminologię bardzo podobną.

Nas jednak tutaj te sprawy mało obchodzą. Nas obchodzi w jaki sposób sztychowano w Polsce z niemieckiej mowy.

Wyśmiewanie cudzoziemskiego języka jest objawem powszechnym, zwłaszcza na pograniczach narodowościowych i podczas wzmożonego naporu obcych przyszłości.

Jeśli np. mówimy dzisiaj: „*siedzi jak na niemieckim kazaniu*“, łatwo się domyślić, że przysłowie owo pochodzi z tych czasów, kiedy po miastach polskich odprawiano się nabożeństwa niemieckie i ówczesna mniejszość polska musiała słuchać niezrozumiałych przemówień obcych księży.

W *Księdze przysłów* Samuela Adalberga znajdujemy takie objaśnienie powyższego przysłowia:

„Początek przysłowia tego wyświecił dostatecznie J. Muczkowski w obszernym i na źródłach opartym artykule, zamieszczonym w *Dwutygodniku literackim* (Kraków, r. 1844, str. 27). „Powstało ono, jak pisze, ze zwyczajem w dawniejszych wiekach u nas zaprowadzonego, że w niedziele i dni świąteczne w jednym z najcelniejszych kościołów stolicy królestwa, do presenty panującego należącym, słowem w kościele archiprezbiterialnym N. Maryi Panny, przy rynku krakowskim położonym, w języku niemieckim kazania czyniono. Wtedy bowiem pobożni, na nabożeństwa do tej świątyni uczęszczający, dla wysłuchania całej sumy, na tych niezrozumiałych dla siebie kazaniach przesiadywać musieli“. — Objaśnienie to obala jednocześnie mylny ko-

mentarz Wójcickiego (Przysłowia III. 43). Na podstawie wzmianki, znajdującej się w XI księdze Historii Długosza pod rokiem 1410 o posłach Władysława Jagielly do króla czeskiego Wacława, którzy, gdy im układy w języku niemieckim czytać począto, mieli rzec: „tu jest niemieckie kazanie, a my Polacy, którzy tego języka nie rozumiemy, tam pójdziemy, gdzie po polsku kazać będą“ — twierdzi Wójcicki, że ta odpowiedź dała powód przysłowiu, gdy ono tymczasem w odpowiedzi tej jako powszechnie znane przysłowie zastosowanie znalazło“.

Polak twierdził zawsze, że Niemcy pomiędzy sobą szwargoczą i mamroczą, a od niepamiętnych czasów wiedziano o tym, że język polski jest dla Niemca niepomiernie trudny.

Znane są powszechnie specjalnie ułożone zdania, które wymówić prawidłowo może tylko Polak.

Lück twierdzi, że kiedy w r. 1312 Władysław Łokietek zajął Kraków i rozpoczął prześladowanie niechętnych mu mieszczan niemieckich, trzeba było, aby ująć śmierci prawidłowo wymówić: „soczewicę miele koło młyna“.

Prof. Bystron przedstawia to nieco inaczej w swojej „Megalomanii narodowej“: „Przykładów tej kategorii dałoby się dość znaleźć; jednym z najdawniejszych jest chyba tradycja historyczna o powstaniu pospólstwa krakowskiego przeciwko patrycjatowi niemieckiemu za czasów wójta Alberta w pierwszej połowie czternastego wieku: otóż Niemcy, „qui nesciebant dicere soczewica, koło, miele młyn, decollati sunt omnes“.

Lück wprawdzie przyznaje, że mamy tu do czynienia z legendą, ale na tej samej stronie powtarza podobny zarzut, przeskakując za jednym zamachem lat więcej niż 600. Oto, zdaniem jego, w r. 1939 żołnierze polscy mor-

dowali na Pomorzu tych Niemców, którzy nie umieli prawidłowo jednym tchem powiedzieć:

„Chrząszcz brzmi w trzcinie“.

Nieznane dotychczas nikomu tego rodzaju insynuacje należą do wielkiego zespołu tych sfalszowanych oskarżeń *bydgoskich*, za pomocą których propaganda niemiecka usiłowała uprzedzić i usprawiedliwić przeprowadzenie krwawego terroru w całej Polsce, o czym będzie jeszcze mowa poniżej...

Niemiec kaleczący język polski był pocieszną figurą, znaną u nas od niepamiętnych czasów.

Prof. Bystron w *Megalomanji narodowej* pisze:

„Bardzo często spotykaną w piśmiennictwie postacią jest Niemiec, źle mówiący po polsku; do dziś dnia kursują na ten temat rozmaite koncepty. Pomysły to zresztą stare.

„Tak np. w facecyjnym dialogu *Potkanie Jannasa z Gregoriussem Klechą* z r. 1598 Niemiec klóci się z Polakiem o to, do kogo należy znaleziony skarb:

Slisis ty Polaku,

Ja go tobie twój prawa nie chciem przysnać snaku.
Bo by go ja tak bil miał, jak ty cali nogi,
Ich wolte auch wol skocić, mein Polaku drogi.
Ich hab aber ein kurtzen unum, et caetera,
Kann nicht so schnell wie du sein, mein Polak...

„Innym przykładem wysmiewania Niemców, mówiących po polsku, jest utwór nieznanego autora, zamieszczony w *Wirydarzu* Jakuba Trembeckiego, p. t. *Carmen laureatj poetae Więzek*. Na dzien święta Do,

rotea nabożna matrona. Jejmości paniej Dorotea Olin-
ska od życzliwego i kochanki sługa przypiesana.

Święta Dorotea, męczenniczka prawa,
Nie dał się odstrażyć, poganina sroga.
Od wiara chrześcijańska, przy nim mocno stała,
Korona nieśmiertelna za to otrzymała.
Boże, daj, ażeby każdego nabożna matrona
Z świętą Doroteą odnosiła niebieska korona.
I jak ona z Theopilusem siedzą sobie w niebie
Tak, żebym ja z WMcią siedział podle siebie.
Co ja, życząc WMci z sierca czyrego
Daj Boże Wmci doczekać rodu drugiego.

WMci życzliwie i kochanie

Z sierca i czyre sługa

Augustia Zimmerman.

„Otóż tego rodzaju utwory są dość częste, i to aż do
dziś dnia. Oto np. pieśń o kobyle doktorskiej, pochodzą-
ca zapewne z jakiejś komedio-opery, czy wodewilu
z pierwszej połowy ubiegłego wieku:

Szego leżysz ma kobyli,
Mego piękny, mego mili,
Ty tak pięknie brykifala,
Na cwaj nóżki skakifala.
Teraz leży głupi sobie,
Jaki djable stal się tobie,
Ani fiber ni gorąszki,
Ani od pijaństwa drząszki

itd., itd.

„W tradycji ludu pozostała jeszcze gdzie niegdzie pieśń Niemca z komplementami do Anusi, zapewne też z jakiegoś wodewilu“.

Piosenkę tę znaną w najrozmaitszych okolicach Polski przytaczam, obszerniej niż Bystron, wedle Kolberga:

Nenne luba Nenne mila,
jam się w sobie polubiła.

Oh, oh, Nenne mila,
jam się w sobie polubiła.

Ich bin rodem von Austryja,
ja mieć grafa mego stryja.

Oh, oh, von Austryja,
ja mieć grafa mego stryja.

On jak jakał na fzytę,
drej par koni miał karete.

Oh, oh...

I z aksamit suknia nofa,
paruk mit puter na glofa.

Oh, oh...

Ona sama szteif trzymala,
ona miefać halsztuk biala.

Oh, oh...

Mnie wysolol w cudza kraja,
uczyć mi modna zwyczajaja.

Oh, oh...

Byl na Berlin i Madryta,
Szkohholm, Paris i Moskwita.

Oh, oh...

Wszęzie wizić grzeczna dama,
a nie wizić jak ty sama

Oh, oh...

Proszę, że mnie powiedz śmieie,
szy mnie kochasz mało wiele.
Oh, oh...

Jeśli nie dasz słowa sale
mit pistolet w leb zapalę.
Oh, oh...

Albo przedam koń mój szory
wender machen na klasztory
Oh, oh...

Bardzo rozpowszechniona jest w Polsce *Duma szlachciance*, opiewająca zaloty miłosne Niemca używającego zniekształconego języka polskiego i przez Polkę wzgardzonego:

Jestem Polka zrodzona,
z krwi szlacheckiej splodzona.
Odstąp Niemcze ode mnie,
Nie wpatruj się tak we mnie.

Ach du liebe panna mein,
nie musisz tak böse sein.

Ja cię kocham in der Tod,
co widzisz, mein lieber Gott.

Co ty Niemcze szwargoczesz
i pod nosem mamroczesz.

Mów po polsku do mnie, kpie
nie tak brzydsko i głupie.

Ach, ich kann nicht po polsku,
bin geboren we Szląsku.

A mein Vater Niemiec był,
po polsku nie szprachał viel.

Precz z tobą stąd brzydaku,
nie jesteś ty w moim smaku.
Kocham chłopców Polaków,
A nie Niemców, lajdaków.

O Herr Jesus, was ist das?
Pani mówi tylko szpas,
Proszę mnie rączki dać,
kontent, będę całować.

Byś djabła zjadł, natręcie,
w pysk dostaniesz w momencie.
Jak mi jeszcze co powiesz,
wnet, co Polka, się dowiesz.

Ich werd' gehen nach Szląska,
und werd' kriegem po Polska.
Będę z Bogiem rozmawiać,
bi tį chłopa nie dostać.

Oprócz tych dłuższych pieśni istnieje wiele krótszych, ulotnych, przedrzeźniających Niemców. Niektóre z nich bywają mocno trywialne:

Weszła koza na chałupę,
eins, zwei, drei.
Pokazała Niemcom d...,
eins, zwei, drei.
A wy Niemcy nie żałujcie,
kozę w d... pocałujcie,
eins, zwei, drei.

Morgens früh um sechse,
kogut kurę depce.
kura mówi: altes Schwein!!
kogut mówi: das muss sein.

Meine Mutter, moja matka,
sprzedawała Äpfel, jabłka,
przyszła do niej Ziege, koza,
i zeżarła Äpfel z woza.

Józiu, Józiu, gib mir drąga
schlag kobyła, besser ciąga!

Różne zabawne nieporozumienia z polszczyzną znajdujemy także w popularnych opowiadaniach. „Jest anegdota o Niemcu, — opowiada Bystron, — który dziwi się że Polacy używają tych samych słów na oznaczenie zupełnie innych treści, jak np. *szłofik*, co oznacza słowika i człowieka. Znaną jest również opowieść o Niemcu, który wszedł do kościoła po mszy i słysząc, jak wierni śpiewają suplikacje: od powietrza, głodu, ognia wybaw nas Panie! wtóruje im: *Ot pól fieprza, głofa, nogi i ogon, piś paś nas Panie!*“.

Inna anegdota opowiada o Niemcu, który pracował w Polsce przy pokrywaniu dachów, a więc był papiarzem. Pewnego razu, kiedy zeznawał w sądzie jako świadek został zapytany przez sędziego:

- Czym się świadek zajmuje?
- Jestem papież.
- Co? Papież jest w Rzymie!
- W żymie jestem tylko blacharz...

Pewien Niemiec wrócił bardzo prędko do domu z polskiego kościoła.

- Dlaczego wróciłeś tak szybko?
- Klecha mnie po prostu wypędził.

- A cóż on ci powiedział?
— Do domu szwabisko... (Dominus vobiscum).

Polakowi, który kichnął, Niemiec, jak to u nich w zwyczaju, życzył:

— Helf Gott!

Ale Polak, nie zrozumiawszy życzenia, krzyknął obrażony na Niemca:

— Tyś sam Helfkot, twoja baba Helfkocica, a twoje dzieci Helfkocięta!

Pewien Niemiec wędrował z Polski przez Wołyń. Język tamiejszy był mu bardzo mało znany. Kiedy podczas targu zaszedł do szynku, zdarzyło się, że mu zniknął koń razem z wozem. Ponieważ w pobliżu znajdował się policjant, Niemiec chciał się od niego dowiedzieć, czy nie wie co o jego koniu? Ale jakże nazwać konia? Nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć. Wziął tedy w lewą rękę trochę siana, w prawą gówno końskie i stanąwszy przed policjantem, zapytał:

— Eto kusał, eto srał, kuda bjeżał?

Niezrozumiały dla Polaka język niemiecki zawiera w sobie jednocześnie i coś tajemniczego. Dlatego według naszych wyobrażeń ludowych zwierzęta często mówią po niemiecku, Pan Bóg uznaje tylko mowę polską, diabeł natomiast jest doskonałym znawcą niemczyzny.

Na tym motywie osnuta została klechda, znana w Radomskiem i na Pomorzu p. t.:

JAK DIABEL UCZYŁ GOSPODYNIĘ PO NIEMIECKU

Dawno temu żył na Kaszubach zamożny gospodarz. Miał on młodą żonę, która zakochała się w swoim młodym parobku. Chcąc się w porze nocnej pozbyć męża mówiła mu często:

— Nasz parobek mówi dobrze po niemiecku. On mnie nauczy tego języka, a wówczas nie dam się już oszukać handlarzom.

Gospodarz tedy rad nierad sypiał w stajni razem z końmi, a parobek umieścił się na strychu. Ale jakaż to była nauka! Gospodyni wraz z parobkiem dobrze jeździ i popijali, a potem szli razem spać. I tak bez żadnych przeszkód grzeszyli przez wiele miesięcy. Gospodarzowi zaś zdawało się, że jego żona uczy się po niemiecku, a parobek sypia na strychu.

Diabła cieszyło to wszystko, co się działo w gospodarstwie gbura. Jednego dnia zaszedł do chłopa i zapytał:

— Czy nie potrzebujesz parobka? Ja bym chętnie u was pracował.

Ale gospodarz odpowiedział:

— Obecnie parobek nie jest mi potrzebny. Mam bardzo dobrego, który nawet uczy moją żonę po niemiecku.

— Wobec tego — oświadczył zły — będę u was pracował przez cały rok za darmo, a znam także doskonale mowę niemiecką.

Gospodarz się zgodził, a diabeł okazał się dobrym i silnym pracownikiem. Gospodyni nie chciała jednak uczyć się od niego po niemiecku. Spał tedy razem z gospodarzem w stajni.

Raz pośród nocy diabeł obudził gospodarza i oznaj-

mił mu, że ktoś chodzi po podwórzu. Najpewniej złodzieje albo cygani. Trzeba ich przepędzić.

Ale diabeł nikogo na podwórzu nie szukał, tylko zapukał do okna sypialni. Gospodyni otworzyła okno po jakimś czasie i zapytała czego właściwie szuka po nocy.

— Gospodarz kazał mi — oświadczył diabeł — dokonać pewnej roboty w domu. Proszę mi otworzyć!

Ale ona nie chciała.

— Idź spać, — wołała — na robotę będzie dość czasu za dnia.

Ale diabeł nie dał się z niczym odprawić. Gospodyni schowała tedy parobka, który leżał u niej w łóżku, w drugiej izbie pod grochowinami i wpuściła diabła do środka.

— Muszę te grochowiny — oznajmił diabeł — jeszcze raz przemłócić. Gospodarz znalazł w łuskach wiele ziarna i za karę nakazał mi odwalić tę robotę po nocy.

— Nie awanturuj mi się tutaj, — zawołała gospodyni doprowadzona do wściekłości — tylko idź zaraz spać.

— Kochana gosposiu, — odpowiedział diabeł — chętnie pójdę spać, ale wpierw muszę wypełnić rozkaz mojego pana.

Zaraz chwycił za cep i począł obrabiać słomę, pod którą leżał parobek. Kobieta chciała mu przeszkodzić, ale diabeł posadził ją na piecu, związał mocno jej ręce i młócił zawzięcie dalej. Parobek cierpiał jak mógł i nie krzyknął ani razu. Diabeł skończył nareszcie swoją robotę, uwolnił gospodynię i poszedł z powrotem do stajni. Gospodarzowi zaś opowiedział, że przepędził złodziejów i pozamykał wszystkie drzwi.

— Dobry z ciebie chłopiec, — pochwalili go gospodarz — troszczysz się o moje dobro tak, jak o swoje własne. Lepszy jesteś od tego leniucha, który robi wszystko, żeby się tylko wymigać od pracy.

Następnego dnia zabrano grochowiny z izby i zaczęto czyścić żyto. Plevy włożono w wielkie worki, które zostały ustawione w izbie. Po czym wszyscy poszli spać.

W nocy diabeł wstał znowu i zaczął stukać do okna. Ponieważ gospodyni miała znowu u siebie parobka, nie chciała otworzyć, tylko kłęła, lajała i wołała:

— Znowu cię tutaj diabli przynieśli. Nie wiem czego ty właściwie wciąż po nocy szukasz. Idź spać, dziś ci z pewnością drzwi nie otworzę.

Ale diabeł nie ustąpił, tylko powtarzał swoje:

— Gospodarz mnie tu przysłał! A jeżeli mi drzwi nie otworzycie, to ja sobie sam dam rady!

I zaczął zaraz przy zamku majstrować. Gospodyni, widząc że nie poradzi, owinęła swego kochanka w prześcieradło i kazała mu się schować do worka z plewami. Kiedy diabeł dostał się do środka, powiedział, że gospodarz kazał mu pozanosić worki na strych. Naprózno sprzeciwiała się gospodyni. Diabeł znowu ją związał i tak, jak przed tym posadził na piecu, a potem zaczął nosić jeden worek po drugim na strych. Wreszcie chwycił i ten worek, w którym schował się parobek. Kiedy już był na górze, zrobił tak, jakby worek był za ciężki, rzucił go na ziemię i rzekł:

— Nawet w nocy nie dają żyć człowiekowi. Alem się z tym ostatnim workiem natrudził! Jakiś on strasznie nabyt, trzeba go wyklepać!

— Ach ty nicponiu — zawołała gospodyni — zostaw tę robotę i idź lepiej spać!

Ale diabeł chwycił jakąś palkę i zaczął obrabiać nieszczęsny worek z całej siły. Kiedy się już do woli napracował, złapał ów worek i rzucił go tam, gdzie się już inne znajdowały.

Potem odwiązał gospodynię i rzekł:

— Kochana gosposiu, u was trzeba niczym koń pracować, bo koń przynajmniej w nocy wypoczywa. Mam już dosyć tego wszystkiego. Trzeba mi się obejrzyć za jakąś inną pracą.

— Mądrze mówisz, — odparła gospodyni — najlepiej będzie, jeśli sobie pójdziesz do diabła...

Kiedy zły zniknął, gospodyni weszła na strych i wyciągnęła swojego parobka z worka.

Nieszczęsny zalotnik począł się skarżyć:

— Już nigdy więcej nie przyjdę do ciebie w nocy. Ten nowy parobek wie dobrze co w trawie piszczy. Dał mi też straszliwego łupnia!

Kobieta począła go błagać, aby jej nie opuszczał.

— Już ja ciebie wykuruję, dostaniesz najlepsze jedzenie jakie jest tylko na świecie. Kiedy gospodarz będzie jutro na polu, przyjdź, a ja cię poczęstuję jajecznicą ze słoniną.

I tak się pogodzili ze sobą.

Następnego dnia gospodarz już wczesnym rankiem wyruszył na pole, a diabeł miał zostać w domu i rąbać drzewo.

Tymczasem przewrotny diabeł przybrawszy na się postać kochanka, stanął przed chatą i zapukał do okna. Dostał półmisek jajecznicy, pożarł zaraz wszystko i poszedł do roboty. Po jakimś czasie zjawił się prawdziwy parobek, zastukał do okna i począł się domagać obiecanych smakołyków.

— Co znowu! — zawołała gospodyni. — Przed chwilą dostałeś pełny półmisek, a teraz chcesz znowu jeść?

— Nic nie dostałem! — odpowiedział. — Pewno sama wszystko zeżarłaś. Pokaż no język!

Ponieważ jednak pojawiła się któraś z dziewczek, parobek odszedł na bok. Kiedy po pewnym czasie gospodyni usłyszała jakieś stąpania koło chaty, wyjrzała przez okno i pokazała język.

Był to jednak znowu diabeł, który chwycił za język i wyrwał go od jednego zamachu.

Koło południa gospodarz wrócił z pola. Diabeł powitał go, mówiąc:

— Udało mi się dokonać tego, czego wasz parobek nie potrafił jeszcze. Wasza kobieta mówi już płynnie po niemiecku. Jestem wam tedy już niepotrzebny.

Chłop podziękował mu i rzekł:

— Teraz mam nareszcie mądrą kobietę, która nie da się oszukać w mieście. Nawet z Żydami będzie umiała handlować. Ale zanim od nas odejdiesz, powiedz mi w jaki sposób mam teraz do niej po niemiecku przemawiać?

Diabeł musiał się jeszcze mocno trudzić, aby głupiego chłopca nauczyć takiego pytania: „Co robi u ciebie parobek w nocy?”.

Po czym uradowany wrócił do piekła.

Gospodarz wszedł do izby i począł pytać tak, jak go diabeł nauczył.

Gospodyni jednak kręciła głową, jęczała, machała rękoma, ale z ust jej nie wydobywało się nic oprócz jakichś niezrozumiałych jęków. Chłop myślał z początku, że jego baba mówi po niemiecku, po pewnym

czasie jednak poznał, że brakuje jej języka. Począł tedy sam jęczeć i wołać:

— Cóż ja teraz pocznę z tą niemową?!

Po pewnym czasie zrodziło się w nim dziwne podejrzenie. Zawołał parobka-kochanka i począł krzyczeć:

— Ty szelmo! Ty nicponiu! Dlaczego wygadałeś handlarzom z miasta, że moja żona umie mówić po niemiecku? Ci bojąc się o swoje interesy przyszli do chałupy i wyrwali babie język! Ach ty niegodziwy zdrajco!

Chwycił pałę i począł obrabiać parobka jeszcze lepiej niż diabeł.

A potem wyгнаł go z domu.

Kobieta jednak pozostała niemową. Słabowała nieustannie i wreszcie umarła — pewno teraz w piekle rozmawia z diabłami po niemiecku.

Ze szczególnym upodobaniem oszydza się narodowe hymny sąsiadów. I tak np.:

Deutschland, Deutschland über alles,
włoży kozie w d... palec.

Albo zamiast „Ich bin ein Preusse, kennt ihr meine Farben“:

Ich bin ein prosiak,
wpędźcie mnie do chlewa.
Gdy ja nie idę,
weźcie na mnie kij.

Polacy wyśmiewają również i niemiecką modlitwę:

Vater unser, der du bist,
trzymaj portki, bo zgubisz.

W zakresie docinków językowych ludność polska i niemiecka współzawodniczą ze sobą w równej mierze. Język polski wykazuje wprawdzie większą obrotność, niemniej jednak i Niemcy w wyzwiskach słownych nie pozostają nam dłużni. Polack, Wasserpolack, Pulke, Polsche, Schlunze, Quadratkaschube itd. to szeroko stosowane pogardliwe przezwiska.

Niemcy wyśmiewają Polaków, że w wielu słowach kładą na końcu wysoce nieprzyzwoite wyrażenie: arsch (arz) np. leckarsch (lekarz), aptekarz, arendarz itd. I tak np. jeden z Niemców uczących się po polsku tak się z języka naszego naśmiewał: „Dass die Polen in ihrer Sprache einen Schreiber „Pissarsch“ (pisarz), einen Maler „Malarsch“ (malarz), einen Schornsteinfeger „Komm-in-arsch“ (kominiarz), eine Hebamme „Arschkuckerka“, einen Tierarzt „Wetter-in-Arsch“ (weterynarz) nennen, das kann ich alles noch verstehen. Aber warum ein Tintenfass „Kahl-am-Arsch“ (kałamarz) sein soll, das ist mir ein Rätsel“.

Nie brak i w tradycji ludowej polskiej wyzwisk najpospolitszych, nieraz bardzo niewybrednych pod adresem Niemców.

Podaję niektóre z nich, przepuszczając najbardziej trywialne i mało dowcipne.

Umarł Niemiec umarł,
leży na ulicy.
Nie miał go kto płakać,
przyszła świnia — ryczy.

Umarł Polak, umarł,
na zielonej łące.
Przyszły trzy panienki,
wzięły go na ręce.

Śwajder, majder, śwajder siust!
Poślę Niemcy na odpust!
A co uśli, to usiedli,
i co mieli, to zjedli
aze za trzy mile s... biegli.

Ctery panny w tańcu,
łopucha na końcu.
Łopucha się okociła,
trzysta Niemców porodziła
i dwadzieścia Niemków.

Mimiec szkop,
na kobyłę wsiodł;
kobyła pierła,
mimiec spodł.

Niemiec a pies albo świnia to jedno i to samo.

Niemiec a świnia,
to jedna rodzina.

Niemiec szwejn,
Polak fein.

Co Niemiec,
to pies.

Niemiec pies,
Niemiec pies,
a Niemczanka suka.
I Niemczęta
są szczenięta.
To jest podła sztuka.

Zdechły Niemiec,
zdechły pies,
mała to różnica jest.

A wy Niemcy nic nie wiecie,
Wasza mowa to psie wycie.
W waszej wsi, jak psy zawyły,
wszystkich Szwabów diabli wzięli.

W różnych piosenkach często znajdują się takie zwroty, jak: „każdy Niemiec sobaka“, „Niemcy, psy, cybuchy“, „niemiecka psiakrew sobacza“, „lutry psy“.

Często też Polacy nazywali psy swoje takimi przezwiskami, jak: Niemiec, Szwab, Prusak, Krzyżak, Bismarck, itd.

Wedle tradycyjnego przekonania Niemiec jest odrażający i oznacza się obrzydliwym zapachem. Na ten temat opowiadano sobie np. podczas pierwszej wojny światowej następującą facecję:

Gdzieś w kraju neutralnym znajdowała się większa ilość uzdrowieńców różnych narodowości. Dla braku innego zajęcia zorganizowali oni między sobą osobliwe zawody. Chodziło o to kto najdłużej przykry zapach przetrzyma. Ponieważ najbardziej nieprzyjemna jest

woń starego kozła, postanowiono rozegrać zawody na terenie jego stajni. Pierwszy wszedł tam Francuz, który już po kilku minutach wypadł stamtąd jak oparzony i pierwszy zakład przegrał. Nie lepiej powiodło się Anglikowi, który jednak nieco dłużej od Francuza wytrzymał. Wreszcie do stajni wszedł Niemiec. Czekano bardzo długo, nikt się nie ukazywał. Dopiero po dłuższym czasie wypadł ze stajni stary kozioł wołając:

— Nie, z tym Niemcem wytrzymać niepodobna!

Facecja jak facecja... Właściwa pointa na tym polega, że wychodzący wówczas w Warszawie dziennik prawniemiecki „Godzina Polski“ wydrukował tę anegdotę jako przykład niemieckiej wytrzymałości i odporności na najgorsze nawet warunki. Taki naród musi zwyciężyć; i to nie tylko starego kozła, ale i cały świat.

Jeśli chodzi o szermierkę słowną, mieliśmy niewątpliwie obrotniejszy język od Niemców. Niemieckie antypolskie przysłowia, facecje i piosenki nie wytrzymują żadnego porównania z tego rodzaju literaturą polską. Ale niestety współzawodnictwa narodowego nie wygrywa się żartem, nawet najlepszym. Z uszczypliwą pogardą dla Niemców nie łączyły się żadne poczynania polityczne. Nie tylko nie prześladowaliśmy Niemców, ale nie umieliśmy unieszkodliwić ich na własnym, naszym terenie. Nasza państwowość popełniała błędy zasadnicze, nie prześladując ani nie tępiąc Niemców. Zarzut, który Polsce należałoby wytoczyć, w tym się powinien wyrazić, żeśmy właśnie nie popełniali tych „zbrodni“, którymi nas potem obciążano. W stosunku do mniejszości niemieckiej w Polsce stosowaliśmy liberalizm pomieszany z niedołęstwem. Żyli oni sobie w Polsce na

swobodzie, bezpiecznie i bogato. Posiadali wielkie przedsiębiorstwa, olbrzymie połacie ziemi i zasobne gospodarstwa. Tym „męczennikom“ pęczniały brzuchy i worki ze złotem. Korzystali ze wszystkich przywilejów i swobód obywatelskich. Prowadzili bez żadnej przeszkody robotę polityczną, a w ukryciu szpiegowali i przygotowywali dywersję na wypadek wojny. Na wprost jawnie działali na szkodę państwa polskiego. Nie potrzebowali się przy tym zbytnio ukrywać, bo rzadko kto usiłował ich schwycić na gorącym uczynku.

Wkraczając do Polski Niemcy przypuszczali prawdopodobnie, że będą się mogli oprzeć w znacznej mierze na ewangelikach, którzy, jak im się zdawało, spolszczyli się tylko powierzchownie. Rachuby te jednak przeważnie zawiodły. Urok germańskiej potęgi zdołał pozyskać tylko niektóre jednostki niemieckiego pochodzenia.

Typowym przykładem takiego wojennego renegata był np. znany mi osobiście Ertner, właściciel młyna w Nadarzynie. Przed wojną był łowczym w naszym kołku myśliwskim i udawał rdzennego sarmatę. Kiedy zjawili się Niemcy od razu wywiesił na swoim domu sztandar hitlerowski i jak się okazało jeszcze za polskich czasów brał udział w przygotowaniach dywersyjnych. Po niemiecku natomiast ani słowa nie umiał. Kiedy jednego razu przyjechałem do Nadarzyna po mąkę, uproszony przez Ertnera służyłem jako tłumacz w rozmowie między volksdeutchem a oficerem niemieckim, którzy nie mogli się ze sobą dogadać.

Ertner był bardzo chciwy i podczas wojny dorobił się milionów. Głupiec nie przewidział, że będzie musiał rzucić swój dobytek i uciekać na Zachód.

Ale inni Polacy o nazwiskach niemieckich, ewangeli-

cy i kalwini, kupcy, przemysłowcy i pastorzy zachowali niezłomną, bohaterską postawę. Nie ulękli się grózb, nie załamali się wśród tortur, woleli zginąć okrutną śmiercią niż zaprzeć się ojczyzny, z którą ich pokolenia po długim obcowaniu zrosły się i którą nauczyli się kochać każdym włóknem duszy.

Będziemy zawsze pamiętać niezłomny hart takich ludzi, jak Brun i Bursche, którzy zapisali się na wieczne czasy w męczeńskiej księdze narodu polskiego.

Propaganda hitlerowska rozwodząca się nad martyrologią niemiecką w Polsce uderzała w próżnię. Po wtargnięciu Niemców do Polski trzeba było w sztuczny sposób sfabrykować krwawy opar „zbrodni“, aby samemu zbrodni dokonać, aby rozpaść do białości nieważność w tępych łbach zawodowych morderców.



GDY RODZIŁ SIĘ ŻART...



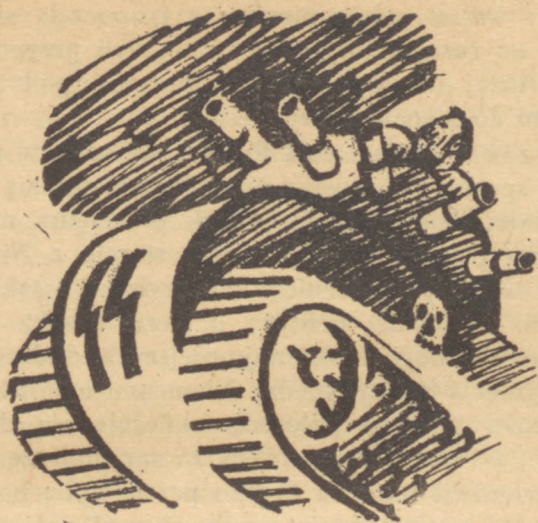
Zarówno rozdział niniejszy, jak i „Demon z uśmiechem błazna” są częścią obszernej broszury p. t. „Postawa stolicy”, którą napisałem w połowie roku 1944 podczas wypoczynku letniego w Czarnieckiej Górze.

Wszystkie ilustracje do końcowych rozdziałów pochodzą z polskich wydawnictw konspiracyjnych.

THE HISTORY OF THE



THE HISTORY OF THE
LIFE OF THE
LORD OF THE
TREASURY



Dla właściwego uświadomienia sobie czym były w Warszawie przez armię hitlerowską zdobytej i okupowanej narodziny antyniemieckiego, powszechnego szanderstwa, trzeba odtworzyć w ogólnym choćby zarysie tę drogę osobliwą, którą odbyliśmy przedtem.

Przewyciężenie psychiczne krwawych prześladowań niemieckich, pogardliwe spojrzenie na butny „Herrenvolk“ nie narodziło się od razu, nie było ani łatwe ani proste. Był to przełom wywołany zarówno długotrwałym działaniem instynktu, jak i świadomą akcją tzw. „małego sabotażu“, przeprowadzoną umiejętnie przez specjalną grupę konspiracyjną „Wawer“.

Kiedy wojna polsko-niemiecka rozpoczęła się, okazało się od razu, żeśmy do niej nie byli przygotowani, tym bardziej nie byliśmy przygotowani pod żadnym względem do nieuchronnej klęski.

Warszawa tak, jak cała Polska, wyraziła w niedwuznaczny sposób swoją wolę przeciwstawienia się nawałce germańskiej. Niewątpliwie jednak przeciętny obywatel polski nie przewidywał, że nasze starcie z Niemcami skończy się niepowodzeniem tak szybkim i tak bezna-
dzijnym. Natomiast politycy u steru władzy i wyżsi wojskowi nie mogli żywić najmniejszych złudzeń co do rozstrzygnięcia wojny między Niemcami a Polską. Bez nadziei naszego położenia należało się domyślić również i z tego prostego faktu, że sprzymierzeniec angielski odmówił nam na krótko przed wybuchem wojny pożyczki, a udzielił jej z wielką skwapliwością Turcji, która, jak się wydaje, zawiodła w dalszym rozwoju wypadków pokładane w niej przez aliantów nadzieje.

Pomimo to wszystko wojna z Niemcami była narodową koniecznością, była wyrazem niepokornego instynktu. Gdyby w tym czasie znalazł się jakiś wybitny mąż stanu, który by usiłował nas skłonić do pojednawczego układu z Niemcami, wywołałby niewątpliwie w całym kraju rozruchy o charakterze rewolucyjnym i doprowadziłby najpierw do klęski jeszcze szybszej, a potem do rozdarcia społeczeństwa na zwalczające się między sobą ugrupowania i stronnictwa. Ponieważ jednak w Polsce przed wojną ostatnią nie było ani jednej indywidualności o mocnym wśród całego narodu autorytecie, rozstrzygnięcia musiały nastąpić zgodnie z władaniem instynktu narodowego, z nieprzepartą koniecznością wywołania starcia zbrojnego z wrogiem potęż-

nym, przygotowanym jak najlepiej, jak najdokładniej do pierwszej wojny w Europie.

Nie było wówczas żadnej możliwości, abyśmy mogli naśladować zręczną i wielolicową taktykę Czechów, którzy zdołali przetrwać z małymi stosunkowo stratami groźną nawałnicę dziejową.

Od samego początku ściele się przed nami droga krwawych, długoletnich ofiar i cierpień. Z drogi tej przez niespełna sześć lat nigdyśmy prawie nie zboczyli, mimo najosobliwszych powikłań politycznych, mimo dezorientacji, którą nam narzucali nieraz nasi własni, zachodni sprzymierzeńcy. W atmosferze zatrutej i na wskroś niemoralnej, w atmosferze powszechnego szantażu, chwytów i wymuszeń zdradzieckich zachowujemy do końca podziwu godną wytrwałość, stanowczość przetrwania i zupełną jednolitość narodową.

Nie ma w naszym podążaniu do drogowskazu wolności żadnych odchyień, niepewności i chwilowych pomyłek. Najpierw istnieją tylko odczucia i błyski niezdecydowane, a potem narasta coraz silniejsza i potężniejsza świadomość narodowego przeznaczenia. W pierwszych zaledwie chwilach ponad społecznością polską unosi się jakby poczucie hańby. Czujemy się zmiażdżeni siłą olbrzymią, nasza słabość i brak przygotowania należytego wydaje nam się przestępstwem nie do darowania. Zaniedbano wszystkiego, ludzono lekko myślnie cały naród i nie uczyniono prawie nic, aby dla wrodzonego męstwa polskiego stworzyć warunki odpowiednie. Jesteśmy niemal pewni, że klęska do naszej podobna nie może się już więcej wydarzyć na kontynencie europejskim. Uważamy się za pariasów świata. Krytykujemy rząd, dowództwo, większą część oficerów i genera-

łów, a potem jeszcze przez czas jakiś płoniemy entuzjazmem podczas oblężenia Warszawy. A kiedy stolica kapietuluje przyglądamy się z zastygłą rozpaczą wkraczającej armii niemieckiej.

Ucichły wówczas głosy niestrudzonych optymistów, gasły zarzewia humoru i dowcipu, nie opowiadano już po Warszawie najnowszych, aktualnych kawałów, nie śpiewano dowcipnych piosenek. Uśmiech na ustach stolicy zamarł na długo.

Tymczasem na murach stolicy pojawiło się obwieszczenie Franka, który obiecywał ludności polskiej swobodę narodowego bytowania, a groził tylko karami bezwzględnyimi wicherzycielom politycznym i paskarzom. Nie zdawaliśmy sobie wówczas sprawy ile w tym oświadczeniu było utajonego kłamstwa, nie wiedzieliśmy, że podstępne kręctwo barbarzyńskiego wroga może każdego z nas określić i nazwać tak, jak się będzie podobało od nikogo niezależnym siepaczom z Gestapo.

Gdyby w tym pierwszym, początkowym okresie władze niemieckie objawiły pewną zręczność, gdyby przejawy się choćby najbardziej zdradliwe zamiary skłócenia nas pomiędzy sobą, gdyby starano się przy pozorach kierunku wolnościowego rozszerzać i oddziaływać na stan naszego zwątpienia, to wówczas osłabiony polski organizm zostałby osłabiony jeszcze bardziej. Niewątpliwie w krótkim okresie naszego rozpadu duchowego Niemcy mogliby uzyskać dla się pewne powodzenie. Była to jedyna chwila niebezpieczeństwa, chwila krótkiego zawahania się, niepewności i przytłumienia instynktu narodowego. Wytrąceni z równowagi, zbłąkani wskutek upadku, który wyolbrzymiliśmy niewłaściwie, mogliśmy łatwo pobłądzić. Otepiałość powszechna stwarzała dla

nieprzyjaciela rozumnego podłoże sposobne do działań podstępnych .

Ta chwila niebezpieczeństwa w istocie bardziej groźnego, niż cierpienia i ofiary, szybko przeminięła, nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu.

Butna potęga Niemiec nie okazywała najmniejszej nawet ochoty do parania się z zadaniami tego rodzaju. Niemcy hitlerowskie przygotowywały przez długie lata olbrzymią maszynę wojny błyskawicznej, a ramieniem tej wojny błyskawicznej był terror bezwzględny i totalny. Ich hasła polityczne wobec Polski streszczały się jedynie w urzeczywistnieniu słów Bismarcka, który wołał: „Bijcie Polaków... nie pozostaje wam nic innego jak ich wytępić!“ Nie chcą nas nawet germanizować czyli w swoim pojęciu tworzyć jakichś gorszych Niemców. Na szczęście ani w ideologii hitlerowskiej ani wśród przywódców partyjnych nie było dotychczas ani odrobiny liberalizmu demokratycznego. Nie mieli nawet zamiaru wprowadzać u nas cokolwiek z programu socjalnego i oprzeć się wskutek tego na klasach uprzywilejowanych. Jakiegokolwiek ustępstwa na rzecz Polaków, jakiegokolwiek próby porozumienia się z nami uchybiały wówczas ich poczuciu wielkości i dumy. Szli przecież na podbój całego świata, cóż tam znaczył jakiś kraj, który przypadł im jako pierwszy łup wojenny. Ruszyli tedy frontowym atakiem terroru na wszystkich Polaków: na inteligencję, na chłopów, robotników, rzemieślników, mieszczan i księży. Tak zwane „generalne gubernatorstwo“ było jakby kotłem, do którego spychano ze wszystkich stron Polski żywioły najbardziej odporne, buntownicze i z różnych powodów na zagładę skazane. Tu na tym terenie „swobodnego bytowania“ miało być

właśnie dokonane ostateczne wyłączenie żywiołu polskiego. W przyszłym imperium niemieckim mogli być Polacy jedynie jako warstwa posłusznych niewolników, spełniających podrzędne posługi dla narodu panów.

Niebawem miały nastąpić pierwsze straszliwe uderzenia. Siły jakże były nierówne. Z jednej strony naród pogrążony w zwątpieniu, prześladowany nieustannym poczuciem zawodu i własnej niższości. Żadna z organizacji podziemnych jeszcze nie istniała. Dopiero po pewnym czasie na murach Warszawy pojawiły się pierwsze nieśmiałe wyczyny sabotażu, organizowanego przez polską młodzież. Tymczasem jesteśmy zupełnie osamotnieni i bezradni. Ci, którzy nas opuścili zawczasu i szukali osobistego ocalenia zagranicą, nie zostawili nam żadnych środków ani wskazówek dla przetrzymania najokrutniejszej okupacji, jaka istniała kiedykolwiek na ziemiach polskich. Zakopano trochę broni, ale nie ma jeszcze nikogo, kto by jej mógł używać. Cały ciężar odporu dźwiga na sobie szara masa ludzka, której jedynym oparciem jest niewygasła mimo wszystko nadzieja, swoista polska lekkomyślność i umiejętność życia z dnia na dzień. Nasze przywary przysłowiowe stały się wówczas mimowolnymi zaletami. Uczymy się pomału trudnej sztuki wytrwałości i osiągamy w niej pewną doskonałość dzięki dowcipnemu sposobowi ustalania sobie co pewien czas krótkotrwałych terminów zakończenia wojny. Mimo wszystko lekceważyliśmy Niemców. Zdawaliśmy sobie sprawę z ich zalet, talentów organizacyjnych, z ich potęgi, świetnego uzbrojenia, nadzwyczajnych wynalazków militarnych, ale patrzyliśmy na nich zawsze z pogardą. Korespondenci pism niemieckich często wypominali nam,

że zwłaszcza Warszawiacy i Warszawianki nie raczyli ich zauważyć. Oni chodzili, pysznili się i nadymali, spoglądając dokoła z groźnymi minami, a oto wzrok pierwszego lepszego przechodnia prześlizgiwał się po nich, jakby byli stworzenni ze szkła.

Zaraz na początku okupacji Warszawie została odjęta godność stolicy. Wszystkie wątpliwe zaszczyty reprezentacyjne ma dźwigać Kraków — Kraków miasto pragermańskie zostaje zalane tłumami niemieckich urzędników, spełnia posłannictwo centrali, stąd płynęły nказы na całą „generalną gubernię“ i tutaj wygłaszał swoje blażeńskie przemówienia zbydłcony Frank.

Ale Warszawa nie pozwoliła sobie wydrzeć prymatu duchowego. W Warszawie biło serce całej Polski, tutaj wszystkie rozkazy niemieckie były lekceważone i jawnie gwałcone, tutaj srogie przepisy stały się martwe, tutaj wzmagal się z dniem każdym duch oporu i narastała coraz silniejsza nienawiść dla nieokrzesanych barbarzyńców. W jednej Warszawie Niemcy choć groźni stawali się coraz bardziej śmieszni. Z Warszawy płynęły najtrafniejsze anegdoty, tutaj rodziły się najlepsze kawały, które umysłowość niemiecka rozgryzała dopiero po dłuższym wysiłku. Byli tak nieruchliwi, że można ich chwytać wciąż na tę samą przynętę. „Dodatek nadzwyczajny“ ukazywał się kilkakrotnie i za każdym razem rozchodził się szeroko po mieście. Okólniki i rozporządzenia władz z ręcznie naśladowane, afisze z nagłówkiem „Führer powiedział“ widniały na murach stolicy nieraz po kilka godzin. Z Warszawy szły instrukcje i rodziły się nastroje, które podchwytywał cały kraj. W Warszawie wreszcie rozrosła się do niebywałych rozmiarów prasa podziemna, tutaj trwała niezmiennie reprezentacja pod-

ziemnych władz krajowych, tu doszło do porozumienia pomiędzy organizacjami politycznymi i rozwijała się niezmożona niczym pasja życia, której powabom ulegali z czasem i sami Niemcy.)

Z początku jednak siły były wielce nierówne...

Przeciwnik był pyszny, groźny i przygotowany do akcji terrorystycznej w najdrobniejszych nawet szczegółach. Plutony egzekucyjne opancerzone, zmotoryzowane i uzbrojone po zęby czekały tylko na rozkaz. Listy osób, które miały być aresztowane, zostały już dawno rozpracowane w Gdańsku. Więzienia opróżnione, niezliczone ilości obozów koncentracyjnych przygotowane. Cała teoria terroru totalnego, metody badań i tortur były opracowane należycie i doświadczalnie wypróbowane. Poza tym istniała osobista pomysłowość wszystkich sadystów i degeneratów, którzy w tych czasach dla siebie sposobnych skupili się w Gestapo, w S.S., w S.A. i całej wielorakiej organizacji policyjnej.

Na dnie okrucieństwa niemieckiego drzemało jakby przecucie rozkoszy.

Niemcy przedhitlerowskie były krajem nudnego racjonalizmu. Życie oszczędne, skąpo rozmierzone i wciąż beznadziejnie utraciło niemal wszystkie powaby. Dopiero rozkwit ruchu narodowo socjalistycznego otworzył przed narodem zbiedzonym i wtłoczonym w ciasne ramy pospolitego obowiązku perspektywę ponętnej przyszłości. Każdy dyktator nowoczesny zdaje sobie sprawę, że dla jego powodzenia potrzebny jest powiew prymitywnego chociażby mistycyzmu. Kryje się on już w całej dekoracyjnej aparaturze nowego ruchu. Olbrzymie chorągwie, świeże odznaki i symbole, okrzyki, hasła i zawołania koniecznie pozbawione sensu, zaciekla

ideologia rasistowska, hymny i pieśni, orgia niewidzianych jeszcze mundurów — to wszystko razem wprawia tłumy w uniesienie orgiastyczne. A potem pierwsze przelewy krwi, walki uliczne, zgromadzenia tłumne i wreszcie w chwili decydującej pożar Reichstagu. Jest coś z seksualnej przewrotności w tym ponurym widowisku przygotowanym z pompą teatralną. Tłusta Germania dyszy z rozkoszy, mrużąc lubieżnie oczy przyciska do swe go opasłego łona gwałtownego kochanka i oddaje mu się z bezwstydnym uniesieniem. Nareszcie dzieje się coś niezwykłego, coś, co wyrasta ponad szarą codzienność i rozwiera bezdenną otchłań nowych przeżyć.

To co się wydarzyło po dojściu do władzy w samych Niemczech, potem w Austrii i Czechach nie dawało jeszcze pełni zadowolenia. Tutaj wszędzie trzeba się było do pewnego stopnia hamować. Całkowita, wyuzdana rozkosz, oparta na bezkarności zupełnej czekała dopiero w Polsce, gdzie wolno było zabijać i dręczyć każdego, gdzie zostało jeszcze tylu Żydów, przeznaczonych na likwidację. Żydzi są rasą przeklętą, od której pochodzi wszystko zło na świecie, mieli być tedy wytepieni jak najdokładniej. Polacy są wrogiem pierwszego rzędu i powinni być wyniszczeni w znacznej części w okresie nieco dłuższym. Później okazało się, że ze wszystkich narodów podbitych mieliśmy lokatę prawie ostatnią. Niewolnicy polscy schwytni na roboty przymusowe traktowani byli najgorzej, gorzej od Francuzów, Włochów, Belgów, Holendrów, Jugosłowian itd. Myśmy bowiem przez niespodziewany opór zbrojny zmusili Hitlera do przestawienia powziętego planu, myśmy byli zawsze przeszkodą dla żywiołowego „Drang nach Osten“, pomiędzy nimi a nami istniała nienawiść instynktowna, dla

niektórych teoretyków niemieckich nawet niezrozumiała.

Kierownictwo partii hitlerowskiej usiłowało od razu przeprowadzić propagandę zupełnego pomiędzy Polakami a Niemcami odosobnienia. Była to działalność raczej śmieszna niż celowa. Podczas całej okupacji poza garstką oportunistów i nałogowych geszefciarzy w społeczeństwie polsko-niemieckim nigdy nie istniało. Nikt właściwie o ich towarzystwo nie zabiegał. Niektórzy Niemcy, co jak ćmy zwabione blaskiem domowej polskiej lampy, wdzierali się gwałtem do naszego kręgu rodzinnego, byli zawsze gośćmi kłopotliwymi, a kiedy pozorną dobroduszością i żywnościowymi łapówkami usiłowali to uprzedzenie przełamać, odgradzano się od nich pustką i milczeniem.

Niewiele było również sensu w patetycznym wykrzykniku „Warschauer Zeitung“, która pisała w pierwszych miesiącach okupacji:

„Niemiec biorący w ramiona polską dziewczynę popełnia zdradę narodową!“

Poza „volksdeutschkami“ do tych uścisków mało która Polka się kwapiła. Tym nielicznym, które popularnie nazywano „filatelistkami“ (lubiły marki), groziło ogolenie głowy i piętnowanie pod pretekstem opinii publicznej. Nawet zawodowe ulicznice nie zdradzały najmniejszej chęci do bliższych stosunków z niemieckimi urzędnikami i żołnierzami. Musieli się pocieszać w specjalnie zorganizowanych domach publicznych, gdzie im wydzielano rozpustę tak, jak chleb — na kartki.

Daleko bardziej niepokojąco przedstawiało się zagadnienie tzw. „martyrologii niemieckiej“ w Polsce w ogóle, a w Bydgoszczy w szczególności.

Sprawa ta została już dostatecznie wyjaśniona.

Cofające się oddziały wojska polskiego zostały w tym mieście zaatakowane podstępnie przez cywilnych Niemców. Było jeszcze dość czasu, aby żołnierze nasi mogli wyrzucić słuszną pomstę za zradziecki napad. Istotnie pewną ilość Niemców wówczas zabito.

Wykonane zostało surowe, ale słuszne prawo wojny. Każda armia zachowałaby się w podobnym wypadku tak samo. Prawa tego nie zaprzeczaliśmy nigdy Niemcom. Człowiek schwytyany podczas wojny z bronią w ręku musi zginąć.

Ale propaganda niemiecka wyolbrzymiła i sfalszowała wypadki bydgoskie w sposób niesłychanie lajdacki. Wypisano na ten temat całe tomy, wydano olbrzymią ilość broszur specjalnych. Twierdzono przy tym zawsze, że Polacy mordowali zupełnie niewinnych Niemców, naturalnie kobiety i dzieci. Odtwarzano z najdrobniejszych mi szczegółami wymyślone bestialstwo. Cała ta sprawa ciągnęła się przez szereg miesięcy. Co kilka tygodni odkrywano nowe mogiły pomordowanych ofiar, oraz ogłaszano wyroki na przestępców, którym sądy niemieckie udowodniły ich zbrodnie.

Oskarżenia rosły, jak lawina. Do sprawy bydgoskiej dołączano wciąż nowe, ponure afery. Wylaniał się *ad absurdum* olbrzymi przewód sądowy, który miał dowieść jak bardzo prześladowani i tępieni byli wszyscy Niemcy w Polsce.

Całe to rozpętanie propagandowe sprawiałoby wrażenie śmieszne, gdyby nie było w nim celu ukrytego.

Martyrologia niemiecka w Polsce była bzdurą propagandową, godną jedynie wzruszenia ramion. Domyśliliśmy się jednak wówczas czegoś znacznie gorszego, do

myślaliśmy się uderzenia, które rzeczywiście przyszło niebawem i wywołało wrażenie straszliwe.

Po raz pierwszy egzekucję na większą skalę przeprowadzono pod Warszawą na pograniczu Wawra i Anina. Było to zimą 1939 roku.

W jakiejś podrzędnej traktierni kilku rzeźmieszków podczas bójki z żołnierzami niemieckimi jednych zabiło, drugich poraniło. Teżte nocy w zacisznej i nic złego nieprzeczuwającej osadzie podwarszawskiej zjawily się samochody pancerne ekspedycji karnej. Obstawiono całą dzielnicę i powywlekano wszystkich mężczyzn ze wszystkich mieszkań. Byli to bez wyjątku ludzie przypadkowi, nie mający nic wspólnego z zajściem w podmiejskiej restauracji. Nie przeprowadzono zresztą żadnego śledztwa, nie przesłuchiowano nikogo, nie poszukiwano ani przez chwilę właściwych sprawców. Rano wykonano egzekucję. Ponieważ ilość ofiar okazała się niewystarczająca porywano pasażerów kolejki, która właśnie przybyła i wszystkich razem wysiekano karabinami maszynowymi. Właściciel knajpy został powieszony na drzwiach własnego domostwa, a kiedy na drugi dzień rodzina pochowała go na cmentarzu, wyciągnięto trupa z mogily i powieszono z powrotem na tym miejscu.

W ten sposób objawilo się po raz pierwszy krwawe, germańskie „ius loci“.

Pierwszym odruchem na tę krwawą zbrodnię była straszliwa panika. Od jednego zamachu rozpadły się wszelkie nadzieje na jakąś najprymitywniejszą chociażby praworządność. Przez znaczny okres czasu szalało przerażenie ogólne. Jeśli zdarzyło się coś podobnego, wróżono krwawy odwet. Wspomnienie pierwszej straszliwej egzekucji podniecało lęk przy każdej niemal spo-

sobności. Dość było, aby gdziekolwiek pijany żołnierz niemiecki zwał się do rowu, a oto cała męska ludność uciekała na oslep z pobliskich osiedli lub ulic. Nieraz zdarzało się, że do dzielnicy właśnie opuszczonej nadciągali skąd inąd strwożeni przybysze tutaj właśnie szukający ocalenia. Prerażona ludność błąkała się jak stado płochliwych owiec. Zrozumieliśmy wówczas wszyscy, że przed brutalnym terrorem niemieckim nic nikogo ochronić nie może — ani najskrupulatniejsze wobec wroga posłuszeństwo ani najlepsze z poszczególnymi Niemcami stosunki, ani zupełne odsunięcie się od spisaków i Polski Podziemnej. Nie było takich papierów ani legitymacji, takiego majątku, który by mógł wówczas kogokolwiek uchronić od śmierci, więzienia i zesłania do obozu koncentracyjnego człowieka przypadkowego, którego zły los rzucił na miejsce, gdzie popełniona została „zbrodnia“ wobec narodu niemieckiego. Nikt nie mógł przewidzieć dnia ani godziny swojego nieszczęścia. Po opanowaniu pierwszych trwożliwych nastrojów zaczęła wprawdzie coraz silniej umacniać się rezygnacja, pośród której wschodziły pierwsze kielkowania oporu i coraz bardziej świadomej walki. Rozumiano powszechnie, że tej wojny nie będzie można przeżyć w wygodnym odosobnieniu, poza nawiasem zmagania, w zaciszu domowym, w rozkosznictwie estetycznym albo pospolitym używaniu. Na terror totalny społeczeństwo polskie musiało odpowiedzieć uruchomieniem i powołaniem do życia wszystkich swoich sił, coraz bardziej świadomym oporem i coraz silniejszą jednością z Polską Podziemną, która wyłoniła się szybko i jeszcze szybciej zaczęła się rozrastać.

Tymczasem fale terroru nadciągały jedno po drugim.

Zdawało się, że sadyzm niemiecki pragnie ukazać swój urozmaicony repertuar, rozewrzeć przed nami całe piekło udręczeń i wyczerpać swoje okrutne rozkosze aż do dna. Dla oprawców niemieckich jest to jeszcze ciągle okrutna i bezkarna zabawa. Pamiętam np. olbrzymią łaskę pankę na ulicach Warszawy, która była inauguracją dopiero co rozpoczętego sezonu w osławionym Oświęcimiu.

Mimowoli doznawało się wrażenia jakiegoś wielkiego dworskiego polowania. Oddziały esesmanów tropiły i chwytaly zwierzynę. Na rogach ulic widać było oficerów niemieckich wyświeżonych, w eleganckich mundurach, białych rękawiczkach, rozpromienionych, uśmiechniętych, rozbawionych i ukazujących sobie nawzajem najzabawniejsze epizody tej obławy na cywilną ludność Warszawy.

Widzę długi sznur ludzi otoczonych żołnierzami z najeżonymi karabinami. Ustawiono ich szeregami i prowadzono zwartym pochodem. Byli tam ludzie oderwani prosto od warsztatów pracy, w białych kitlach, w fartuchach robotniczych, z gołymi głowami. Widziało się tam zwyczajnych przechodniów, elegantów, którzy wyszli na przechadzkę, inkasentów trzymających kurczowo wypełnione teczki, kupców, ekspedientów i wielu, wielu innych. Po pewnym czasie oddalili się w stronę trzeciego mostu i zniknęli w oddali. Nikt wówczas nie wiedział jeszcze co to jest Oświęcim? Pocieszano się, że tam można wytrzymać, że to jest obóz pracy, z którego się wraca po pewnym czasie. Dopiero pierwsze kartki z wiadomościem o śmierci, dopiero pierwsze szczegóły wytropione przez Polskę Podziemną uświadomiły, że z tego pochodu ludzi przypadkowych mało kogo zobaczymy,

a jeśli ten i ów wróci, to z połamanymi żebrami i nieuleczalną chorobą w umęczonym organizmie.

W ten sposób urządzano oblawy nowych kontyngentów do Oświęcimia, w ten sposób łapano na roboty do Niemiec i do obozu w Majdanku, gdzie połowa ludzi wymarła na tyfus.

Można bez najmniejszej przesady powiedzieć, że podczas całej okupacji niemieckiej terror nie ustawał ani na chwilę. Zmieniały się jedynie formy i sposoby, nasilenie w różnych dziedzinach prześladowania i niszczenia podnosiło się to znowu opadało, ale całkowite wytchnienie nie istniało nigdy.

Wszystko to, co się przechowywało w tradycji narodowej jako matyrologia Polski, wydało się w porównaniu z teraźniejszością dziecinną zabawką. Wszystkie Wrześnie i wozy Drzymały, wszystkie opisy męczeństwa przekazane nam przez wieszczów romantycznych błędy wobec tego, co się stało w ciągu ostatnich sześciu lat naszym chlebem powszechnym. Porównań należało szukać chyba w ponurych zamierzonych czasach, kiedy Germanie wycinali w pień plemiona słowiańskie, albo w epoce gwałtów krzyżackich. Od takich postaci, jak Murawiew-wieszatiel, który był bądź co bądź zjawiskiem wyjątkowym, roilo się teraz na Pawiaku, w Gestapo, w każdej komórce policyjnej, nawet w wojsku. Rok 1905, który wielu z nas jeszcze pamiętało, wspomniano jako niewinną zabawę. Oskarżonym trzeba było wówczas udowodnić zarzucane im przestępstwo, na posiedzeniach sądu wojskowego bojowców bronili adwokaci. Kiedy polscy rewolucjoniści zostali zesłani na katorgę, wywalczali sobie tam nieraz zupełnie znośne warunki bytowania. Mogli pracować naukowo, dorabiać się i po pewnym

czasie wracać do kraju albo zagranicę. Więzienie w Cytadeli z porównaniu z dzisiejszym Pawiakiem i obozami koncentracyjnymi przedstawiało się jak komfortowy pensjonat.

Dziś cofnęliśmy się o całe setki lat. Cały dorobek ludzkości, wolność narodu i jednostki zostały zgwałcone i wydane na łup hordom rozbestwionych morderców.

Terror stał się zagadnieniem, które trzeba było przyjąć jako objaw trwały, jako nieustający współczynnik życia — należało tedy doń się przystosować i przyjąć jako konieczność nieodwracalną, związaną organicznie z pobytem Niemców na ziemiach polskich. Przystosowanie się do terroru było bardzo rozmaite, ale było powszechne, było zawsze najtrudniejsze dla człowieka z tłumu, dla człowieka szarego i przypadkowego. Ludzie należący do Polski Podziemnej, zdecydowani na wszystko, otrzaskani z niebezpieczeństwem, wiedzieli jak się zachować w razie „wpadki“. Jedni walczyli do upadłego albo odbierali sobie życie w sytuacji beznadziejnej, drudzy uciekali szczęśliwie, jeśli się im uciec udało, inni szli na Pawiak z gotowym planem zachowania się odpowiedniego podczas badań i tortur. Zasłynęły opowiadane szeptem bohaterstwa niezłomne, stanowcza nieugiętość i odporność na wszystkie chwytły wyrafinowanego okrucieństwa. Wiadomo było zresztą powszechnie, że załamanie się i „sypanie“ było wyrokiem śmierci dla charakterów słabych. Gestapo likwidowało z zasady tych, których udało się zmusić albo nabrać na „szczerą rozmowę“. Policja niemiecka nie ceniła ludzi przez siebie spodlonych, nie poczuwała się do żadnej wdzięczności dla konfidentów, zdrajców i szpiclów. Po wyciśnięciu

potrzebnego materiału rozstrzeliwano ich bez miłosierdzia.

Policja niemiecka nie była zresztą policją dobrą w fachowym tego słowa znaczeniu. Terror totalny ma w sobie coś szczególnie znieprawiającego. Od jego wykonawców nie wymagano, aby przede wszystkim docierali do źródeł spisku. Byli oni tak zajęci aresztowaniem byle kogo, mieli tyle do roboty z wyniszczaniem całego społeczeństwa metodą uderzeń na chybił-trafił, że zatracać się musiała właściwa wszelkiej policji ambicja wdzierania się do zakonspirowanego wnętrza. Sukcesy osiągane w tej dziedzinie były zawsze raczej niedoskonałe i ułamkowe, najczęściej wywołane pomyślnym dla siebie przypadkiem, często wynikiem karygodnej nieostrożności ludzi podziemnych, co zresztą było naturalnym następstwem tak niesłychanie rozbudowanego życia utajonego.

Bardzo często od strony niemieckiej docierało do nas twierdzenie, że robota policji ułatwiona była w znacznym stopniu dzięki niezmiernie licznym anonimowym denuncjacjom.

Istotnie tego rodzaju wypadki zdarzały się.

Znaczna ich część znana jest należycie. Niektóre nikczemne indywidua załatwiały w ten sposób swoje porachunki osobiste. Niejednokrotnie metodą delatorską usuwano ludzi niewygodnych w stosunkach handlowych i majątkowych. Czasami denuncjacja była epilogiem zatargu miłosnego. Obawa przed tego rodzaju oskarżeniem zmuszała nas czasami do sztucznego oporotunizmu w stosunkach z jednostkami niepewnymi. Czasami powikłania niezdrowe rozstrzygał wyrok Polskiej Podziemnej. Sprawy te zostały przynajmniej częściowo

wo wyświetlone po wojnie. Dziś można tylko tyle stwierdzić, że autorami bardzo wielu denuncjacji byli „volksdeutsche“, Ukraińcy i „wsiakaja swolocz“ wieszająca się u poly niemieckiej. Gdyby nawet w tak wielkim, jak Warszawa środowisku tym niecnym procederem zajmował się tylko jeden procent, łatwo sobie wyobrazić ile z tego wyniknęłyby szkody, ile zamieszania, a przecież tak minimalny odsetek nie może mieć decydującego wpływu na moralną postawę stolicy. Myśmy zresztą takiego zamieszania nigdy nie odczuwali. W odpowiedzi na insynuacje niemieckie można dziś wskazać na powszechny, wrogi do okupanta nastrój. Ileż to razy każdy z nas był świadkiem rozmów śmiałych i otwartych w miejscach publicznych, w przedziale kolejowym, w tramwaju itd. A urągliwe dla Niemców piosenki w wykonaniu śpiewaków ulicznych, obdarzanych za to z demonstracyjną hojnością? A spotkania ludzi, którzy po wielu latach niewidzenia rozpoczynali od razu rozmowę, wykazującą bez żadnego ryzyka zgodność przekonań? A ileż tajemnic było nieraz znanych wśród wielkiego środowiska ludzkiego—tajemnic, o których ćwierkały niemal wróble na dachu, ale których nikt nie zdradzał policji niemieckiej!

Odporność społeczeństwa polskiego, które musiało wytrzymać nacisk terroru totalnego, urabiała się bardzo szybko dzięki wypadkom wojennym i na skutek osobliwych przeobrażeń wewnętrznych. Społeczeństwo hartowało się i męźniało, przewyciężając swym zdrowym organizmem wszystkie trucizny, które wróg sączył w nas świadomie i nieświadomie. W pewnych szczególnych okolicznościach ta odporność wybuchała tak gwałtownie, tak samorzutnie, że nawet ci niemieccy sie-

pacze, którym w twarde lby wpajano przekonanie o naszej niższości, którzy przyszli tu, aby ludność polską z pełnym uczuciem pogardy wyniszczyć i zdeptać, spojądali na groźne odruchy tłumu warszawskiego z podziwem, ze strachem, może nawet i... z szacunkiem. Było w życiu stolicy kilka takich zwycięstw wspaniałych, których niektórzy z nas, przetłoczeni nadmiarem wrażeń, dostrzec nie zdołali.

Może się to wydać komuś paradoksem, ale niewątpliwie pierwszym wydarzeniem, które podniosło nas na duchu, była bezprzykładna klęska Holandii, Belgii i Francji. Do wojny na Zachodzie przywiązywaliśmy wielkie nadzieje. Wierzyliśmy w staranne przygotowanie militarne tych zespołów, które przewyższały nas długoletnimi tradycjami państwowymi, znacznie większymi zasobami, rozbudowanym przemysłem wojennym, doświadczeniami na polskim terenie i niemal całym rokiem czasu. Wierzyliśmy w znane bohaterstwo armii belgijskiej i w wodę holenderską, wierzyliśmy w potęgę linii Maginota, geniusz dowództwa francuskiego i bitność najlepszej na świecie piechoty. Wszystkie te nadzieje zawodziły nas z zawrotną szybkością. Holandia, Belgia i Francja mimo wszystkich sprzyjających warunków uległy armii niemieckiej szybciej niż my, cośmy nie posiadali wcale lotnictwa, cośmy w bitwie pod Kutnem szarżami kawalerii chwiali szalę zwycięstwa przez wiele dni.

Po zajęciu Paryża widziałem ludzi, którzy przy aparatach radiowych ze wzruszenia i rozpacz płakali, ale widziałem także i takich, którzy mówili z dumą, że w tych straszliwych czasach nie okazaliśmy się najgorszymi.

Po Warszawie krążyła wówczas charakterystyczna anegdota. Oto sztabowcy francuscy zwrócili się z prośbą do generałów polskich, aby zechcieli ich pouczyć w jaki sposób armia polska umiała tak długo walczyć z nawałą germańską?

Nie było uczucia zadowolenia, że nasi sprzymierzeńcy ulegli tak jak my przemożnemu wrogowi. Zbyt wielki był kielich goryczy i zwątpienia, który trzeba nam było wychylić na początku wojny, zbyt namiętnymi przejęliśmy się oskarżeniami, aby te niespodziewane wypadki nie miały nas mimo woli wzmocnić i wyswo- bodzić z nieznośnego poczucia niższości i tych nieko- rzystnych opinii, których nam nie szczędzono. Sam prze- cież osobiście słyszałem, jak speaker angielski mówił na początku wojny zachodniej, że nie jest to już bezbronna armia polska, którą Niemcy tak łatwo rozgromiły, ale wojsko potężne, wspaniale wyposażone w najbardziej nowoczesny sprzęt wojenny. Sprytnie dźwigniętą rekl- amę zmiażdżyła niebawem twarda rzeczywistość. A myśl- my zrozumieli wówczas, że los nasz był losem całej nie- mał Europy. Dowiedzieliśmy się później, że wśród po- wszechnego zamieszania, pośród zwykłej zdrady i zała- mania duchowego oddziały polskie były się do ostatka po bohatersku. Jedni po wystrzeleniu ostatnich nabo-i wycofali się do Szwajcarii, drudzy w doskonałym po- rzędku przepawali się do Anglii. Od tego czasu zaczęła rosnać bohaterska legenda nowych polskich legionów, które po Narwiku miały utrwalić chwałę polskiego orę- ża pod Tobrukiem i pod Casino. A potem... a potem pa- liliśmy doskonale angielskie papierosy, które przywe- drowały do Warszawy z pod Dunkierki i z wrodzoną warszawską lekkomyślnością wyrażaliśmy zgodne prze-

konanie, że i tak Niemców prędzej czy później wezmą diabli.

Niebawem zwycięska bitwa powietrzna nad Anglią, w której tak chlubnie i tak rozstrzygająco odznaczyło się polskie lotnictwo, nasyciła nas przekonaniem, że wyspy angielskiej zdobyć nie podobna.

W najcięższej chwili, dalekiej jeszcze od zasadniczego przełomu, byliśmy niepoprawnymi optymistami — zupełnie inaczej, jak Anglicy, którzy zdawali sobie sprawę jak daleko ciągną się drogi wojny.

My natomiast w czasie wojny nie lubiliśmy czarnych nastrojów ani przepowiedni na długotrwałość. Niewątpliwie istniało wielu ludzi trzeźwych, miłujących cierpką prawdę, ale było najwięcej takich, którzy zwracając się do kogoś dobrze powiadomionego, zdawali się błagać wymownymi spojrzeniami:

— Zeżyży, ale powiedz i udowodnij, że ta nieprzyjemna zabawa musi się już niedługo skończyć...

Nie brakowało jednak i objawów bardziej wartościowych...

Jeśli zasadniczy trzon naszego społeczeństwa zdołał zachować zdrowie wewnętrzne, zdobyć się na czyny bohaterstwa, jeśli podjął nieubłaganą walkę, to działo się to przede wszystkim dlatego, żeśmy między sobą osiągnęli podczas tych sześciu lat zdumiewającą jednolitość, jednolitość, jakiej nie posiadaliśmy chyba jeszcze nigdy i którą poszczycić się nie mógł żaden naród w Europie.

Nieporozumienie z własnym społeczeństwem bywa w czasach zwykłych treścią duchową wielu ludzi, szlachetnych, niedocenionych i niezauważonych, będących owym „głosem na puszczy wołającym“. Ale w czasach

zagrożenia elementarnego, kiedy wróg usiłuje zachwiać podstawami naszego istnienia, kiedy walczymy wszyscy o prawo do bytu, o język rodzimy, o kulturę narodową o własny obyczaj i bezcenne dobro wolności, wszystkie niechęci i stare żale, wszystkie dociekania i myśli zuchwałe unicestwiają się w tym okresie czasu same przez się. Łączy nas wspólna niedola i wspólna walka. Ludzie obojętni i lekceważeni stają się sobie bliscy, rodzi się jakieś powszechne braterstwo, budzi się zrozumienie, którego nie było, wylania się gotowość pomocy wzajemnej, powstają nowe stosunki i przyjaźni na nowych oparte porozumieniach i wreszcie wszyscy razem tworzymy całym wysiłkiem nową rzeczywistość, nową rzeczywistość polską.

Do uodpornienia społeczności polskiej, a zwłaszcza narzucającej całemu krajowi posłuch, społeczności warszawskiej, przyczyniło się w znacznym stopniu wzrastające poczucie wyższości wobec Niemców. Wylaniało się ono z niezmożoną siłą w ciągu lat.

Niewątpliwie trudno lekceważyć kulturę niemiecką. Osiągnęła ona przecież wspaniałe szczyty w organizacji przemysłowej, w literaturze, nauce i muzyce przede wszystkim. Nie można zapominać o tym, że Niemcy są ojczyzną Goethego, Schillera, Hebla, Hoffmana, Kanta, Schopenhauera, Bacha, Mozarta, Beethovena, Schumana i wielu innych. Nie podobna pod wrażeniem okrutnych doznań przekreślać ich dorobku kulturalnego.

Jedno jest tylko pewne. Myśmy od wielu już wieków zespolili się ściśle z kulturą zachodnią, łacińską i chrześcijańską. W historii polskiej mało znajdziemy odchyłeń z tej właściwej nam drogi. Nie byliśmy narodem zaborczym i nie potrzebowaliśmy w prastarych pogań-

skich wierzeniach szukać natchnienia i usprawiedliwienia dla takich zamierzeń, które były nam obce i w których nigdy nie pragnęliśmy się wyżywać. Niemcy natomiast są terenem ścierania się dwóch wrogich cywilizacji, z których to jedna to druga odnosi przewagę. Zawsze żywe i nigdy nienasycone pogaństwo germańskie dochodzi do głosu w długich okresach pod różnymi postaciami. Reformacja nawet, a potem józefinizm, idee Hohenzollernów, Borusyzm czyli prusactwo, a wreszcie hitleryzm to poszczególne odmiany tego samego uwielbienia dla siły i przewagi materialnej, z zupełnym upośledzeniem wzniosłości ducha.

Hitleryzm był wykładnią gwałtownego rozkwitu tego kultu i jego zmierzchu. Kult ten wyznawali wszyscy Niemcy, którzy do nas przybyli. W starciu bezpośrednim my byliśmy przedstawicielami kultury humanitarnej i humanistycznej, oni jej zaprzeczeniem. Nasze życie pod okupacją było mimo wszystkich cierpień pełnią tych wartości.

Pomiędzy Beethovenem i Goethem a Polską dzisiejszą więcej jest duchowego powinowactwa, aniżeli pomiędzy nimi a współczesną Germanią.

I dlatego Niemcy, z którymi obcowaliśmy w Polsce, poza nielicznymi wyjątkami, nie objawili nigdy szlachetniejszych zainteresowań. Epoka hitlerowska obniżyła poziom ich życia duchowego, wyłączyła ducha chrześcijaństwa, doprowadziła do zupełnego zbydlęcenia, pozostawiając jedynie skromne zresztą zamiłowanie do muzyki. Zginęli nawet bez śladu tak zwykli w Niemczech szperacze, badacze drobiazgowi, typy prywatnych docentów i doktorów. Niemiec kupujący książkę, Niemiec interesujący się jakąś dziedziną wiedzy lub sztuki był

w Warszawie zjawiskiem niezmiernie rzadkim, o wiele rzadszym, niż czasu pierwszej wojny światowej. Po wszechną ich namiętnością była jedynie filatelistyka, która niby zaraźliwa choroba rozszerzyła się wśród plebsu niemieckiego. Księgarnie niemieckie w Warszawie, uruchomione przez półinteligentów, dostarczały swoim odbiorcom jedynie plew propagandowych. Wszystko inne było wyczerpane. Nie można było w nich dostać nawet klasyków, nawet zwykłej literatury rozrywkowej, nawet podręczników naukowych.

I co najważniejsza, Niemcy nie wykazały żadnych zdolności rządzenia krajem podbitym. Rozkazów i poleceń wydawanych przez przywódców niedokształconych i dyletanckich słuchali z niewolniczym posłuszeństwem i opuszczali bezradnie ręce dopiero wówczas, kiedy życie samo gromiło niedorzeczne pomysły. Ich rozporządzenia często były tak śmieszne, że nikt nie zdołał ich przestrzegać. Lubowali się jak dzieci albo barbarzyńcy w okazałości bezdusznej formalistyki. Wtykali gdzie się tylko dało swoją „wronę“, umieszczali napisy niemieckie na pudełkach od papierosów i zapalek, przemianowywali ulice, ubierali w małpie stroje naszych listonoszy i pocztulionów, podobnie jak zresztą każdy ustrój totalno-faszystowski wprowadzili skomplikowaną i bezduszną biurokrację, zasypywali nas lawiną dwujęzycznych okólników z pokaleczonym językiem polskim. Działalność propagandy wyrażała się w przedrukowywaniu starych powieści, albo wydawaniu głupich broszurek i rozsyłaniu haseł, które należało umieszczać na wystawach sklepowych.

W całej ich działalności nie znalazło się nic rozumnego, przewidującego, nic co by trafiało w sedno rzeczy.

Ci kandydaci na nowoczesnych Rzymian pozbawieni byli wszelkiej siły przyciągającej, chcieli budować imperium oparte na fizycznej przemocy. Niepodobna sobie wyobrazić bardziej ubogiego repertuaru życiowego, jak ten, który objawiali Niemcy w t. zw. „generalnym gubernatorstwie“.

Aresztować, torturować, rozstrzelać, wyrzucić z mieszkania, ograbić, wziąć łapówkę, obeźreć się i uchać, sprowadzić dziwki do mieszkania albo do kantyny, z mętym łbem odwalić urządowanie — to wszystko co potrafili. Ideologię narodowo-socjalistyczną otrzymywali w stałych zastrzykach przez prasę, okólniki specjalne, zebrania i narady, oraz uroczyste naloty wybitnych osobistości, powtarzających jeszcze raz to, co przeciętny Niemiec czytał i słyszał wiele razy. Propaganda niemiecka działała zawsze i wszędzie jednolicie. To, co podawała, zostało władowane do łba niemieckiego jako obowiązująca porcja, bez żadnych zastrzeżeń, bez indywidualnych przeinaczeń. Byli tedy masą bezbarwną i jednostajną, pośród której nie wyróżniała się żadna odrębna indywidualność. Były to umysły bezkrytyczne i powolne rozkazom nawet jeśli po cichu uważali się za przeciwników reżimu. Nikt w tym środowisku nie zdawał sobie sprawy, że rządzenie metodą liberalną, choćby podstępną, jest daleko owocniejsze niż tępy ucisk. Czasami ogarniało ich zniechęcenie, skoro urządowanie nie odbywało się tak gładko, jakby należało.]

— Z tymi Polakami — powtarzali coraz częściej — rady sobie dać nie można, należałoby chyba za każdym z nich postawić żandarma!

Niesłychane odkrycie! po cóż było marnować tyle czasu na zdobycie wiadomości, które nie były tajne od

samego początku. Każdy rozumniejszy polski uczeń pamiętał z lekcji historii, że wszelki ucisk budzi tylko i mnoży odpór. „Gwałt niech się gwałtem odciska!” — to hasło stare jak świat.

[Nawet tedy zwyczajny, przemysłny ludek warszawski lekcewał Niemca, pogardzał Niemcem, jako człowiekiem gorszego gatunku, wypatrywał w nim cechy śmieszne, obrzydzenie wznecające — zgodnie zresztą z naszą prastarą tradycją ludową.]

Kompleks niższości zawisł tedy nie nad nami, lecz nad Niemcami, którzy dla wojny totalnej wyzbyli się wszelkiego dobytku kulturalnego i aby zwyciężyć przeprowadzili powszechne ogłupienie. W stanie zupełnego ośpienia tam, gdzie się spotykali z wrogą sobie ludnością, musieli pogrążyć się w upadku moralnym i zupełnym skażeniu obyczajów.

Dość porównać na terenie t. zw. „generalnej gubernii” przeciętne życie polskie z przeciętnym życiem niemieckim, aby zobaczyć odrazu olbrzymią różnicę.

[Myśmy naszego dorobku kulturalnego podczas wojny nie zmarnowali. Nasze życie było ciężkie i trudne, ale bynajmniej nie jałowe. W pewnych środowiskach, w pewnych okresach i chwilach objawiało się jego niezwykłe bogactwo. Niektórzy ludzie żyli tak, jak nie żyli nigdy. Doprowadziliśmy zwłaszcza w Warszawie do najwyższej doskonałości zasadę: „żyć tak, jakby się nic nie działo”. Zdumiewający był czasami ten niezwykły przejaw odporu, to hołdowanie szlachetnym namiętnościom w czasach niepewnego jutra. Pasje zbierackie nigdy nie były tak rozwinięte, jak wówczas, kiedy tak łatwo można utracić wszystko w jednej chwili. Nigdy książka polska nie była tak, jak wówczas ce-

niona. Nigdy nie doksztalcano się z takim zapalem. Bez wątpienia wiele się w naszym życiu zmieniło, ale poziom potrzeb kulturalnych raczej się podniósł, niż obniżył, choć często szukać musiał schronienia w mrokach konspiracji. To, co wzbronione zostało, trwało i rozwijało się w ukryciu. Nie pozwoliliśmy sobie przerwać spożycia tego pokarmu duchowego, który wydawał nam się konieczny do normalnego bytowania. Wzgardziliśmy wszystkimi nikczemnymi, blahymi rozrywkami, które Niemcy usiłowali nam ofiarować za wyrzeczenie się wyższego poziomu życia. Urządzono dla Polaków specjalne kasyno gry, gdzieśmy przepędzać mieli całe noce na wzruszeniach hazardu. W kasynie tym bywała tylko hołota ostatniego rzędu. Spotykały się tutaj najnikczemniejsze indywidualia, rycerze podejrzanego przemysłu, zwykli kanciarze, zawodowi szulerzy, bookmacherzy i stręczyciele, z odpowiednią dokładką szpiclów i prowokatorów.

Wydawnictwa rozrywkowe i propagandowe utrzymane na bardzo niskim poziomie były przeważnie odrzucane przez czytający ogół. Wielkim powodzeniem w życiu stolicy cieszyła się muzyka, ale tylko muzyka organizowana przez czysto polskie zespoły. Popularne koncerty u Lardellego odwiedzano z początku tłumnie, skoro tu występowała jedyna w Warszawie orkiestra symfoniczna. Ponieważ jednak kierownictwo artystyczne należało do przypodchlebiającego się Niemcom Ukraińca Dołżyckiego, koncerty te zostały po pewnym czasie zbojkotowane.

Do teatrów, kabaretów i kinematografów uczęszczała jedynie publiczność bezmyślna. Opinia znacząca była tego rodzaju rozrywkom przeciwna. Wobec otumaniania się w różnych teatrzykach pornografią najlichsze-

go gatunku, zachowaliśmy się przeważnie wzdorliwie. „Tylko świnie siedzą w kinie“ stwierdzało popularne w Warszawie hasło. Teatr dramatyczny i komediowy, mimo wybitnych nieraz artystów, obniżył się do poziomu zatęchłej prowincji. Warszawa wolała obcować z ulubionymi aktorami i aktorkami występującymi w kreacjach kelnerskich. Dość urozmaicone były występy na estradach kawiarnianych, gdzie niemal powodzenia doznawała również muzyka kameralna...

Z czasem utrwaliło się wśród społeczności warszawskiej bytowanie odrębne i niezależne. Po przezwyciężeniu pierwszego załamania i upadku duchowego odzyskaliśmy prężność całkowitą, wytworzyliśmy życie w znacznym stopniu niezależne od tego, co działo się dookoła. Warszawa poza chwilami gwałtownego uniesienia, poza błyskawicami przerażenia zdobywała się na gest osobliwy, gest godny stolicy. Wyrażały się w nim, jak w jednym tyglu stopione, życiowa lekkomyślność, szydercza dla Niemców pogarda i niezawodna wiara w lepszą przyszłość. Krzewił się coraz bujniej humor warszawski, który stawał się nieodstępnym towarzyszem wszystkich naszych zabiegów, zmagañ i najcięższych przeżyć.

Wobec okrutnego przeciwnika przybywało pogardy, ubywało przerażenia. Nienawidziliśmy Niemców, ale jednocześnie wydawali się nam śmieszni. Żart, który się rodził w najrozmaitszych środowiskach warszawskich był symbolem najskuteczniejszego oporu, był jakby widowym sztandarem nieustającej walki...]



Pogrom stalingradzki zmiotł z powierzchni wojnę błyskawiczną. Cały wysiłek niemiecki zawisł jakby

w próżni. Przy miernych zdolnościach improwizacyjnych tępa umysłowość niemiecka musiała dokonać zasadniczej przemiany i przygotować szybko nowy, długotrwały plan działania. Było to jedyne niepowodzenie, które obchodzono z napuszoną okazałością żałobną. Później było jeszcze klęsk wiele, bywały i znaczniejsze, pomijano je jednak i lekceważono. Tym razem trzeba było spotęgować wrażenie nieszczęścia, aby z narodu niemieckiego wydobyć trud najwyższy, aby usprawiedliwić zarządzenia surowe, godzące przede wszystkim w drobną własność handlową i przemysłową. Napuszona uroczystość pogrzebowa „bohaterów stalingradzkich“ wyraziła się również w ponurym cmentarzysku, na którym zaprzepaszczone dorobek wielu zapobiegliwych pokoleń niemieckich. Dla przeciętnych córek i synów Germanii było odtąd miejsce tylko w armii albo w przemyśle zbrojeniowym.

Obawialiśmy się wówczas, że rozmach totalny zawadzi także o miasta polskie, a przede wszystkim o Warszawę. Przebąkiwano o zamknięciu wszystkich barów, kawiarni, restauracji, kwiaciarni, sklepów galanteryjnych itd. Na szczęście okazało się, że nie byliśmy dość godni, abyśmy mogli brać udział w żałobie zastrzeżonej wyłącznie dla „narodu panów“, który, aby utrzymać swoje wysokie dostojęństwo musiał stać się zbiorowiskiem parobków. Najprawdopodobniej Niemcy przebywający w „generalnym gubernatorstwie“ dążyli do utrzymania „status quo“, który zapewniał im znaczne dochody i rozkoszne przyjemności życiowe. W tej dziedzinie nic się u nas nie zmieniło. Lekkomysłni Warszawiacy pili kawę i opowiadali sobie najświeższe plotki, wielbiciele posyłali kwiaty pięknym kobietom, dorobkiewicz

zjadali wystawne obiady, a urzędnicy niemieccy wy-
ciągali łapówki skąd się tylko dało. Nasz handel i szma-
giel kwitł jak mógł, ludzie nieporadni lub nieszczęśliwi
głodowali po staremu, Polska Podziemna wzmagała co-
raz bardziej swoją działalność, a Gestapo nie przerywa-
ło masowych rewizji i aresztowań.

Oczywiście przedstawienie wojennego działania za-
czepnego na walkę obronną nie było jedynym splotem
zagadnień, które Niemcy musieli rozwiązać. Mogłoby się
wydawać, że skoro wojna błyskawiczna przestała ist-
nieć, musiało odpaść wszystko, co było z nią organicz-
nie związane. Ramieniem wojny błyskawicznej był ter-
ror. Dopóki istniała nadzieja szybkiego zwycięstwa, ter-
ror był narzędziem okrutnym, ale ze stanowiska niemiec-
kiego celowym. Wobec długotrwałej walki obronnej stał
się odrazu krwawym głupstwem. Przy wojowaniu przed-
łużającym się na czas nieokreślony łatwiej i oszczędniej
jest posługiwać się choćby pozorami wolnomyślności,
niż opierać się na rządach policyjnych. Niemcy nie byli
jednak zdolni do tego rodzaju improwizacji. Niepodob-
na było unieruchomić całą organizację terrorystyczną.
niepodobna było powierzyć nowych czynności ludziom,
którzy umieli tylko aresztować, torturować i rozstrze-
liwać. Można było wprawdzie zabrać ich wszystkich na
front, ale Niemcy nigdy nam nie ufali i obawiali się
zawsze, że nieuciskani rozpoczniemy natychmiast groź-
ną ruchawkę. Usiłowali wprawdzie pozyskać ludność
polską, ale jednocześnie nie przestali ani na chwilę sto-
sować terroru, co więcej wzmogli jego działanie. Cała
niedorzeczność ustroju totalnego objawiła się w jego
postaci usztywnionej, niezdolnej do żadnego przeobra-
żenia.

Nic nas tedy wyswobodzić nie mogło z kleszczy terroru niemieckiego. Nie wierzyliśmy zresztą nigdy w zmianę postępowania wroga. Wiedzieliśmy, że straszliwy ucisk będzie trwał aż do ostatka.

Bez względu na to, czy walkę z terrorem prowadzi społeczeństwo bezbronne czy też odporne, działanie terroru objawia się w sposób różnorodny. Terror powszechny, połączony z odpowiedzialnością zbiorową, szerzy nie tylko lęk rozchodzący się szerokimi kręgami, ale wywiera nieustający ucisk duchowy, często podświadomy. Trzeba posiadać niesłychaną odporność, aby nie odczuwać czającego się na każdym kroku niebezpieczeństwa. Wszyscy niemal bez wyjątku byliśmy w tym kręgu piekielnym. Tylko jednostki wyjątkowe znieść mogły działanie potworne bez żadnej szkody dla swojego organizmu. Większość wlecze się przez życie z poszarpanymi nerwami i przewrażliwioną pobudliwością. Zastrzyki oszołomień chwilowych nie pomagają, skoro cios jeden i drugi godzi w pobliżu. Nie pomaga również prawdopodobieństwo wysnute z analizy ostatniego wydarzenia.

— No, tak — pocieszałyśmy się — aresztowali N., nic dziwnego, on już od dawna siedział w robocie!

Równocześnie jednak zdajemy sobie sprawę, jak bardzo oszukujemy samych siebie. Jutro nas zabiorą i ktoś inny będzie szukał ulgi w podobnym rozumowaniu.

Wloką się dni beznadziejne i ponure noce.

Wracamy do domu zmęczeni i zniechęceni. Czujemy wyraźnie, że niebezpieczeństwo krąży za węglem ulicy. Tylu ludzi już wzięli, przyjdzie kolej i na nas. Nie jesteśmy przecież ani lepsi ani szczęśliwsi od tamtych. Nie można być zresztą obojętnym dla sprawy — wobec

przemocy niemieckiej sumienie każdego z nas jest obciążone. O wszystkim rozstrzyga właściwie tylko szczęśliwy albo nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Zginęło już tylu ludzi przypadkowych, dlaczego my mielibyśmy ocaleć?

Kładziemy się do łóżka, zapadamy w sen gorączkowy i niespokojny. Każdy silniejszy odgłos wydaje się podejrzany i budzi nas. Zapalamy lampę i próbujemy czytać, ale nie jesteśmy w stanie uchwycić wątku. Słowa rozpierzchają się, treść ucieka. I znów próbujemy bez powodzenia zapaść się w otchłań snu. Wreszcie przywidzenia podnieconej wyobraźni stają się rzeczywistością.

Samochód zatrzymuje się przed naszym domem.

Rozwarcie bramy brzmi jak sygnał alarmowy. Słyszymy nawpół wyraźnie jakąś rozmowę.

To Gestapo! Napewno Gestapo!

Klatkę schodową miażdżą ciężko podkute buty.

Idą, idą, napewno idą tutaj.

Już się zatrzymali, zaraz rozlegnie się dzwonek, a potem brutalne dobijanie do drzwi. Trzeba otworzyć na tychmiast, bo będą strzelać i rzucać ręczne granaty.

Nie, nie, przeszły — poszli na wyższe piętro i dopiero tam dobijają się. Nastaje długa, martwa cisza, z pośród której wylaniają się jakieś mało uchwytnie odgłosy. Wreszcie słychać znowu ciężkie stąpania. Jakby więcej przechodziło osób. Napewno kogoś znowu wprowadzili.

Brama zamyka się gwałtownie, a potem już na zakończenie dygotanie motoru, zatrzaśnięcie drzwiczek i oddalający się poszum odjeżdżającego samochodu.

Skończyło się dziś, ale któż wie co będzie jutro?

Do rana niepodobna zmrużyć oczu...

Poddanie się losowi i otepiałość na wszystko zawie-
rają w sobie zbyt wiele pierwiastków niszczycielskich
aby można było pogrążyć się w nich bez szkody własnej.
Poza przerażeniem, które wzniesła terror, a które jest
raczej szybko przemijającym odruchem, najdotkliwszym
w tym całym zmaganiu jest poczucie bezsilności. obja-
wia się ono w najgroźniejszej postaci wówczas, kiedy
na świecie nastaje martwa cisza, kiedy dookoła nas za-
pada głuche milczenie. Jedynym odruchem samozacho-
wania były wówczas w Warszawie ucinki i dworowania
z powolności naszych kochanych anglosaskich sprzymie-
rzeńców. W takich właśnie okresach gnuśnej martwicy,
kiedy zniechęceni raz po raz powtarzamy sobie, że zno-
wu nic się nie dzieje, opowiadano w Warszawie o tym,
że skoro pojawiły się już w stolicy żółwie, to pewno
i Anglicy niedługo do nas przybędą, że wojska brytyj-
skie to chyba najpobożniejsze na świecie, gdyż na kola-
nach maszerują do Rzymu. To znowu krąży po Warsza-
wie opowiadanie jakiegoś Polaka w służbie niemieckiej,
który przybył z frontu włoskiego. Według niego wojna
ulożyła się tam naksztalt urzędowania biurowego. An-
glicy biją się z Niemcami tylko w niektórych, określo-
nych godzinach. Poza tym namiętnie uprawiają piłkę
nożną. Przestrzegana jest bardzo ściśle angielska sobo-
ta, niedzielny wypoczynek, a w ciągu dnia pora obiado-
wa. Kiedy jakaś świeżo na front przybyła dywizja nie-
miecka, nieświadoma umówionych zwyczajów, zaczęła
strzelać o niewłaściwej porze, Anglicy rozwścieklili się
bez miary i niesforne oddziały zostały straszliwie zomb-
bardowane przez skoncentrowany atak lotniczy. Prze-
rażeni żołnierze niemieccy dowiedzieli się dopiero od
swoich towarzyszy, że była to kara za niebaczne naru-

szenie uświęconego porządku. Po tej nauczce stosunki frontowe ułożyły się znowu po staremu. Itd., itd.

Skoro jednak jakieś doniosłe wydarzenie wojskowe lub polityczne przesywało z nagłą ponure mroki zwątpienia, Warszawa przeobrażała się od razu. Niby spłoszone brzaskiem puszczyki uchodzą: rozpacz, lęk, ociężałość i niepewność. Bruk stolicy staje się podobny do taflí naładowanej prądem elektrycznym, który przenika do każdego organizmu.

Wszyscy już wszystko wiedzą, jeszcze zanim ukazały się oficjalne komunikaty Polski Podziemnej. Kobiety uśmiechają się piękniej niż zwykle, przechodnie stąpają dziarsko z podniesioną głową i spoglądają pogardliwie na Niemców. Hulacy i arcybibosze mają sposobność do spacerowania na rzesach. Tramwaje i kolejki huczą ni- by podniecone rojowiska. Uderzenia terroru wydają się mniej straszne.

Przetrzymamy to wszystko tak, jak przetrzymaliśmy dotychczas!

Już bliżej niż dalej!

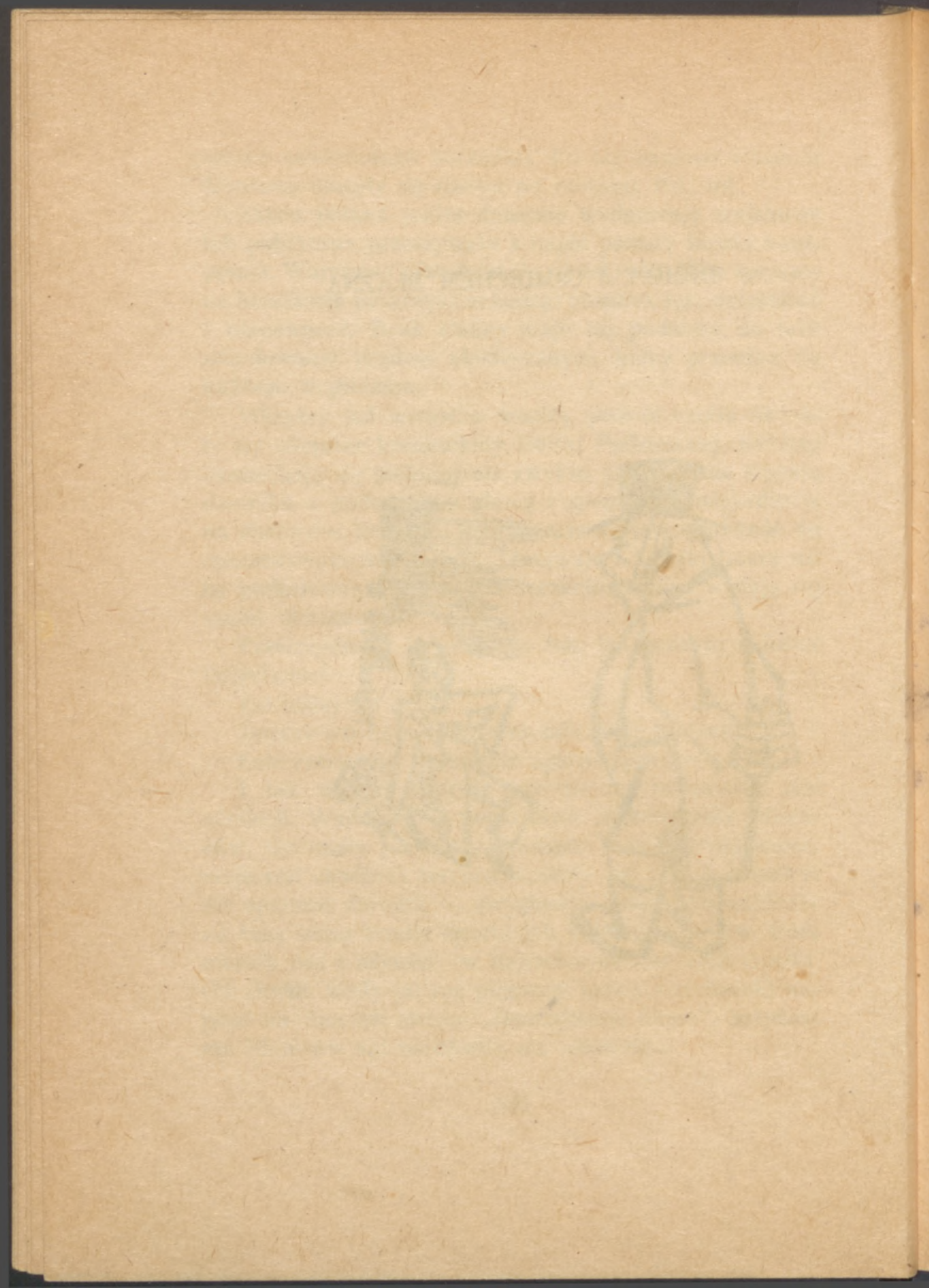
Jeszcze trochę a Niemcom zabraknie fantazji.

Fale radosnego uniesienia ogarniają wszystkich...

I tak się te nastroje raz po raz zmieniały... Ale uśmiech Warszawy i pogardliwe lekceważenie Niemców, nie miały już nigdy zgasnąć. Trwały w najstraszniejszych chwilach terroru, unosily się ponad krwawymi oparami zbrodni — zwycięskie i niezmożone. Stały się taką samą bronią oporu, jak kule spiskowców. Podniecały nas i ożywiały w najcięższych okresach ucisku. Od chwili, kiedy po raz pierwszy uczeń warszawski napisał na murach stolicy „Deutschland kaput“, oszydza- nie Niemców ani na chwilę nie ustawało...

DEMON Z UŚMIECHEM BŁAZNA







Bardzo wielu inteligentnych Polaków zastanawiało się nieraz nad tym, czy Adolf Hitler jest geniuszem czy też należy go tylko określać jako osobistość niezwykłą i awanturniczą.¹⁾ Inteligentni Polacy nie chcieli do te-

¹⁾ Według popularnej anegdotki warszawskiej około roku 2000-go ktoś w klubie londyńskim rzucił przypadkowo nazwisko Hitlera. Nikt jednak z obecnych nie wiedział kto to był właściwie. Okazało się również, że w ostatnim wydaniu Encyklopedii Brytyjskiej człowiek tego nazwiska nie istnieje. Dopiero ktoś inny wpadł na szczęśliwy pomysł przewertowania życiorysu Churchila. I dopiero tutaj znaleziono wzmiankę, że Hitler był to awanturnik niemiecki, który wywołał krótkotrwały zresztą niepokój w Europie pod koniec życia angielskiego męża stanu.

go największego wroga naszego narodu przykładać miary własnych cierpień, rozpatrywać jego osobowość pod sugestywnym działaniem wszystkich cierpień i zbrodni, których doświadczyliśmy w ciągu tych okrutnych dni historycznych. Inteligentni Polacy chcieli być sprawiedliwi i obiektywni. Niejedni przypominali sobie, że nawet Napoleona nazywano i nazywa się jeszcze zbrodniarzem i dopiero w wiele lat po jego upadku można było ustalić właściwą rolę historyczną i właściwe przeznaczenie tego niezwykłego zjawiska. W licznych dyskusjach posługiwano się i takim argumentem, że człowiek, który wywołał tak niesłychane zamieszanie na całym świecie musi być geniuszem, może genialnym zbrodniarzem, ale w każdym razie cech nadludzkich odmówić mu nie można.

Takie twierdzenie powzięte *a priori* nie jest naturalnie przekonujące.

Istniało przecież na świecie wiele wojen długotrwałych, wiele wstrząsów straszliwych, pośród których nie świeciła gwiazda żadnego geniuszu. Podczas pierwszej wojny światowej nie objawił się również nikt genialny. To miano nie przysługuje przecież ani cesarzowi Wilhelmowi, ani marszałkowi Foch'owi, ani Clemenceau tygrysem zwanemu, ani Kitchenerowi, ani prezydentowi Wilsonowi.

Były to postacie niezwykle, ale nie wznoszące się ponad poziom ludzki tam, gdzie się już zaczyna atmosfera boskiej irracjonalności. W ogóle od czasów Napoleona w historii świata nie było istot nadludzkich. Czyżby więc po stu kilkudziesięciu latach zajaśniała wreszcie gwiazda pierwszego rzędu w osobie twórcy i organizatora wojujących Niemiec?

W połowie roku 1944 było to zagadnienie bardzo trudne do rozstrzygnięcia. Nie mogliśmy bowiem z całą świadomością przewidzieć jakj będzie ostateczny wynik tych zmagañ straszliwych? Większa część świata, nawet większość Niemców była przekonana, że wojna ta została już przez Hitlera przegrana. Nie można jednak było ogłaszać ostatecznego wyniku, skoro zawody nie dobiegły jeszcze końca. Niespodzianka zawsze jest możliwa, zwłaszcza wobec osobliwych komplikacji politycznych i socjalnych, które do pewnego stopnia mogły uchronić Niemcy od zupełnej katastrofy.

Znakomity historyk angielski Maculay, pisząc o Fryderyku Wielkim powtarzał znane zresztą twierdzenie, że geniusz króla pruskiego ujawnił się właśnie w chwilach największych niepowodzeń. Nawet po druzgocących klęskach nigdy nie upadał na duchu. Jedynym objawem depresji było „sypanie secinami lichych wierszydeł“. Fryderyk Wielki był pospolitym grafomanem, ale jednocześnie doskonałym wodzem i przewidującym politykiem (doświadczyła tego na swojej skórze Polska). Jego zdumiewająca wytrwałość została nagrodzona. Pod koniec wojny siedmioletniej, kiedy zdawało się, że nic nie zdoła odwrócić upadku domu brandenburskiego, uratował go niespodziewany uśmiech szczęścia. Niespodziewanie umarła jego wielka nieprzyjaciółka, cesarowa rosyjska Elżbieta, a na tron wstąpił Piotr III, który był namiętym wielbicielem starego Fryca. „Nosił on order Czarnego Orła, ubierał się w mundur pruski i gotował się do podróży, aby oglądać przedmiot swojego ubóstwienia. Zaraz też wyprawił piętnaście tysięcy wborowego żołnierza na wzmocnienie nadwątlonej armii pruskiej“. Niebawem inne sprzyjające okoliczności spra-

wiły, że wojna skończyła się, pokój został zawarty, a Fryderyk Wielki ocalony.

Adolf Hitler, który tak chętnie lubił porównywać się z królem pruskim, miał sposobność do udowodnienia swojego geniuszu. Potrzeba było na to zaledwie dwóch drobnostek: żelaznej i nieugiętej wytrwałości w niepowodzeniu, oraz co jest na świecie zawsze najtrudniejsze: nieco szczęścia.

Nie było naszym zadaniem przepowiadać, kiedy i jak się wojna skończy. Zostawiliśmy to politykom kawiarnianym i astrologom, układającym horoskopy Hitlera, Stalina i Churchila (według tych proroków załamanie naszego wroga miało nastąpić dopiero w r. 1946^{ym}). Wróćmy do tematu zasadniczego: jak w oczach Warszawy przedstawiał się dyktator niemiecki.

Prosty ludek nadwiślański miał w tym względzie wyrobione przekonania. Właściwe nastroje oddaje najtrafniej popularna anegdotka warszawska.

Otóż zdarzyło się, że Hitler otrzymał w podarunku kupon bardzo pięknego sukna. Po naradzie z berlińskimi krawcami okazało się, że na uszycie całego garnituru sukna nie starczy. Hitler, któremu materiał niezwykle się podobał, wielce się zmartwił i wezwał do siebie na pomoc Goeringa, który, jak wiadomo, słynął w Niemczech z namiętności strojenia się.

— Wiesz co — oświadczył on Führerowi — każ sobie sprowadzić krawca z Warszawy. Ci Warszawiacy są bardzo sprytni, może któryś z nich znajdzie radę na twój kłopot.

Sprowadzony krawiec warszawski obejrzał dokładnie materiał, zdjął miarę i tak przemówił do Hitlera:

— Z tego sukna da się zrobić cały garnitur, ale pod

jednym warunkiem: do miary to już Führer musi przyjechać do Warszawy!

— Dlaczego koniecznie do Warszawy? — zdziwił się Hitler.

— Widzisz, Führerze, to prosta sprawa, W Berlinie jesteś bardzo, ale to bardzo wielki, a u nas w Warszawie znowuż bardzo malutki. Jeśli będziesz mierzył u nas garnitur, to materiału na całe ubranie aż nadto starczy. Na honor — krzyknął z zapalem krawiec — przy warszawskiej przymiarce dwie pary portek murowane!

Tyle nasz *vox populi*, zawsze nieprzejednany i odporny na wszelkie chwytty propagandy niemieckiej, która zresztą doświadczała znacznych kłopotów z analogiami historycznymi.

Porównywania dziejowe mają to do siebie, że przy pewnym wysiłku można je przykrawać do jakiej chce się miary. Nie ma takiej postaci, w której by nie można odkryć podobieństwa do osobistości z dowolnej epoki — zwłaszcza, jeśli tego rodzaju przykrawania przeznaczone są dla tępych łbów niemieckich, które arcytykuły Goebbelsa i jego pomocników czytały tak, jak prawowici chrześcijanie biblię. Nie ma takiej wojny, której by nie można zestawić z jakąkolwiek inną.

Propagandyści niemieccy twierdzili niejednokrotnie, że wielkość Führera ogarnia łącznie w jednej tylko jego osobie geniusz Aleksandra Wielkiego, Juliusza Cezara i Napoleona. Ale nawet taka hojność okazała się niezbyt szczęśliwa, skoro każdy z tych światoburców zakończył swoją karierę w sposób nieprzewidziane gwałtowny i nieprzyjemny. Katastrofa Aleksandra Wielkiego, Cezara i Napoleona uosobiona w jednym Hitlerze mogłaby przybrać rozmiary apokaliptyczne. W najlep-

szym razie znakomity Führer musiałby na schyłku swego żywobycia wybierać pomiędzy nagłą chorobą, ciosem sztyletu a wegetacją na samotnej wysepce.

Zdecydowano się tedy na coś znacznie skromniejszego i na udeptaną arenę historycznych porównań wprowadzono znowuż postać starego Fryca. W ten sposób kosztem pomniejszenia skali narzucono obecnej sytuacji wojennej perspektywy optymistyczne.

Wojna siedmioletnia, a więc jeszcze dużo czasu. Fryderyk Wielki pokonał największe trudności, po klęskach straszliwych odzyskiwał równowagę, dzięki łutowi szczęścia w sposób dość skromny wprowadzie, ale wygrał pokój. Żył jeszcze długo i niezmordowaną energią budował wielkość Prus, a tym samym wielkość przyszłych Niemiec.

W rzeczywistości porównanie to w naszym rozumieniu pozbawione było jakiegokolwiek zdrowego sensu.

Rodzina Hohenzollernów była wprawdzie rodziną dorobkiewiczów, ale nie w tym stopniu, aby doświadczyć miała zupełnej niższości wobec Marii Teresy, Augusta Saskiego i innych panujących europejskich. I cóż mógł mieć wspólnego z Hitlerem Fryderyk Wielki, wielbiciel kultury francuskiej, przyjaciel Woltera, znawca sztuki i architektury? Ten cynik dokuczliwy nie owijał bynajmniej swoich poglądów w propagandową bawelnę, miał wstręt do niepotrzebnego zakłamania i z zadziwiającą, brutalną szczerością objawiał swoje realistyczne zamiary w korespondencji osobistej. Nie potrzebował schlebiać tłumom ani je oszukiwać niedotrzymanymi obietnicami. Utrzymywał swoje wojsko w żelaznej karności, ale nie gnębił narodu i był nawet przeciwnikiem kary śmierci. Prześladowania religijne nieznanne były

pod jego rządami. Posiadał przyjaciół nieprzymuszonych. Poza Rosją był niezwykle popularny w Anglii. „Wizerunki bohatera z pod Rosbach, z harcapem i trójganiastym kapeluszem, znajdowały się w każdym angielskim domu“. Przy sprzyjających okolicznościach mógł swoich niedawnych wrogów przeistoczyć w gorących zwolenników.

Wojna siedmioletnia nie mogła być również porównana z wojną obecną. Wojna siedmioletnia toczyła się o niepodległość Prus i rozszerzenie ich granic. Fryderyk Wielki zagarnawszy Śląsk nie wypuścił go już ze swojej żelaznej prawicy. Budował egzystencję swojego państwa w sposób ograniczony. Żadne miraż wielkiego światowego imperium nie zaprzętały jego trzeźwej głowy. Dopiero po zawarciu pokoju rozpoczął wielką, podstępą i zbrodniczą, ale jakże wytrwałą grę, która miała przynieść Prusom jako łup, znaczną część Polski.

Kiedy czyta się korespondencję polityczną Fryderyka Wielkiego, doznaje się uczucia grozy. Niebezpieczeństwo straszliwe czai się w tych poleceniach, uwagach i wskazówkach przeznaczonych dla dyplomatów i agentów pruskich, przebywających w Warszawie. Skąpy za zwyczaj Fryderyk nie żałuje talarów, jeśli chodzi o zerwanie sejmów, które miały uchwalić powiększenie wojska. Jest znakomitym znawcą naszej ułomnej formalistyki prawnej. Umie zresztą skłonić Francję do rzucenia pieniędzy na cele jemu przede wszystkim potrzebne. Nie zaniedbuje niczego, aby siać niezgodę pomiędzy dworem a narodem, z wielką zręcznością wyzyskuje rywalizację możnowładców polskich. Niszczy i depce każdą próbę naprawienia naszego ustroju politycznego. Jest obłudny i dwulicowy — dzięki temu posługuje się nie tylko płat-

nymi kreaturami, ale i ludźmi, którzy wierzą w jego życiowość dla Rzeczypospolitej. Przez szereg długich lat zmierza konsekwentnie do swoich celów, przy czym każdy środek wydaje mu się odpowiedni. W ten sposób z cierpliwością pająka rozsnuwającego swoje sieci czyha na upatrzoną ofiarę, którą pogardza i lekceważy, ale nie zaniedbuje niczego, aby uśpić jej czujność.

Jest to wróg nieubłagany — przygotowuje naszą zgubę i ściele drogę do wielkości Niemiec zjednoczonych pod przewodnictwem pruskim. Zaczyna dzieło, które doprowadza do skutku Bismarck i które zostało rozbite na długie lata przez awanturniczą manię wielkości Hitlera.

Przezorność i wytrwałość króla pruskiego jakże się różni od brutalnego charakteru ostatniego przywódcy Niemiec, który pewny potęgi i zwycięstwa nad całym światem, ukazał przerażonym ludom prawdziwe oblicze Niemiec.

Gdyby ten rozumny cynik mógł się przyjrzeć wydarzeniom ostatniej wojny, byłby niewątpliwie przerażony i zgorzchniony tym wszystkim, co się działo na polach bitew i w krajach okupowanych. Co za chamska robota, co za nikczemny i pospolity kult siły, niezdolnej mimo całej przewagi ogarnąć wszystkiego i urzeczywistnić wszystkich zamierzeń. Nikt w historii nowoczesnej nie usiłował dokonać podboju świata samym tylko butem podkutym i karabinem! Jakże to brać w posiadanie lądy i morza bez jakiejś siły moralnej, bez powabu nowego światopoglądu i bez podstępnej, ale subtelnej gry dyplomatycznej. Było to objawienie tępej i zuchwałej przewagi barbarzyńców, pozbawionych wszelkiej tradycji, była to próba hazardowania ludzi nieokrzesanych, ciem-

nych i okrutnych, wyzywających świętokradczo mądrość życia i ulegających jej na każdym kroku mimo przemocy fizycznej.

Niewątpliwie skala tej wielkoświatowej awantury przerastała zapobiegliwe i wytrwale dorabianie się w skromnym stosunkowo zakresie Fryderyka Wielkiego, ale co ważniejsza te dwie epoki różnią się pomiędzy sobą wszystkimi niemal zasadniczymi cechami, wszystkimi metodami i charakterami obu postaci. Kult hitlerowców dla Fryderyka Wielkiego jako swego protoplasty, porównanie wojny siedmioletniej z drugą wojną światową nie dał się przeprowadzić bez sztucznych i wymyślonych chwytów propagandowych.

Warszawa na pomysły propagandy niemieckiej była zupełnie niewrażliwa. Według jej przekonania Hitlerowi przypadło porównanie o wiele zaszczytniejsze. Porównanie z Napoleonem. Drugiej wojny światowej nie chcieliśmy inaczej rozpatrywać, jak pod aspektem epopei napoleońskiej. Był to zabieg zawsze pouczający i nasuwający wnioski niezwykle prawdopodobieństwa. Skala napoleońska nabierała coraz silniejszego wyrazu. Ręce polskiego sabotażysty, które podczas zimy pisały na murach Warszawy: Rok 1812, napisały symboliczną prawdę historyczną, prawdę, która się dokonywała w naszych oczach.

Byliśmy jednak sprawiedliwi, uszanowaliśmy skromność Führera, który za wszelką cenę unikał porównania z „wielkim Korsykaninem“. Ten „geniusz niemiecki“, mimo wybuchów megalomanii, cierpiał zbyt wyraźnie na uraz niższości, abyśmy tu właśnie w Warszawie nie mieli wziąć tego pod uwagę.

A więc Fryderyk Wielki to nieco za mało, Napoleon

to trochę za dużo — Napoleon gorszego gatunku, to chyba w sam raz.

Napoleon wyciągnięty na widownię dziejową z za-
tęchłych zaułków drobnomieszczańskich. Napoleon, któ-
ry roił sny o potędze w nocnym przytułku i przy brud-
nych stołach ochlapanych piwkiem. Napoleon germań-
ski, pozbawiony syntetycznego geniuszu łacińskiego i tych
niesamowitych talentów wojskowych, które pozwalały
odnosić zwycięstwo wbrew zasadom współczesnej stra-
tegi na czele wojsk obdartych i bosych. Geniusz militar-
ny zastąpiony został w ostatnich zmaganiach krwawym
terrorem, oraz co najmniej trzykrotną przewagą liczeb-
ną i materiałową.

Zwycięstwa tego nowego Napoleona zostały przygo-
towane z pedanterią niemieckiego profesora i dokład-
nością organizacyjną, która jest niewątpliwą zaletą ger-
mańską. Przywódcy tej rasy nie potrzebują się zbytnio
wysilać. Wystarczy wydać rozkaz, nacisnąć guzik i oto
potężna maszyna zaczyna pracować z zadziwiającą sy-
stematycznością, wyrzucając z siebie karabiny zwykłe
i maszynowe, tanki, łodzie podwodne, samoloty, bomby
i kieszonkowe pancerniki.

Zrozumienie sytuacji politycznej i wojskowej w Euro-
pie miało w sobie coś podobnego do zuchwalstwa ban-
dyty, który wpada do domu rozpieszczonych niedołęgów
i obrabowuje w obecności wszystkich jednego po dru-
gim. Wie on z góry, że napadnięci nie zdobędą się na
tyle dowcipu, aby bronić się przed nim jednocześnie. Ale
po pewnym czasie nadchodzi chwila ocknienia, skoro
bandyta rozgospodarowuje się w tym domu na do-
bre. Sybaryci cierpią, odradzają się moralnie i podpa-
trują tajemnice napastnika. Skoro nie zdołał dokonać

wszystkiego w pierwszej chwili zaskoczenia prędzej czy później czeka go koniec żaloszny.

Napoleon jakże gadatliwy i jakże w tym gadulstwie szablonowy! Rozkazy i oświadczenia Napoleona prawdziwego wydają się rapsodami wspaniałymi, poezją jędrną i soczystą wobec bezmiernej otchłani frazesów demagogicznych Napoleona niemieckiego, wobec jego błękotu słów i twierdzeń powtarzających się z przerażającą jednostajnością, zmierzających do zupełnego oglupienia tłumów, które trzeba pociągnąć, zdobyć, a potem nieustannie oszukiwać.

Napoleon jest wielbiony przez mędrców, poetów i estetów. Goethe widział w nim „jedność filozoficzną chaotycznego i nieznośnie różnorodnego świata“. Hitler nie posiadał adoratorów w wielkim stylu. Jedyne zromolały Knut Hamsun pałał do niego sympatią, wyrażając w niej przede wszystkim upartą nienawiść do Anglików. Literatura napoleońska to olbrzymia biblioteka na najwyższym poziomie. Literatura hitlerowska to omlot propagandowy i pisma polemiczne.

Był on Napoleonem zbrodniczym i ponurym, demosem z uśmiechem błazna, pozbawionym wszelkiego powabu. Napoleon bez miłostek i tajemnic alkowy. Opowiadano o tamtym, że był dla kobiet brutalny. Słynnej aktorce paryskiej rozkazał przez adiutanta rozebrać się a potem, skoro się okazało, że nie ma czasu, ubrać się i odejść. Swoją żonę, córkę cesarza austriackiego, zgwałcił po żołniersku, przesiadłszy się z konia do karety. W istocie jednak był kochankiem i mężem bardzo sentymentalnym. Pisywał najczulsze listy do Józefiny i do Marii Ludwiki. Uwielbiał panią Walewską. A co najważniejsza, był dla kobiet, które kochał, niezwykle hoj-

ny. Kupował im palace, klejnoty i obsypywał je złotem *).

Hitler natomiast jest w stosunkach seksualnych załamany i fałszywy jak we wszystkim. Dopóki Roehm był mu potrzebny, patrzył przez palce na jego wybryki homoseksualne. Pewnego razu oświadczył cynicznie:

— Ostatecznie wszystko jedno jak się to robi, z przodu czy z tyłu...

Ale kiedy tenże Roehm zaczyna spiskować, Hitler dokonyuje nad nim i jego towarzyszymi krwawej egzekucji, a potem rozwodzi się z obłudnym uniesieniem nad niemoralnością tych ludzi, których zaskoczył w łóżkach.

Sam jest niewątpliwym degeneratem, sadystą o mocno ograniczonej potencji. Jedną z niewielu kobiet, która go kochała, towarzyszką z lat dziecińczych, odebrała sobie życie, skoro Führer wprowadził ją w ciemne zaułki swoich zbroczeń seksualnych. Ewa Braun była sentymentalną przyjaciółką, która umiała tylko godzić się na wszystko.

Jakże ubogo przedstawia się jego ikonografia. Poza kilkoma oficjalnymi portretami i rzeźbami sztuka stworzona od niego. Oblicze jego oglądamy upamiętnione najczęściej na fotografiach i nikczemnie kolorowanych powiększeniach w stylu małomieszczańskim.

Wywołał potworną burzę dziejową, skrwawił pół świata, torturował miliony niewinnych ludzi, ale poza własnym narodem nikogo bez przymusu nie pozyskał.

**) Przewaga Napoleona nad Hitlerem jest olbrzymia. Można by jeszcze wiele na ten temat powiedzieć. Nie zominajmy w każdym razie o Napoleonie prawodawcy i twórcy własnego stylu.*

Sprzymierzeńców zmuszał do współdziałania, chwytając ich żelazną ręką za gardło. Był od początku do końca nie tylko uzurpatorem, ale i dorobkiewiczem i partnerem niższego gatunku. Przed wybuchem wojny tolerowano go i nawet wspomagano, wierząc, że się ugotuje we własnym sosie. Ostrożny Chamberlain z parasolem pod pachą odlatuje do Monachium i usiłuje przemówić mu do rozsądku. Gdyby był mężem stanu mógłby wówczas stanąć na czele najpotężniejszego państwa w Europie, ale szalona ambicja popychała go dalej i dalej. Wówczas już żadna z wielkich osobistości nie chciała się z nim porozumiewać ani rozmawiać nawet wówczas, kiedy zwyciężona Europa leżała u stóp awanturnika. Jego specjalnych wysłanników osadzono w więzieniu. Jego genialne propozycje odrzucano bez rozpatrzenia. Przez cały czas zawrotnej kariery odgradzony był od reszty świata murem nieprzejednanej pogardy i szczerego obrzydzenia. Było to najdziwniejsze w historii świata połączenie wielkości z małością, olbrzymiej ambicji z tępym barbarzyństwem, bezprzykładnym cynizmem i zupełnym zanikiem moralności.

Przekleństwo aspektu napoleońskiego unosiło się nad nim, jak zła wróżba. Nie umiał on zdobyć niczego ani wytrwałością ani rozumem ani wyrafinowanymi metodami w stylu fryderycjańskim. Należał on do tego gatunku zdobywców świata, którzy — jak niektóre zjawiska fizyczne — mają wyznaczony swój początek, swój czas największego nasilenia i wreszcie swój kres nieodwołalny, którego odwrócić nie zdoła najzręczniejsza nawet propaganda. My cośmy w jego kręgu przeżywali chwile nastraszniejsze, zobaczyliśmy wreszcie efektowne zakończenie tego krwawego widowiska — widowiska,

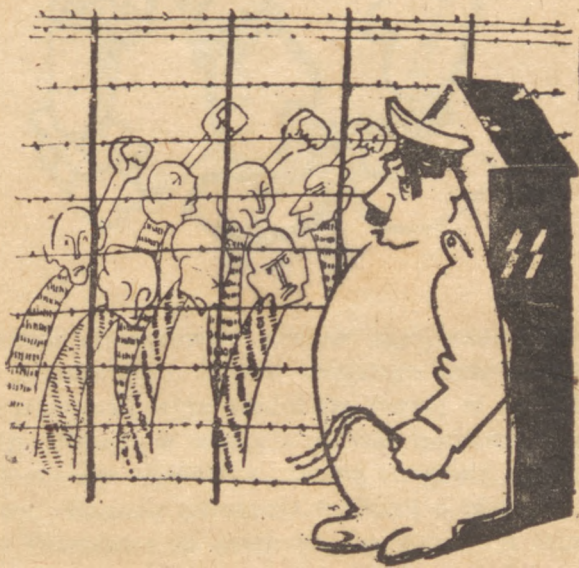
które swą wielkością rozpętaną przerosło siły i zdolności zakłamanego kabotyna, obdarzonego dziwnymi losu igraszkami rolą główną.

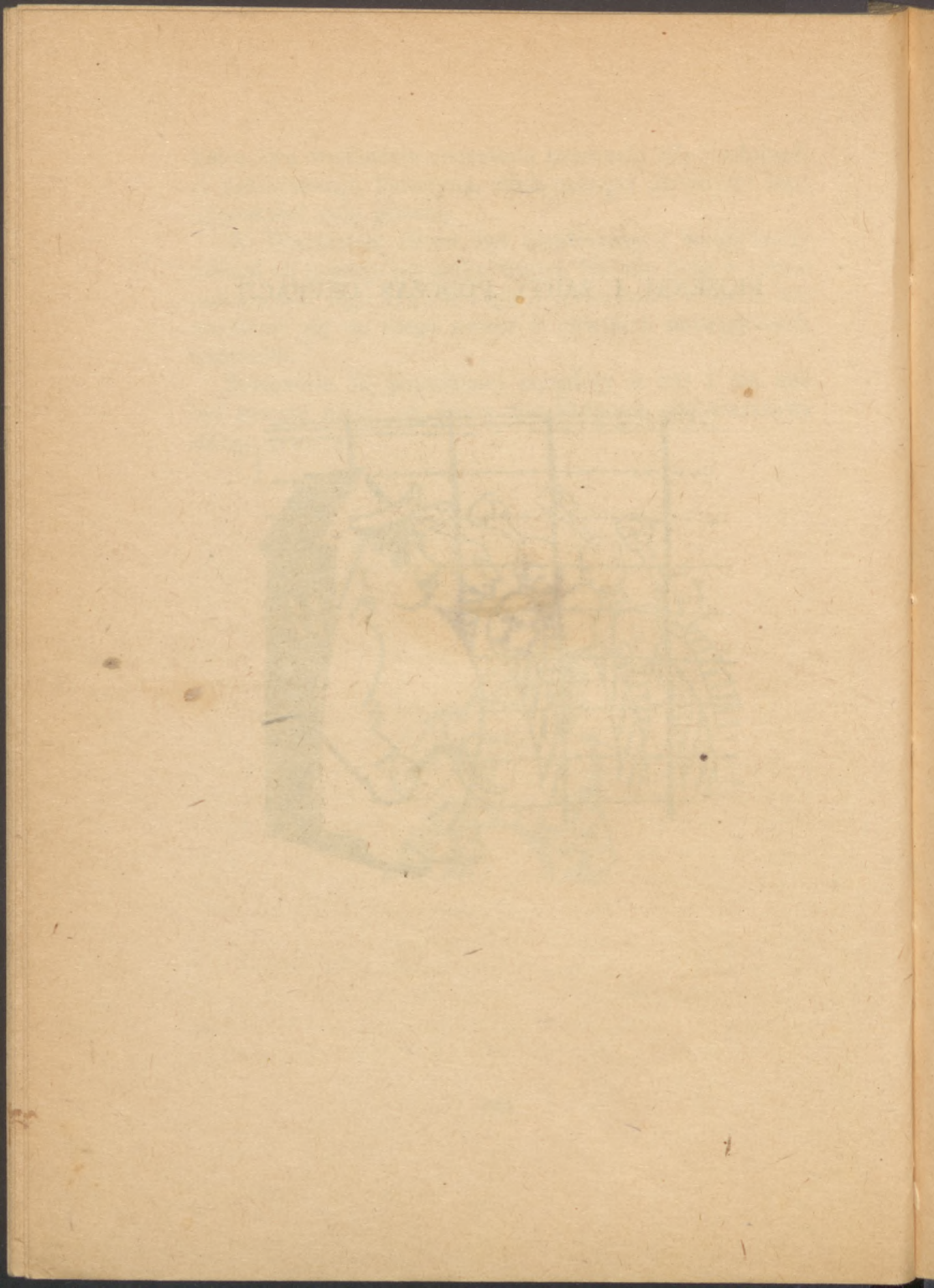
W Warszawie Hitler był ośmieszony i wyszydzony niemal od samego początku wojny. Nic nie było w stanie pohamować tego żywiołowego lekceważenia, z jakim odnosiliśmy się do niego nawet w chwilach największych triumfów.

Stosownie do popularnej anegdoty u nas i dla nas był zawsze mały, na miarę nie Fidjasa, ale warszawskiego krawca...



PIOSENKI I ŻARTY PODCZAS OKUPACJI







Warszawa nie śpiewała prawie nigdy samorodnych piosenek popularnych. Pełen swoistego temperamentu folklor warszawski wypowiedał się raczej w kawałach i facecjach. Dlatego w każdym okresie historii Warszawy można znaleźć wymowną i trafną anegdotę, wierszyk uszczypliwy, znacznie natomiast trudniej o piosenkę.

To, co Warszawa za dawnych i niedawnych czasów śpiewała wywodziło się najczęściej z widowiska scenicznego. Najpierw komedio-opera i wodewil, potem ope-retki i kabaret dostarczały jej piosenek, które rozpo-wszechniały się jak dłuższa lub krótsza epidemia. Lekka piosenka kołysała się pomiędzy sentymentalną łezką a żartobliwym uśmiechem. Istnieli zawsze w stolicy do-stawcy tego towaru, dla którego czerpano najczęściej

natchnienie z obcych, zagranicznych wzorów. Były więc i dreszcze demoniczne, były piosenki apaszów paryskich, tanga upojne spod bladego nieba Argentyny i wrzaskliwy anglosaski jazz. I w słowach i w muzyce objawiała się najpospolitsza banalność. Popularne „przeboje“ wchłaniane były przez wszystkie warstwy ludności warszawskiej. I to wystarczało. Ludek warszawski był pod tym względem uboższy od takiego np. Lwowa, który objawiał wiele oryginalnego wyrazu w repertuarze swoich przedmieść, z Łyczakowem na czele. Były to nieraz jakby rapsody oparte na melodiach znanych, ale opiewające w sposób swoiście nastrojowy przygody i losy lwowskich batiarów.

Andrusowi warszawskiemu wystarczały natomiast najświeższe płody muzy kabaretowej.

[Oryginalna piosenka popularna urodziła się dopiero podczas niemieckiej okupacji, kiedy nie było widowisk odwiedzanych tłumnie, kiedy teatry i kabarety wlokły nędzny żywot, bojkotowane i pogardzane przez przeważającą część ludności stołecznej.

Wówczas niespodziewanie odezwała się w warszawskich tramwajach i podmiejskich kolejkach dojazdowych piosenka nieznanego dotychczas typu — rubaszna, dosadna i wyrażająca lekceważącą dla Niemców pogardę wówczas, kiedy reżim hitlerowski sprawiał wrażenie druzgocącej wszystko stalowej lawiny.

Piosenkę nieznanego dotychczas typu zrodził nastrój powszechnej dla Niemców nienawiści, ale zrodziła ją także potrzeba. Była po prostu jednym ze sposobów zarobkowania w tych czasach, kiedy wróg zajadły usiłował pozbawić masy ludu polskiego wszelkich sposobów bytowania.

Piosenką szyderczą zarabiali nieznani nikomu poeci domorośli, którzy, jak można sobie wyobrazić, przy flaszcze bimbru w proletariackich izbach albo w podrzędnych knajpkach wysnuwali z własnego natchnienia najświeższe przeboje.

Z zuchwałych piosenek mali chłopcy i dziewczęta utrzymywali nieraz całe rodziny. Dzieci bezdomne i pozbawione opieki rodzinnej znajdowały w tym właśnie fachu możliwość bytowania awanturniczego i oddawała się przedwczesnym nadużyciom.

Pamiętamy wszyscy, jak ci mali śpiewacy, umorusani i obdarci pojawiali się wśród ciżby pasażerów i z nieporównaną zuchwałością rozpoczynali swój repertuar. Ten i ów oglądał się trwożliwie albo nawet udawał, że nie słyszy, ale kiedy występ malców się kończył, wyciągnięte rączki zgarniały całe stosy drobnych banknotów. Za przyjemną treść i odwagę.

Z początku Niemcy przy pomocy volksdeutschów usiłowali zdławić tę śpiewającą opozycję. Zastawiali nawet na śpiewaków niezgrabne sidła. Udawało im się czasami jakiegoś malca zbić i zmasakrować, ale to wszystko nic nie pomagało. Tramwaje i kolejki rozbrzmiewały nieustannie buntowniczymi śpiewkami.

Rubaszna muza nie od razu zaczęła od wyszydzenia Niemców. W pierwszych latach okupacji nieśmiało wyrażała nadzieję na lepszą przyszłość. Że to

słoneczko wyżej,
Sikorski bliżej...

Potem jednak przyszedł czas na patetyczne opisy wojennej grozy. W koturnowej przesadzie popularnego stylu było piosence warszawskiej nie do twarzy. Słuchacze

nudzili się i nawet protestowali, kiedy codziennie rozlegały się te same rzewne pienia:

Niedaleko za miastem,
gdzie jest nędza straszna i głód,
nad maleńką kolebką niewiasta
usypiała swe dziecko do snu.

Śpij syneczku, śpij sokole
mama pobiegnie po mleczko,
nakarmi, napoi, do snu ukołysze,
a dobry Pan Bóg w niebie
da, że wychowam ciebie.

Aj luli, luli, luli lu...

Lat dwadzieścia minęło spokojnie,
syn jej wyrósł, robotnik i zdrów,
a wieść straszna krąży o wojnie,
a w warsztatach niepokój i ruch.

Śpij syneczku, śpij sokole,
jutro wyruszysz na pole,
na krwawą walkę, na bój...

A ja będę się modliła,
Bym ciebie nie straciła.

Aj luli, luli, luli lu...

Kończyło się śmiercią, cmentarzem i żalonym zakończeniem:

Na grób ci krzyżyk dali,
a życie ci zabrali.

Aj luli, luli, luli lu...

Nieco śmielsza była już piosenka, która opiewała
przeżycia Warszawy na samym początku wojny:

Dnia pierwszego września
Roku pamiętnego
Wróg napadł na Polskę
Z kraju niemieckiego.
Najwięcej się zawziął
Na naszą Warszawę...
Warszawo kochana
Tyś jest miasto krwawe...
Kiedyś gród był piękny,
Bogaty, wspaniały...
Dzisiaj tylko stosy
Gruzów pozostały...
Kościoły zburzone,
Domy popalone...
Gdzie mają się podziac
Dzieci wygłodzone...
Lecą bomby, lecą,
Od wieczora do dnia,
Nie ma kropli wody
Do gaszenia ognia.
Matka szuka trupa,
Głośno wzywa Boga,
Błaga o ratunek
Przeklinając wroga.
Tak nas wciąż męczyli
Lata i tygodnie,
Pan Bóg skarże szkopów
Za ich wielkie zbrodnie.

Właściwy styl warszawski przemówił dopiero po pewnym czasie, kiedy przewyciężone zostało załamanie duchowe stolicy, kiedy Niemiec mimo trwającej

przewagi, mimo okrucieństw i terroru stawał się nieuchronnie postacią ośmieszoną.

Śpiewano wówczas o świni niemieckiej, która się rozparła w polskiej krainie. Wyszadzano volksdeutschów, popularnie „voksami“ zwanych, a wielce ulubiona była piosenka, która twierdziła, że dlatego tak się źle na świecie dzieje, gdyż stary Pan Bóg trochę się zdrzemnął. Był to prawdziwy przebój. Każdy uśmiechał się z zadowoleniem słuchając zuchwałych zwrotek:

Tak się zawsze dzieje, kiedy Pan Bóg drzemie,
ale się obudzi i spojrzy na ziemię
i spojrzy na ziemię, wielkim głosem wrzaśnie,
no i w ciebie, draniu, sto piorunów trzaśnie!

Do najbardziej popularnych piosenek śpiewanych aż do dni powstaniowych była aktualna przeróbka popularnej piosenki *Siekiera, motyka piłka graca*. Ilość zwrotek była nieskończona, zmieniały się one stosownie do przeżyć stolicy. Niektóre jednak utkwiły w naszej pamięci na zawsze:

Siekiera, motyka, bimber, szklanka,
w nocy nalot, w dzień łapanka.
Siekiera, motyka, światło, prąd,
kiedyż oni pójdą stąd.
Siekiera, motyka, piłka, gwóźdź,
masz górala, puść mnie, puść.

Jeszcze losy okrutnej wojny były niepewne, jeszcze zawodowi pesymiści krakali, że Niemcom nikt nie da rady, a w Warszawie z uporem śpiewano:

Siekiera, motyka, piłka, alasz,
przegrał wojnę głupi malarz...
Siekiera, motyka, piłka nóż,
przegrał wojnę już, już, już...

Po odzyskaniu niepodległości oryginalna piosenka warszawska zanika szybko. Wracamy do przebojów kabaretowych. Na rynku pojawiają się dostawcy w przedwojennym stylu. Po Właście berło banalnego sentymentu i dreszczyku obejmuje Harris wraz z innymi.

Piosenek podtrzymujących dawny wojenny repertuar prawie już nie ma. A te, które od czasu do czasu słyszymy, nie cieszą się powodzeniem.

Poza piosenkami popularnymi krążyły po Warszawie podczas okupacji odpisy różnych satyrycznych utworów, które pochodziły niewątpliwie z kół inteligenckich.

Z okresu bombardowania Nadrenji przez aliantów wywodzi się taki niesamowity wierszyk:

Po miasteczku sobie tuptam
Patrzę: trup tu, patrzę trup tam.
Trupki całe, części trupka —
Rączka, pupka, część kadłubka.
Wyszczierzają w górę ząbki
Dziur jak w gąbkach — to od bombki.
W krąg współbraci lażą grupki,
Układają trupki w kupki.
Bardzo smutny to obrządek
Braci swych układać w rządek,
Lecz porządek zrobić trzeba,
By w ordynku szli do nieba.

W bok rynsztokiem płynie juszka,
Piesek pluska się po uszka,
Lata ptaszek nie wysoko
Poddziobuje trupki w oko.
Oblizują ptaszki dzióbki.
Smaczne, tłuste, chrupki trupki.

W krąg do góry sterczą mury,
Zgrabne gruzy, piękne dziury,
Domki dymią, jak kominy
Ludzie mają głupie miny,
Czasem na łeb murek sygnie,
Człowiek kipnie, ani zipnie.
Brzuchy chudną, więc jest modnie
Podtrzymywać ręką spodnie.
Pusto w brzuchu, pusto w pysku
Nosem grzebie się w śmietniku.

Tak się skończy z awanturą
Nam wesoło — im ponuro.
Wszak zaczęli sami grandę
Tu l'as voulu, Georges Dandin.

Niektóre satyry krążyły w maszynowych odbitkach.
I tak np. już z grudnia r. 1941 pochodzi dość zabawna
trawestacja *Trzech Budrysów* przez Nie-Mickiewicza.

Adolf trójkę posłańców, takich jak sam Germańców,
Do Berlina przyzywa i prawi.
„Kombinezy wkładajcie, w samoloty wsiadajcie,
Lećcie tam, gdzie ma armia się krwawi...
Pierwszy niechaj polecą, tam, gdzie z nieba żar leci,
Gdzie wciąż ciągi dostaje Benito...
Aż mnie wzięła złość wielka i posłałem Rommelka,
Sprawdź posłańcze, czy Tobruk zdobyto.

Tam na wschodzie front długi, niech polecą mąż drugi
I niech wszędzie tam rzuci swym okiem,
Czy gdy napór nasz wzrasta, bolszewickie dwa miasta
Zawojował Guderian z von Bockiem.
Wreszcie posel mój trzeci niechaj zaraz polecą
Tam, gdzie jeszcze nie byłem nę raz,
Gdzie wśród słońca promieni, świeża nafta się mieni,
Gdzie szturm idzie na wrota Kaukazu“.
Więc trzech szkopy jak byki zapuścili silniki,
Polecieli na światła trzy strony.
Zanim który przybędzie ja wygłoszę orędzie,
By wlać ducha w mój naród strudzony:
„Mój narodzie niemiecki, gdy Bolszewik zdradziecki
Grozil naszej kulturze i sztuce,
Ja wyslałem mych chwatów: Węgrów, Finów, Chorwatów
I tych Włochów co przysłał mi Duce.
Już Bolszewik jak zmyty wieje całkiem pobity
Przez germańską wytrwałość i męstwo.
Gdy walczymy tam w chłodzie, bądź cierpliwy narodzie
A przed zimą odniosę zwycięstwo“.
Ale przyszła już zima, posłów nie ma i nie ma.
W oczach wodza się troska przebija...
Pisz Goebelsie mój tedy, że nie ważne jest kiedy
Tylko jak się zakończy ta chryja...
Wśród śnieżystej zamieci już samolot mój leci,
Usiadł... posel już z niego wyłazi...
Jak się Rommel spisuje, pewnie Tobruk zajmuje?
— Nie, mój Wodzu, Anglicy w Benghazi.
Wśród zimowej szarugi nadlatuje mąż drugi.
— Jakie wieści, czy Moskwa już nasza?
Pewnie gładko i składnie wkrótce Leningrad padnie?
Nie, mój Wodzu, tam z nami jest kasza!

Wśród okropnej zamieci do Berlina mąż trzeci
Nadlatuje... ma smętne oblicze...
Zanim raport pokazał, Adolf głosić rozkazał,
Że mu zbędne są zimą zdobycze!

W listopadzie r. 1943 ukazały się Tomasz Wiatracz-
nego *Satyry i fraszki*. Na sześciu stroniczkach zamiesz-
czono sześć satyr i dziesięć fraszek. Literacki poziom
niezbyt wysoki, dowcip mierny. Najlepszy ze zbioru
jest *Uśmiech Warszawy*, który dość wiernie odtwarza
ówczesne nastroje stolicy.

Patrz, to jest dumne miasto — Warszawa,
więcej niż tysiąc okropnych dni
wlecze się sprawa trudna i krwawa,
a ona walczy, a ona drwi.

I chociaż dzisiaj broczy i krwawi,
z jej krwią pisanych, codziennych kart,
jak promień pośród burz i błyskawic
śmieje się co dzień jej dobry żart.

Cidziennie krwawo te żarty płaci,
a jednak nie ma nocy ni dnia,
by żart na szwabskim nie błysnął plakacie,
na znak, że żyje, walczy i trwa.

Na wszystkich murach co dzień obraża
szkopów, Führera i całą oś
i na latarniach, bramach cmentarza,
znów „nur für Deutsche“ napisze ktoś.

Wbrew szubienicom mordom i krzyżom,
wbrew mocy, która podbiła świat,
wielka Warszawo, polski Paryżu,
śmiech na ruinach kwitnie, jak kwiat.

Bo ten zwycięża, który się śmieje,
rozpacz to dzisiaj ogromny grzech
dla tych, co zawsze mieli nadzieję
brzmi twój przekorny, zwycięski śmiech.

Dziś nur für Deutsche — jutro für Pole
zażyjesz jeszcze wolności swej,
jutro zaśpiewasz im carmagnolę,
śmiej się Warszawo, śmiej się nam, śmiej!

I jeszcze jedna trawestacja pochodząca już z przełomowego okresu wojny:

Nad Szprewą bombki śledząc spojrzeniem
siedzi Adolfek zgorzkniały,
bo od pewnego czasu myśli z westchnieniem:
— Wszyscy mą robią kawały.
Odkąd wywiałeś na samolocie
niewdzięczny mój Rudolfuniu
muszę wciąż wmawiać mojej holoście,
że miałeś kuku na muniu.
Moich turystów, co lubią zwiedzać
kraje, gdzie nafta wytryska
wredne Angliki gonią i czubią
aż więją gubiąc portczyska.
Siedzi na wyspie śmieje się z tego
Churchil gwałciciel i tyran.
W Iraku zdusił Raszyd-Alego,
a teraz zagarnął Iran.
Aż mnie na niego złość wzięła wielka,
chciałem zadusić cholere,
aż tu von Goebels spletał figielka
i skradł Anglikom literę.

W autach, tramwajach, po wszystkich kątach
ozdabia miejskie szalety,
lecz ta litera na wszystkich frontach
nic nie pomaga niestety,
bo cóż się dzieje? Jak miesiąc długi
ze Wschodu każdego ranka
jadą pociągi jeden za drugim,
a w każdym świeża rąbanka.
Ze wszystkich narodów na bolszewjka
chciałem utworzyć legiony
i przymusowo — na ochotnika
werbunek został stworzony.
Stają po setce spod naszych znaków
Holendrzy, Francuzi wierni...
Och! Franku! Kiedyż przyślesz Polaków
Z mej generalnej guberni?
— Może ci wodzu psuję humorek,
ale nie będzie nic z tego!
Mam kilka zgłoszeń, lecz tylko z Tworek
i część od Jana Bożego...

O ile piosenka popularna okazała się zjawiskiem przejściowym, o ile w uszczypliwym wierszyku wypowiada się mniej czy więcej prawdziwe rzemiosło literackie, o tyle poezja, anegdota i dowcip są zasadniczym, stałym, typowym dla Warszawy sposobem wypowiedzenia swoich naistotniejszych przeżyć i nastrojów.

Wartość dowcipu warszawskiego tak, jak wartość każdego dowcipu wysokiej klasy polega na tym, że jest on zawsze opozycyjny, krytyczny, że się przeciwstawia nastrojom narzuconym, że jest nieubłagany, że odrzuca

bez wahania powierzchowną łupinę i dociera do jądra sprawy.

I dlatego dowcip stolicy wyraża w formie jak najbardziej zwartej w sposób niezmiernie trafny istotną prawdę historyczną, wyraża się nieraz dokładniej i lepiej od wielu przewlekłych uogólnień zawodowych dziępisarzy.

Ale dowcip podczas okupacji niemieckiej był jeszcze czymś więcej, był wyrazem nieugiętego ducha stolicy. Powstawał w sposób niezłomny i uparty. Nie zanieczywał się prawie nigdy, ukazując swoje drwiące oblicze pośród najcięższych doświadczeń. Jeśli po krótkich chwilach przerażenia gasł pod obuchem niemieckiego terroru, to gasł tylko na krótkie okamgnienie. Kiedy po Warszawie krążyć poczynął jakiś nowy kawał, to jednocześnie był to niewątpliwy przejaw odzyskującej równowagę odporności, która mogła zawahać się, ale która działała bez przerwy...

Dowcip warszawski był często związany z rzeczywistymi osobami facecjonistów. W każdej epoce życia stolicy ich nie brakowało. Do dziś dnia pamiętamy najlepsze kawały Żółkowskiego, a z czasów przedwojennych powtarzamy jeszcze powiedzonka Andrzeja Niemojewskiego, Mieczysława Frenkla i Wojciecha Kętrzyńskiego (wylęgarnia żartu w cukierni Lourse'a), dr. Słonimskiego (ojca poety), Franciszka Fiszera, Karola Schustra, Edwarda Słońskiego, Kamila Witkowskiego i wielu innych.

Podczas okupacji niemieckiej dowcipy były anonimowe. Nigdy już nie będziemy znali ich twórców, niepodobna nawet określić dokładniej środowiska, w którym się rodziły.

Wyczerpującego zbioru anegdot warszawskich z cza-

sów okupacji nie posiadamy. Zbiory takie niewątpliwie istniały. Słyszeliśmy o ludziach zapisujących skrzętnie każdy warszawski dowcip, ale prawdopodobnie tego rodzaju materiały zatraciły się podczas powstania. Ocalała jedynie wydana podczas okupacji antologia dowcipu warszawskiego. Wyboru dokonał nieżyjący już satyryk i poeta Hollender. Jest to jednak zbiór stosunkowo szczupły, sposób opowiadania niezręczny, pointa często zatracona.

Antologia anegdoty warszawskiej może by się dała do pewnego stopnia odtworzyć z pamięci wielu Warszawianków, oraz z niektórych wydawnictw konspiracyjnych. Była by to jedyna w swoim rodzaju historia przeżyć warszawskich podczas ostatniej wojny.

Pierwsza historyczna anegdota warszawska powstała podczas bombardowania Warszawy przez niemieckich lotników w dniach wrześnieowych. Pamiętamy ją chyba wszyscy. Bomby lecą na bezbronne miasto, domy się wałają, a andrus warszawski prosi swego kolegę, aby postarał się go jakoś przestraszyć, skoro nie może pozbyć się czkawki.

Były ulubione tematy, które powtarzały się we wciąż nowych odmianach. Bardzo wiele razy opowiadano dowcipy o przyszłym, maleńkim państewku niemieckim, które będzie można objechać na rowerze w ciągu jednego popołudnia. Wielkie ryby hitlerowskie będą sprawowały w tych pomniejszych Niemczech bardzo miarowe posady.

Wielka ilość anegdot warszawskich opowiadała o wędrówkach Hitlera i jego satelitów. Niektóre dowcipy na ten temat przedostawały się do nas niewątpliwie od opozycyjnych kół niemieckich.

W zupełnie natomiast oryginalny sposób anegdota warszawska przewidywała i to bardzo wcześnie załamane się Włoch.

W pewnej rodzinie, opowiadano, narodziło się dwóch chłopców-bliźniaków. Ojciec i matka głowili się, jakim ich imieniem obdarzyć na chrzcie.

— Żyjemy w czasach historycznych, — doradził ktoś — więc wypada aby wasze dzieci wzięły imiona od dwóch największych ludzi tej epoki. Niechże więc jeden wasz synek nazywa się Benito, a drugi Adolf.

— Któremu dać pierwsze imię, — dopytywała się matka — a któremu drugie?

— Ten, co ci się pierwszy zerznie, niech się Benito zwie...

Kiedy Hitler i Mussolini spotkali się na Brennerze, na pamiątkę tego historycznego spotkania, w pobliżu miejsca obrad posadzono dąb.

Po niedługim czasie jednak okazało się, że nie dąb tu wyrósł, tylko zwykła lipa...

Bahaterski nastrój Warszawy charakteryzuje następująca facecja:

Pewnego razu Hitler wraz z Goeringem wybrali się samolotem na objazd podbitej Europy. Lecą, lecą i badają czy wszędzie działa jak należy przepisowe zaciemnienie. Przylecieli nad Francję i widzą mrugające gdzieś niegdzie światelka.

— Rzuć bombę! — mruknął Hitler — niech się nauczą porządku.

Nad Belgią dostrzegli także mrugające światelka.

— Rzuć bombę! — kazał Goeringowi Hitler.

To samo powtórzyło się nad Holandią i Danią.

Przylecieli wreszcie do Polski. Okazało się, że osłaniają ją nieprzebite ciemności.

— Rzuć bombę, — rozkazał znowu Hitler — to Polska, bomba im nigdy nie zawadzi.

Ale kiedy Goering wykonał rozkaz Führera, we wszystkich oknach zabłysły światła, ze wszystkich domów powiewano chusteczkami. Ludzie śmieli się i płakali na przemian, wołając:

— Goodbye! Goodbye!

— Ach, — zauważył melancholijnie Hitler — oni myślą, że to Anglicy przylecieli...

Skoro nie udało się Niemcom wtargnąć do Wielkiej Brytanii, Warszawa na długi czas nabrała otuchy i rezonu. W tych czasach powstała następująca anegdota:

Zakłopotani generałowie niemieccy zwrócili się do przemysłnych szmuglerów polskich z prośbą o radę, w jaki sposób przemyć swoich żołnierzy na kontynent angielski?

Szmuglerzy polscy naradzali się przez długi czas i wreszcie takiej udzielili odpowiedzi:

— Możemy przeszmyglować nawet całą armię niemiecką do Anglii... Ale tylko w rąbance.

Istotę okrucieństwa niemieckiego scharakteryzowała nader trafnie taka znowuż historyjka;

Pewien gestapowiec otrzymał rozkaz przeprowadzenia na terenie jednego ze szpitali egzekucji na 30 chorych. Niemcy byli oszczędni i chodziło im w tym wypadku o systematyczne zmniejszanie racji żywnościowych.

Gestapowiec udał się do wyznaczonego szpitala i wykonał sumiennie otrzymany rozkaz. Miejsce egzekucji zaległ zwał trupów.

Morderca udał się spokojnie do kancelarii szpitalnej i wezwawszy jednego ze swych podwładnych kazał mu dla porządku przeliczyć nieboszczyków.

Żołnierz wrócił po chwili i zameldował, że naliczył 31 trupów.

— To niemożliwe — zawołał gestapowiec — nie mogłem się pomylić.

— Na pewno tylko 30 rozstrzelałem.

— A jednak leży tam 31!

Kiedy okazało się, że raport podwładnego był dokładny, przerażony gestapowiec zawołał:

— Do licha, przeliczyłem się i zabiłem jednego niewinnego...

Kiedy Japonia przystąpiła do Osi, opowiadano sobie w Warszawie, że jakiś kupiec żydowski z powątpiewaniem zauważył:

— Jeżeli ma się naprawdę dobry interes, to czy się bierze trzeciego współnika?

A oto jeszcze dwie anegdoty charakteryzujące nastroje warszawskie.

Pierwszą znalazłem w nielegalnej broszurze pod zakonspirowanym tytułem: *Aleksander Kraushar*. — War-

szawa i Warszawka w okresie przedpowstaniowym, drugą w podobnym wydawnictwie *Świadectwo prawdzie*. Cytuję dosłownie:

...Zaturkotał w ulicy motor auta — rozmowy milkną. Malutki piesek szarpnął się na smyczy i zaszczekał. Młoda pani uspokaja go:

— Cicho, Bebi, spokój. Patrzcie go, jaki awanturnik.

— Na wroga się porywa — informuje młodzieniec z teczka.

— Eee, nie to — wtrąca robotnik i nachylając się do właścicielki pieska tłumaczy: — Widzi paniusia, to jest tak. Dawniej jak pani wyszła na spacer z pieskiem, to się pani oglądała, czy hycel pieska nie złapał, a teraz to piesek się ogląda, czy hycel nie złapał pani.

Z. M. N.

Było to w początkach 1940 roku kiedy ludzie żyli złudzeniami, że wojna skończy się za parę miesięcy.

Pewnego razu jedna spokojna, wcale nie wojownicza mama, która zarabiając na chleb powszedni wyczekiwała ratunku w cudach i od Anglików, robiła porządki w komórce. Komórka była nieco zawałona w czasie bombardowania i pełno tam było rupieci z całego domu. Z trudem przekopywała się przez te zwalę szukając potrzebnej rzeczy. Wsunęła rękę głęboko pomiędzy dwie paki i wyciągała kolejno rzeczy tam tkwiące. Na raz ręka jej trafiła na jakiś nieznaną jej przedmiot — okrągły, gładki. Zaciekawiona poświeciła latarką.

— Jezu! — wykrzyknęła.

Na ten krzyk z pokoju przybiegł małżonek.

Bez słowa wyciągnęła do niego rękę z fatalnym przedmiotem. Był to granat.

— Skąd go wzięłaś?

— Był w komórce.

— Puść!

Pan domu wszedł energicznie pomiędzy rupiecie i po chwili zaczęły się ukazywać na światło dzienne: granaty, rewolwery, naboje, równo ułożone w pudełkach od gilz, bagnet pięknie wywazelinowany i owinięty w szmatkę. Pani domu patrzyła blada i przerażona. Tak niedawno jeszcze wisiał ostatni spis zabitych za posiadanie broni. Teraz czekał ich ten sam los.

Po uprzątnięciu i wyniesieniu broni w niedostępne dla oka niemieckiego miejsce, oboje rodzice zaczęli się zastanawiać skąd wzięła się broń. Służącej nie mieli. Brat pani domu, który bywał u nich częstym gościem wyparł się z gniewem:

— Broń przechowuję, to prawda, ale nigdy jej nikomu nie podrzucam bez porozumienia...

Pozostał tylko syn — mały, cichy Jureczek.

— Jurku, co chowałeś w komórce?

Chłopiec zbladł.

— Jak mogłeś synku zrobić to bez uprzedzenia? Czy wiesz czym to grozi?

— Wiem, tatusiu, ale musiałem.

— Dlaczego musiałeś?

Długo bronił się Jurek przed pytaniami, ale płacz matki i groźby ojca otworzyły mu wreszcie usta:

— Bo myśmy założyli Związek Mordowania Niemców i mieliśmy kilka składów broni, tej cośmy we wrześniu zebrali na polach...

Kilka składów! Oboje państwo natychmiast udali się

do znajomych. We wszystkich domach okolicznych, u wszystkich zaprzyjaźnionych rodzin zawrzały poszukiwania. Z tapczanów, składzików i biurków wyciągano pochowaną broń. Równocześnie odbywały się przesłuchiwania. Dzieci nie wypierały się.

— Należeliśmy do związku — oświadczyły.

W jednym domu, gdzie było pięcioro dzieci, wszyscy synowie przyznali się, z wyjątkiem jednego.

— Widzicie — powiedziała matka — najmłodszy jest najrozumniejszy z was wszystkich. Nie należał do waszego związku.

— Ale do innego... — wyrwało się małej Celinie.

— Jakto synku? — zwróciła się matka do jedyne go rozsądnego syna.

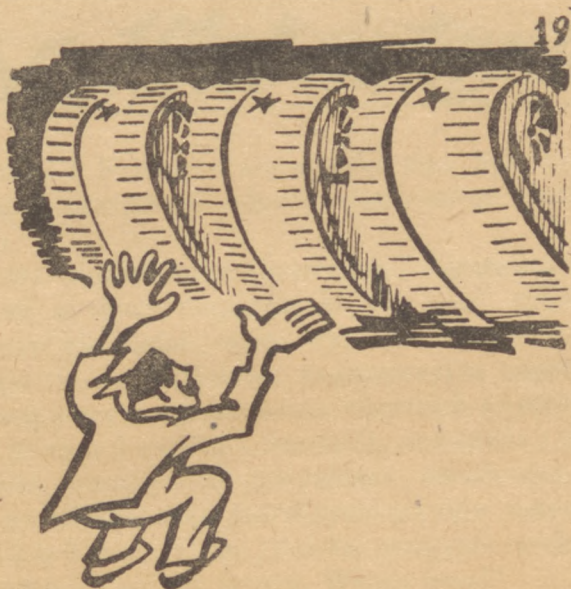
— ...Bo myśmy założyli związek konkurencyjny...
Związek Okrutnego Mordowania Niemców.

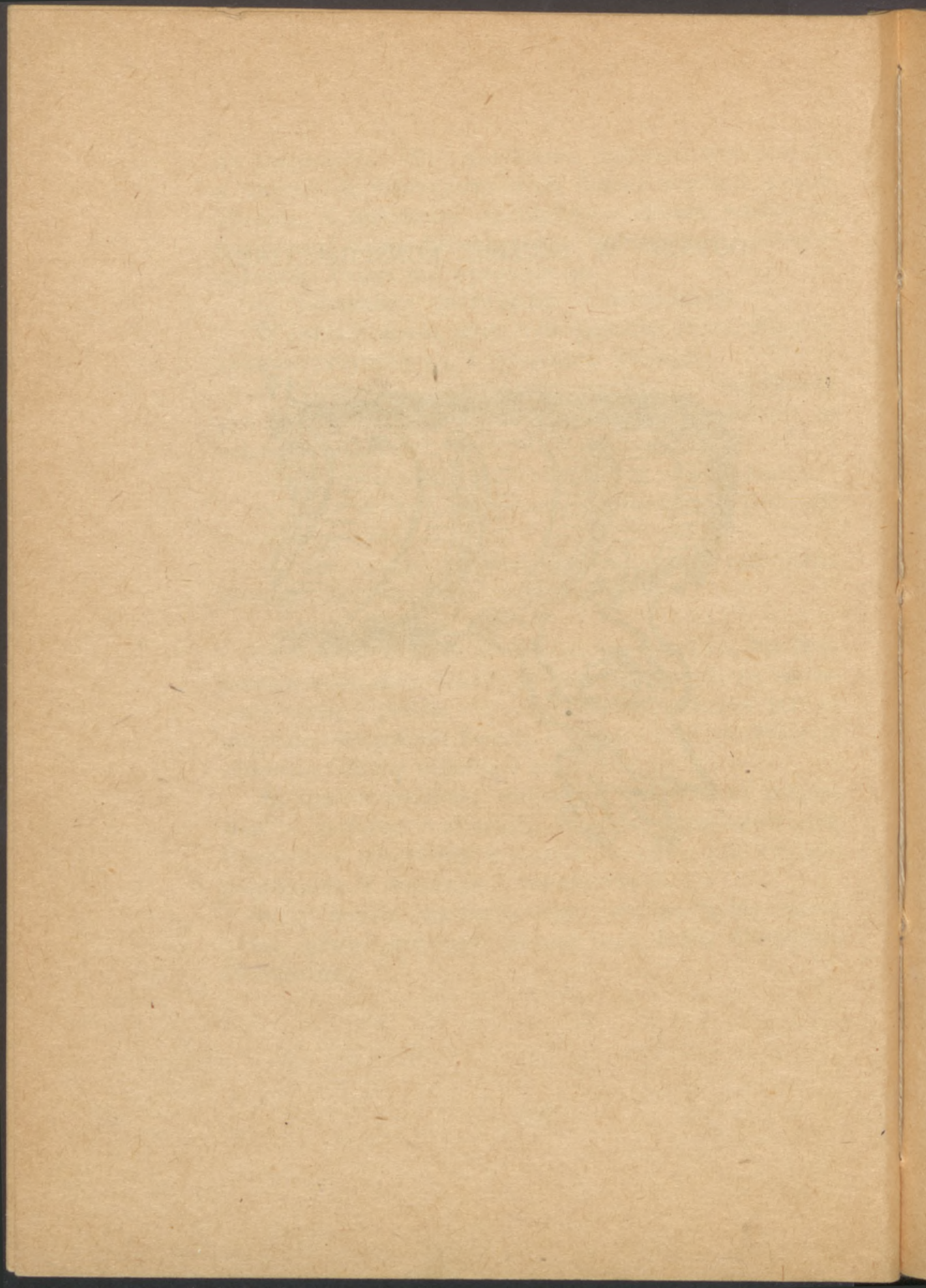
Dowcipów krążyło po Warszawie bez liku. Nie brakowało naturalnie historyjek rozgrywających się na terenie nieba i piekła. Od niepamiętnych czasów jest to przywilej wszystkich facecji, a rozmowy ze św. Piotrem stanowią żelazny repertuar anegdotyczny.

Za czasów ostatniej wojny św. Piotr także rozmawiał — zarówno z ofiarami, jak i ich prześladowcami. Goebelsowi udowodnił w sposób dotkliwy jak wygląda propaganda w stosunkach zaświatowych.

Bujny rozwój warszawskiego dowcipu byłby niezupełny, gdyby pominięta została jego służba dla Polski Podziemnej.

DOWCIP W SŁUŻBIE KONSPIRACYJNEJ





Der Kleb-autezmann

Walka z Niemcami orężem dowcipu była najwcześniejszym przejawem odporu niezłomnego ducha polskiego

Kiedy większa część społeczności warszawskiej znajduje się w stanie ośpienia, kiedy nasz stosunek do Niemców nie został jeszcze wyraźnie określony i kiedy okazuje się, że działalność konspiracyjna zupełnie jest nieprzygotowana i pozbawiona wszelkich środków, młodzież polska: harcerze i harcerki, uczniowie i studenci wiedzeni nieomylnym instynktem narodowym dokonują na własną rękę pierwszych zrywów antyniemieckich. Ich hasłem było: „Polska przegrała wiele bitew, nie przegrała jednak wojny. Wojna trwa!”

Tworzą się tedy grupy młodzieżowe, pojawiają się pierwsze pisemka odbite na powielaczach, zaczyna działać kolportaż.

Jednocześnie rozpoczyna się działalność, która w niedługi czas potem otrzymała miano „małego sabotażu”. Ten Mały Sabotaż rozrastał się coraz potężniej, niewątpliwie przyczynił się w znacznej mierze do

rozbudzenia siły moralnej własnego społeczeństwa, a wreszcie, opierając się na doskonałej znajomości niemieckiej psychiki, począł wymierzać dotkliwe ciosy wrogom.

Mały Sabotaż zorganizowany został przez Szare Szeregi czyli przez harcerstwo polskie, w szczególności poświęciła mu się organizacja *Wawer*. Poza tym brały w nim udział najrozmaitsze grupy konspiracyjne, o czym będzie jeszcze mowa.

Początki Małego Sabotażu opisał dokładnie znany działacz konspiracyjny pod pseudonimem Juliusza Góreckiego w obszernej broszurze, która ukazała się podczas konspiracji dwukrotnie (wydanie drugie rozszerzone i opatrzone ilustracjami) pod tytułem *Kamienie na szaniec*. Jest to opowiadanie o kilku harcerzach, którzy działali w niezapomnianych czasach 1939 — 1943 roku. Występują oni pod kryptonimami Wojtka, Czarnego i od dziewczęcej urody zwanego Staški. W pierwszych rozdziałach *Kamieni na szaniec* opisano ich działalność sabotażową i z tego właśnie niezmiernie rzetelnego źródła czerpałem szczegóły odnoszące się do początków i pierwszego rozwoju tej akcji.

„Gdy w końcu października 1939 r. rozplakatowana została odezwa nowomianowanego gubernatora Franka o utworzeniu Generalnej Guberni — na odezwie tej w parę dni po jej rozwieszeniu „nieznani sprawcy“ po nalepieniu małych wąskich karteczek: „Marszałek Piłsudski powiedziałby: a my was w d.... mamy“.

„Przed tymi wąskimi skrawkami papieru, nalepionymi na żółtych plakatach obwieszczenia, stawały na chwilę masy ludzi i chwyciwszy okiem treść, uśmiechały się i szły dalej. Szły jakoś bardziej wyprostowane, jakoś

rażniejszym krokiem, mocniej patrząc przed siebie. Historycznym faktem pozostanie, że te pierwsze w Warszawie nalepki propagandowe wyszły z koncepcji i z „warsztatu“ Czarnego i jego kolegi Małego. „Warsztat“ składał się z dziecinnej drukarenki-zabawki, w której gumowe literki mogą być złożone najwyżej w dwa wiersze. Obydwaj chłopcy wraz z kolegami w podnieceniu „drukujący“ i rozlepiający swe karteczki, niewątpliwie nie zdawali sobie sprawy z tego, że realizują pierwszy czyn samorządnej polskiej propagandy podziemnej“...

W niedługi czas potem córka znanego, polskiego literata rozlepiła wraz z kolegami na murach Warszawy następujące zawiadomienie:

„Kobiety utrzymujące stosunki z Niemcami zawiadamia się, że w domach publicznych są jeszcze wolne miejsca“.

Uplęnięto jednak wiele czasu, bo dopiero w marcu 1941 r. wyżej wymienieni harcerze złączyli się na okres półtoraroczny z akcją Małego Sabotażu, „która stanowiła wówczas czoło otwartej walki z okupantem w kraju na odcinku szczególnie istotnym — odcinku oddziaływania polskiej propagandy na najszerze rzesze narodu. W okresie szczytowych powodzeń Niemiec, w okresie największego uroku ich potęgi udany dowcipny pomysł propagandowy wprowadza ten szczególny nastrój Warszawy, który ją będzie charakteryzował w okresie okupacji: nastrój niczym niezmaconej wiary w słuszność własnej sprawy i kpiarskiego stosunku do tak zwanych „tymczasowych“. Nowa praca otworzyła chłopcom okazję do prawdziwej, czynnej służby w pracy niepodległościowej“.

Pierwsze zadania miały na celu stosowne oddziaływanie na własne społeczeństwo. Mały Sabotaż miał wzmacniać wrogi do Niemców nastrój, wytworzyć wiarę w potęgę wszechobecną Polski Podziemnej, oraz prowadzić systematyczne prześladowanie własnych tchórzów, oportunistów i podlizywaczy.

Zaczął się od prześladowania tych stołecznych fotografów, którzy przymilali się klienteli niemieckiej i w swoich szafkach wystawiali podobizny żołnierzy hitlerowskich. Po systematycznym tłuczeniu szyb w witrynach wystawowych „akcja fotograficzna“ dała dobre wyniki. Twarze żołnierzy niemieckich zniknęły z ulic warszawskich.

W dalszym ciągu akcji sabotażowej rozpoczęła się wojna z publicznością uczęszczającą do kin niemieckich. Wypisywano na murach i parkanach złośliwy slogan: *Tylko świnię siedzą w kinie*. Wydano specjalną ulotkę dla młodzieży, a potem pojawiło się „obwieszczenie urzędowe“ warszawskiego szefa propagandy niemieckiej Ohlenbuscha, który wzywał Polaków, aby gorliwie do kin uczęszczali, gdyż dochód z nich przeznaczony jest na dobrojenie armii niemieckiej. Kiedy to wszystko nie pomagało, przyszła kolej na gazowanie lokali kinowych. Wreszcie akcji tej przysłużyli się sami Niemcy, urządzając wśród publiczności filmowej masowe łapanki. To wystarczyło. Do kin uczęszczała tylko publiczność najpośledniejszego gatunku.

Bardzo zabawna była t. zw. „akcja przeciw Paprockiemu“. Górecki opisuje ją w następujący sposób:

„P. Paprocki był to restaurator przy ul. Madalińskiej. Regularnie w każdą sobotę ogłaszał się w *Nowym Kurierze Warszawskim*, komunikując, że pośredniczy

w prenumeracie „*Der Stürmer*“ (jednego z najbardziej plugawych tygodników niemieckiej propagandy) i innych niemieckich pism. Wobec tego Czarny i Wojtek przy pomocy kilku kolegów postanowili wykończyć p. Paprockiego, wykończyć go „na szaro“.

„Kwatera główna roboty przeciw Paprockiemu mieściła się w mieszkaniu Czarnego. Codziennie przychodził tam Wojtek i paru innych. Każdego dnia omawiano plan bliższych i dalszych przeciw Paprockiemu zamierzeń, każdego dnia zamierzenia te wprowadzano w czyn. Najpierw posłano do p. Paprockiego parę perswadujących listów. Potem wytłuczono mu szyby. Potem na szeregu przystanków tramwajowych rozlepiono ogłoszenie, że ma on po rewelacyjnie taniej cenie na sprzedaż słoninę. Potem zaczęto nękać go i dręczyć kilkoma dziennie telefonami, tłumacząc co to jest *Der Stürmer*. Potem dano w *Nowym Kurierze Warszawskim* parę ogłoszeń o tym, że p. Paprocki ma na sprzedaż za pół darmo węgiel, którego chce się szybko wyzbyć. Potem na murach domu Paprockiego i sąsiednich wypisano o p. Paprockim szereg soczystych słów. Potem nalepiono na drzwiach restauracji klepsydre żalobną o zgonie p. Paprockiego. I znów wytłuczono mu szyby“.

„Po dwóch tygodniach w każdym z okien restauracji ukazało się ogłoszenie wystawione przez bliskiego wariactwa restauratora: „Zawiadamiam Szanowną Publiczność, że nie prowadzę już pośrednictwa w prenumeracie *Der Stürmer* i innych niemieckich pism“. Jeden z głupców został nauczony rozum!“.

Działalność akcji sabotażowej wzrastała z żywiołą siłą. Stała się ona ambitną zabawą młodzieży warszawskiej. Pomysły są coraz lepsze i śmielsze. Organiza-

cja, która je wykonuje sprawia na Polakach i na Niemcach wrażenie organizacji olbrzymiej. Ślady jej pracy spotyka się we wszystkich niemal dzielnicach Warszawy, na przedmieściach, na ulicach najbardziej ożywionych i pośród głuchych zaułków, na murach, parkanach, ścianach domów, nawet na chodnikach. Żółw propagujący powolną robotę w zakładach pracujących dla Niemców pojawia się wszędzie. W późniejszych latach znak Polski Walczącej w formie kotwicy ukazuje się niemal na każdym sposobnym miejscu, nie wyłączając pomników, nie omijając najbliższego sąsiedztwa Gestapo.

Jeszcze trudniejszym, o wielkim znaczeniu wyczynie propagandowym jest rozlepienie słynnego afisza „*Führer powiedział*”, w którym w sposób doskonały przedstawiono kłamliwe niekonsekwencje Hitlera.

Z pierwszych nieśmiałych, uczniowskich figlów antyniemieckich sabotaż przeradza się w akcję o rozmiarze europejskim w takim stopniu, że opowiada o niej radiostacja angielska, a niektóre polskie ulotki sabotażowe, które tajemniczymi drogami docierają aż do Londynu, są reprodukowane na pierwszej stronie wielkich dzienników angielskich.

Niektóre pomysły były indywidualne, niektóre podporządkowywały się nakazom angielskiej propagandy. Robotę wypełniano ściśle ale i pomysłowo.

„Pierwszą wielką robotę — opowiada Górecki — dręczenia i niepokojenia Niemców, w której wzięli udział nasi chłopcy, była słynna na cały świat wojna z Goebbelsem, przeprowadzana za pomocą litery V. Inicjatywę podjęła propaganda angielska, nawołująca drogą radiową wszystkie kraje okupowane do pisania na murach litery V, to znaczy „*Victory* — zwycięstwo. Mały Sabotaż

FÜHRER POWIEDZIAŁ

„Mein Kampf“ t. I rozdz. IV:

„Tylko z Anglią, mając zabezpieczone tyły, można zaczynać nowy pochód germański. Aby zyskać jej przychylność żadna ofiara nie jest zbyt wielka.“

W Reichstagu w Berlinie 6.X.1939:

„Narody niemiecki i rosyjski wtedy były najszczęśliwsze, kiedy żyły z sobą w przyjaźni. Wielka wojna stała się nieszczęściem dla obu krajów. Jest zrozumiałem, że kraje kapitalistyczne mają szczególny interes w tym, aby wygrać przeciw sobie oba państwa. Ale to się nie uda. Zawarty między Niemcami i Rosją nowy pakt przyjaźni umożliwi obu państwom nie tylko spokój, ale i długą, szczęśliwą współpracę.“

W Monachium. do „starej gwardji“, 89.XI.1939:

„Upatrywałem nie tylko zwycięstwo niemieckiej polityki, ale i zwycięstwo rozsądku w tym, że udało się nam dojść do porozumienia z Rosją. Już raz oba narody przelewały swą krew. Żaden z nich nic na tem nie zyskał. Jesteśmy zdecydowani nie wyświadczyć po raz drugi tej przysługi panom z Londynu i Paryża.“

Rozkaz do wojska 1.I.1941 r.

„Rok 1941 przyniesie zakończenie największego zwycięstwa naszej historii.“

przyłączył się do tej brytyjskiej inicjatywy i pewnego dnia miasto pokryło się tysiącami liter V. Ponieważ to samo działo się w Jugosławii, Belgii, Francji — w całej okupowanej Europie, a nawet na niektórych terenach Rzeszy, Goebbels powziął decyzję wybicia klina klinem. Na przełomie lipca i sierpnia 1941 r. propaganda niemiecka zaczęła z niesłychanym nakładem sił i środków, za pomocą ulotek, afiszy, napisów, specjalnych tablic itd., rozpowszechniać tę samą literę V jako *Victorię* — symbol przyszłego zwycięstwa niemieckiego. Mały Sabotaż ocenił z uznaniem pomysłowość Goebbelsa, natychmiast jednak zastosowano ripostę: zaczęto duże V uzupełniać w ten sposób, że Warszawa zaroila się od słowa *Verloren*, *Deutschland Verloren* — Niemcy zgubione! Było dużo roboty z tym V i z *Deutschland Verloren*. Była to jednak robota - zabawa. Przyjemnie mieć do czynienia z rzutkiem i pomysłowym przeciwnikiem. Dużą satysfakcją jest nie dać mu się, odparować i dźgnąć go w czule miejsce. Szczególnie, gdy przeciwnik jest zbrojny w potężne środki, samemu zaś rozporządza się tylko kredą i małą nalepką“.

„Gdy propaganda niemiecka rzuciła hasło wypisywane i rozlepiane setkami tysięcy: *Deutschland siegt an allen Fronten*, Mały Sabotaż krótkim, ostrym pchnięciem odparował cios: w słowie *siegt* literę s zamieniono na literę l: „*Deutschland liegt an allen Fronten*“.

Jak dalece Mały Sabotaż czujny był na wszelką sposobność dokuczenia Niemcom świadczy moje osobiste wspomnienie.

Kiedy pewnego dnia przyjechałem do Warszawy z Milanówka jak zwykle rano, na murach stolicy pojawiły się jakieś groźne obwieszczenia, pod którymi wid

niał podpis wyższego oficera policji nazwiskiem *Moder*.

— Jak by to było zabawne, — rzekłem do przyjaciela — gdyby nasi chłopcy wpadli na pomysł przerobienia tego *Modera* na *Mördera*.

Idąc w kierunku Mazowieckiej zobaczyłem już na placu Napoleona te same afisze, na których jakieś tajemnicze ręce dokonały wymarzonej przeze mnie poprawki.

W kilka godzin potem specjalne oddziały gestapowców wycinały starannie żyłkami kompromitującego *Mördera*...

Organizacje sabotażowe zajmowały się z niepomiernym zapalem zdzieraniem czerwonych sztandarów hitlerowskich z czarnymi swastykami. Jednocześnie zawieszano chorągiewki biało-czerwone w miejscach tak niedostępnych, że do usunięcia ich potrzeba było specjalnego wozu tramwajowego albo straży pożarnej.

Najglówniejszym ze wszystkich wyczynów Małego Sabotażu było zdjęcie wielkiej, miedzianej płyty z napisem niemieckim, którą to płytą hitlerowcy przeslonili dawny polski napis na pomniku Kopernika. Stało się to w rocznicę narodzin wielkiego naszego uczonego, a mianowicie w dniu 19 lutego 1942 r.

Afera kopernikowska została rozślawiona przez tajną prasę krajową, oraz prasę emigracyjną. Warszawski gubernator Fischer rozgniewał się niesłychanie i specjalnym plakatem zawiadomił Warszawę, że za usunięcie tablicy niemieckiej Warszawa pozbawiona została pomnika Kilińskiego.

Ale polscy sabotażyści czuwali i wysledzili dokąd Kiliński został przewieziony. Niebawem na murach Mu-

zeum Narodowego pojawił się napis: *Ludu Warszawy — jam tu!* Jan Kiliński.

Odezwał się również i sam Kopernik, który w specjalnym obwieszczeniu zawiadomił Niemców, że za ich nieuczynne zamachy postanowił przedłużyć zimę o trzy miesiące.

Była to kara szczególnie dotkliwa w przełomowym okresie wojny. Niemcy cofali się już spod Stalingradu, a ciężkie mrozy trwające, jakby na zamówienie pośród wiosny, dokuczały im srodze.

Opisywani przez Góreckiego harcerze przestali się zajmować sabotażem i zostali przydzieleni najpierw do akcji dywersyjnej, a potem do bezpośredniej akcji bojowej. Ich dziełem było słynne odbicie więźniów pod Arsenalem na ulicy Długiej. Harcerze byli w tym wypadku osobiście zainteresowani, chodziło bowiem o uwolnienie z rąk oprawców Czarnego. Jak wiadomo zamach się udał, ale Czarnemu skatowanemu straszliwie życia przywrócić nie zdołano, a Wojtek ciężko ranny w brzuch niebawem wyzionął ducha. 20 sierpnia 1943 roku w walce z niemieckimi żandarmami zginął ostatni z bohaterskich harcerzy piękny jak dziewczyna Staśka.

Tymczasem Mały Sabotaż nie tylko niepomiarnie się rozrósł, nie tylko uprawiały go systematycznie całe zastępy konspiracyjnej młodzieży, ale pierwsze doświadczenia w tej dziedzinie wytworzyły cały zespół sposobów, które używane wobec Niemców rzadko zawodziły.

To wszystko polegało na bardzo dokładnym zrozumieniu psychiki niemieckiej, oraz ustaleniu, że poziom inteligencji przeciętnego Niemca był bardzo niski.

W Warszawie powtarzało się to samo, co zauważono na wszystkich frontach bojowych. Niemcy z wielką wy-

trwałością i systematycznością przeprowadzali wszystkie akcje przygotowane z góry, ale stawali się bezradni, jeśli nieoczekiwana zmiana wypadków wymagała od nich powzięcia szybkiego, rozstrzygającego postanowienia. Nie posiadali oni zdolności improwizacyjnych ani umysłów lotnych, umiejących się przystosować do nowych, nieprzewidzianych okoliczności.

Odznaczali się przy tym głęboko zakorzenionym pozostaniem dla tego wszystkiego, co wyrażało jakikolwiek autorytet urzędowy. Pieczętka, marka pocztowa, napis oficjalny — to wszystko wystarczało, aby przeciętnego Niemca wprowadzić w błąd i wyślizgnąć się z najniebezpieczniejszego położenia.

Trzeba tu jeszcze dodać bardzo niski stopień inteligencji niemieckiej. Umysłowość przeciętnego żołnierza, podoficera, a nawet oficera była niczym innym jak tylko zawsze jednakową płytą nagrą przez niemiecką propagandę. Dopiero przełom wojenny zdołał wy dobyć nieco krytycyzmu z tych umysłów tępych, opierających się siłą bezwładu pobudliwości umysłowej.

Jeszcze gorzej przedstawiała się psychika niemieckiego żołnierza politycznego. Jak już uprzednio wzmiankowałem, zdemoralizowało ich stosowanie odpowiedzialności zbiorowej i terroru przypadkowego. Nie posiadali oni ambicji śledczych, usiłowali zawsze wydobyć potrzebne im wiadomości katuszami, przeprowadzali aresztowania na osłep, zabijali i wysyłali do obozów koncentracyjnych tak, jak popadło. Większość policji niemieckiej składała się z półinteligentów albo ze zwyrodniałych przestępców, którzy nie umieli mówić poprawnie i nie posiadali elementarnych nawet wiadomości.

To wszystko razem wytwarzało nieustającą sposob-



ność, jak to się mówi w Warszawie, nabijania Niemców w butelkę. Byli wyprowadzani w pole przy każdej sposobności zarówno przez konspiratorów, jak i rodzimych szmuglerów, oraz spekulantów.

W znacznej mierze odpór niemiecki był dowcipnym wyszukiwaniem właściwości niemieckiego umysłu.

Znałem handlowców, którzy systematycznie wysyłali do urzędów niemieckich sfalszowane okólniki i rozporządzenia, aby wyzyskać je w dalszym, spekulacyjnym działaniu. Jedna z firm, która dostarczała między innymi piasek do robót fortyfikacyjnych, musiała rozdać tyle łapówek, że trzeba było piasek sprowadzać fikcyjnie aż z Danii. Ale jakże to wytłómaczyć, że zwyczajny piasek, którego w Polsce było pod dostatkiem, przyjeżdżał z tak daleka. Jeden z inżynierów firmowych wpadł na pomysł doskonały. Po prostu na wagonach i workach umieszczono napis: *Sonder - Sand*. Piasek specjalny! Tego już żaden z Niemców nie poddawał w wątpliwość...

Jeśli mimo przesładowań, masowych rewizji i konfiskat, większość szmugłu docierała do Warszawy i innych miast, jeśli przez cały czas trwania okupacji można było nawet za pilnie strzeżonymi murami getta mieć jechdzenia pod dostatkiem, to niewątpliwie działo się tak dzięki pomysłowym kawałom szmuglerów, których przygody i przeżycia są do dziś dnia niewyzyskanym tematem literackim.

W konspiracji przede wszystkim kawał był czynnikiem nader ważnym. Za pomocą dobrze obmyślonych i przygotowanych kawałów kolportowano wydawnictwa nielegalne w ilościach olbrzymich. Ulotki, broszury i książki nielegalne opatrzone były zmyślonymi ty-

tułami. Bibułę noszono i przewożono w paczkach oklejonych znaczkami pocztowymi i opatrzonych urzędowymi pieczęciami. Schowki umieszczone były tak dowcipnie, że dla odnalezienia ich trzeba było zrywać posadzki i rozwaląć ściany.

Używanie mundurów niemieckich w akcjach bojowych było chlebem powszednim. W tych czasach baronów Budbergów *) trzeba liczyć na kopy...

Od pierwszej chwili sabotaż miał poważne znaczenie polityczne i rozrastając się coraz bardziej miał na celu podtrzymanie moralne własnego społeczeństwa i dostarczenie mu prawdziwych wiadomości, a z drugiej strony starał się przeciwnika niepokoić, wprowadzać w błąd, wytwarzać w jego szeregach zamieszanie, a nawet wywoływać panikę. Czasami udawało się jednym pomysłowym pociągnięciem uzyskać jedno, drugie i trzecie. Niekiedy sabotaż przeradzał się w owocną dywersję.

Oto kilka przykładów różnorodnych.

W dniu 25 stycznia 1942 rozpowszechniono w Warszawie ulotkę pod zagadkowym nagłówkiem:

„MRÓZ“ NAJLEPSZY SRODEK NA ROBACTWO

W ulotce tej umieszczono wiadomości o polskich siłach zbrojnych na lądzie, w powietrzu i na morzu, oraz o organizacjach podziemnych i wojnie cywilnej, a potem czytamy:

„Mróz“ — niech żyje — „mróz“.

Podajemy do wiadomości, że w myśl zadań wojny

*) Baron Budberg (Jur Gorzechowski) był bohaterem słynnego uwięzienia 10 z Pawiaka za czasów carskich.

cywilnej, każdego Polaka i Polkę obowiązują następujące rozkazy:

1. Powolna praca w tych zakładach, fabrykach itp., które pracują na potrzeby armii niemieckiej. Im częściej będziesz się „mylił“, „zapominał“, im częściej czegoś „nie rozumiesz“ — tym lepiej. Bądź ostrożny — ale i odważny.

2. Bierny opór w stosunku do niemieckich zarządzeń i rozkazów. Gwiżdż na różne niemieckie rejestracje, zakazy przewozu produktów, nakazy oddawania nart czy lichy jeszcze wie, co wymyślą! Uważaj jednak, by nie stosować biernego oporu tam, gdzie może to przynieść szkodę polskiemu społeczeństwu.

3. Żadnych stosunków nie wolno utrzymywać z Niemcami, prócz niezbędnych stosunków służbowych. Nie wolno im okazywać życzliwości, nie wolno się do nich uśmiechać, wskazywać drogi itd. Każdy Niemiec powinien czuć, że znajduje się we wrogim kraju, że otaacza go nienawiść za te potworne zbrodnie, jakie w Polsce popełnił i co dzień popełnia.

4. Bojkotuj kina — główne źródło dochodowe propagandy niemieckiej. Bojkotuj różne gadzinowe tygodniki, różne „Fale“, „7 dni“, „Siew“ itp.; bez tego śmiało się obejść możesz. Bojkotuj różne firmy niemieckie — bojkotuj zarekwirowaną przez Niemców Księgarnię „Gebethnera i Wolffa“, bojkotuj sklepy Meinla, bojkotuj kioski „Ruchu“. Uderz po kieszeni robaczywe przedsiębiorstwo, które roić się zaczyna na naszej ziemi.

5. Nieś pomoc wszystkim rodakom cierpiącym poniewierkę, nędzę, zimno. Nie ma takiego biedaka, który by czymkolwiek nie mógł się podzielić z jeszcze biedniejszym. A jeśli masz lepsze zarobki — pomagaj

nie tylko pojedynczym rodzinom ale zasilaj szczerze polskie instytucje opieki społecznej. Pamiętaj, że obżerać się, pić i tyć w dzisiejszych czasach jest rzeczą haniebną. Pamiętaj, że twój sposób życia i bycia obserwują dziesiątki uważnych oczu i, jeśli w dniach biedy i klęski nie jesteś z narodem, wystawiony ci kiedyś zostanie ciężki rachunek.

Jednym słowem bądź czynnym patriotą. Nie wystarczy wzdychać do czasów, które minęły i czekać! Trzeba codziennym czynem świadczyć, że się jest Polakiem.

„Mróz“ tępi robactwo!

Nie bój się! Nie wyrzucaj, nie pal tej ulotki. Nie bój się wroga — wróg zaczyna coraz bardziej obawiać się nas — ciebie też! Do góry głowa! Gwizdź na wszelkie „strachy na Lachy“! W dupie miej Szkopów!

Jeszcze raz przeczytaj tę ulotkę. Zapamiętaj. Opowiadaj innym. A ulotkę podaj dalej. Albo podrzuć komukolwiek.

Kiedy Niemcy rozpoczęli akcję katyńską, propaganda polska odparła ją znakomicie, rozlepiając w Krakowie i Warszawie specjalne obwieszczenie, które zostało rozesłane potem wielu niemieckim urządóm jako druk urzędowy.

Była to robota tak doskonała, że wielu Niemców przyjęło ją poważnie. Trzeba było dopiero wielu specjalnych wyjaśnień władz centralnych, aby zrozumiane zostało, że niemiecka maszyna urzędowa została jeszcze raz w błąd wprowadzona.

Obwieszczenie to przedstawia się jak następuje:

REGIERUNG
DES GENERALGOVERNEMENTS
— Hauptabteilung Propaganda —
BEKANNTMACHUNG NR. 35.

An die
Bevölkerung des General Gouvernements!
Auf Anregung der Hauptabteilung Propaganda in der Regierung des GG hat sich am 11. April d. J. ein Ausschuss der Repräsentanten der polnischen Bevölkerung nach Smoleńsk begeben, um sich an Ort und Stelle von der Bästialität der sowjetischen Polenmörder zu überzeugen. Dadurch soll die polnische Bevölkerung aufgeklärt werden, welch furchtbares Los ihrer harren, wenn es den Soviets gelungen wäre, ins zeitweise von Deutschen besetzte polnische Gebiet einzudringen.

Das vom polnischen Ausschuss gesammelte Material wird nach entsprechender Bearbeitung der Allgemeinheit durch Veröffentlichungen zur Kenntnis gegeben.

Im Zusammenhang damit wird auf Anordnung der Regierung des GG in nächster Zeit ein analogischer Ausflug nach dem Konzentrationslager in Auschwitz für ein Komitee aller im GG beheimateten Volksgruppen organisiert. Dieser Ausflug soll beweisen, wie humanitär im Vergleich zu den bolschewistischen Methoden die deutschen Einrichtungen sind, mit Hilfe derer die Massenliquidation der polnischen Bevölkerung durchgeführt wird. Die deutsche Wissenschaft hat hier ungeheures für die europäische Kultur geleistet, denn anstatt eines grausigen, primitiven Massenmordes der unbequemen Bevölkerung kann man in Auschwitz Gas- und Dampfkammern, elektrische Platten usw. sehen, mit deren Hilfe Tausende von Polen in kürzester Zeit, auf eine Weise die der Ehre des grossen deutschen Volkes entspricht, vom Leben zum Tode befördert werden können. Es genügt darauf hinzuweisen, dass das Krematorium allein am Tage 3000 Leichen einäschern kann.

In Sommermonaten sind weitere Ausflüge mit Sonderzügen nach den Konzentrationslagern in Matthausen, Oranienburg, Dachau, Ravensbrück u. a. vorgesehen.

Die Leiter aller deutschen Dienststellen im GG werden angewiesen diese Bekanntmachung an sichtbarer Stelle auszuhängen und alle eine möglichst rege Teilnahme an diesen Ausflügen zu ermöglichen.

Anmeldungen nehmen schon jetzt alle Zweigstellen des MER und die Hauptabteilung Propaganda in Krakau, Klopfermarkt Nr. 4, entgegen.

gez. (—) Ohlenbusch
Krakau, den 13.4.1943.

REGIERUNG
DES GENERALGOVERNEMENTS
— Hauptabteilung Propaganda —

OBWIESZCZENIE NR. 35

Do Ludności Generalnego Gubernatorstwa!

Z inicjatywy Wydziału Propagandy w Gen. Gub., udała się w dniu 11 kwietnia b. r. wycieczka przedstawicieli polskiego społeczeństwa do Smoleńska, aby tam przekonać się naocznie o bestialskich mordach dokonanych przez bolszewików na Polakach. Ma to na celu uświadomienie polskiej opinii, jakoby czekał los Polaków, gdyby bolszewikom udało się wtargnąć na tereny polskie czasowo okupowane przez Niemców.

Materiał przywieziony przez delegatów polskich, po odpowiednim opracowaniu podany zostanie ogółowi do wiadomości za pomocą prasy i broszur.

W związku z tym z polecenia Rządu GG zostanie w najbliższym czasie zorganizowana analogiczna wycieczka do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, dla przedstawicieli wszystkich narodowości zamieszkujących teren GG. Wycieczka ta, ma na celu wykazanie, jak humanitarne są w porównaniu z metodami bolszewickimi urządzenia niemieckie zmierzające do masowej likwidacji ludności polskiej. Nauka niemiecka wniosła ogromny wkład dorobku kultury na tym polu, bo miast ohydnych i prymitywnego sposobu mordowania ludności, w Oświęcimiu można oglądać nowoczesne urządzenia jak komory gazowe i parowe, płyty elektryczne itp., pozwalające na likwidowanie tysięcy Polaków w niesłychanie krótkim czasie w sposób odpowiadający godności wielkiego narodu niemieckiego. Dość wspomnieć — że tylko wydajność krematorium w Oświęcimiu wynosi już obecnie 3.000 osób na dobę.

W miesiącach letnich przewidziane są dalsze wycieczki pociągami popularnymi do obozów koncentracyjnych w Matthausen, Oranienburgu, Dachau, Ravensbrück itp.

Kierownicy wszystkich urzędów na terenie Gen. Gub. winni ogłoszenie niniejsze umieścić na miejscu widocznym i bezwzględnie ułatwiać swym podwładnym udział w tej wycieczce.

Zgłoszenia uczestnictwa przyjmują już obecnie wszystkie biura MER i Wydział Propagandy w Krakowie, Plac Kleparski 4.

Szef Wydziału Propagandy:

(—) Ohlenbusch

Kraków, dnia 13.4.1943.

Wielkie wrażenie w kraju i zagranicą wywołało ukazanie się dwóch nadzwyczajnych dodatków „szmatławca“ w r. 1943. Jeden donosił o wypowiedzeniu wojny aliantom przez Hiszpanię, drugi o wkroczeniu Niemców do Szwecji. W obu dodatkach wyśmiewano Niemców i poumieszczano wiadomości o polskich siłach zbrojnych.

Całe to przedsięwzięcie przeprowadzone zostało znakomicie. Dodatki pod względem typograficznym nie różniły się prawie wcale od *Nowego Kuriera Warszawskiego*. Przywieziono je samochodami i zorganizowano błyskawiczny kolportaż. Niemcy jak zwykle dali się nabrać i uwierzyli. Kilku oficerów czytało je głośno żołnierzom, aby nagle urwać z wybałuszonymi ślepiami.

W tym samym roku zorganizowano patriotyczne audycje nadawane przez urzędowe niemieckie głośniki, popularnie *szczekaczkami* zwane. Pierwsza odbyła się 3 maja 1943 na Żoliborzu przy pomocy kabla przeprowadzonego nad gettem. Audycja ta trwała 10 minut. Tłum ludzi wysłuchał jej z odkrytymi głowami. Odegrano hymn narodowy. Działo się to wszystko wówczas kiedy getto płonęło, a w mieście szalał terror i odbywały się publiczne egzekucje.

Te same audycje powtórzone zostały dwukrotnie w kilku punktach miasta w lipcu i sierpniu tegoż roku.

Specjalną dziedziną dywersyjnego sabotażu były rozliczne wydawnictwa niemieckie, które sprawiały Niemcom wiele kłopotu. Ukazywały się ulotki niemieckie podszycujące się pod najrozmaitsze organizacje. Przemawiano w imieniu zwolenników Hessa i tzw. *Erneuerungs Bewegung*. Widniały podpisy: *Frontsoldaten*, *Komunistische Partei*, *Oestereichischer Freiheitsbund*, itd. Po między rokiem 1941 a 1943 Polska Podziemna wydawała

"TOTALE MOBILMACHUNG"



DIE SCHÖNHETSSALONS WERDEN GESCHLOSSEN ...



KELLNER AN DIE GEWEHRE ...



DIE VERSCHÖNERUNGSRATE AN DIE FRONT...



DIE FRAUEN DER P.G.'s
MOPSEN IN BÜROS
HERUM...



UND DIESE HIER

IN DIE ETAPPE ZUR
TRUPPENBETREUUNG...



AUCH TANZ-
KAPPELLEN
SOLLEN DIE
FRONT STÜTZEN
HELFFEN...



DIE FRAUEN DER SOLDATEN
ZUR SCHWER-
ARBEIT BEI KRUPP...



-ZÖK

ła wiele pism niemieckich, które wyzyskiwały każdą okazję, aby siać zamieszanie wśród Niemców i dostarczać im wiadomości o niepowodzeniach Hitlera na wszystkich frontach. Były to między innymi: *Der Durchbruch*, *Der Frontkämpfer*, *Die Ostwache*, *Die Zukunft*.

Do największych osobliwości należało niemieckie pismo satyryczne *Der Klabauterman* *), Pomędzy rokiem 1942 a 1944 ukazało się dwadzieścia kilka numerów z dwukolorowymi, doskonałymi rysunkami i niebyłą treścią satyryczną.

Nie brakowało ulotek z karykaturami Hitlera. Do najdowcipniejszych należała *Windmacher* **) z rysunkami ilustrującymi cytaty z przemówień Führera.

Autorem satyrycznych rysunków przeciwko Niemcom zwróconym był w przeważającej części jeden tylko człowiek, a mianowicie Stanisław Tomaszewski, znany w kołach konspiracyjnych pod nazwiskiem Wiśniewskiego. Uprawiał działalność niezmordowaną i nieustanną. Był redaktorem i wyłącznym rysownikiem wspomnianego już pisma *Der Klabauterman*, jego dziełem były niezliczone ulotki, wydawnictwo *Der Windmacher*, jego rysunki ukazywały się na ostatniej stronie *Biuletynu Informacyjnego*. Kiedy żołnierze włoscy przejeżdżali przez Polskę na front wschodni, Tomaszewski przygotował ulotkę w języku włoskim z rysunkami satyrycznymi. Ulotkę tę p. t.: *Il padrone ed il servo rozrzucono* masowo pomiędzy pułkami Mussoliniego. Stanisław Tomaszewski został aresztowany, lecz po dłuższym pobycie

*) W niemieckiej gwarze żołnierskiej znaczy nicpoń, łazęga, obijacz.

**) *Fanfaron, pyszałek, zarozumialec.*



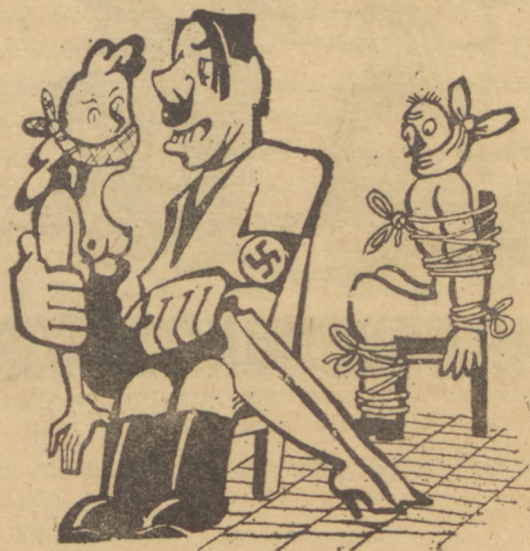
DIE NEUORDNUNG EUROPAS

na Pawiaku, zdołał wydobyć się na wolność i w dalszym ciągu rysował, redagował i organizował.

Kiedy pewnego razu odwiedziłem go w jego „melnie“ na Wierzbnie, oglądałem ze zdumieniem to zuchwałe laboratorium niedbale zakonspirowanego szyderstwa, gdzie się rodziły i ucieleśniały wciąż nowe pomysły...

Niepokojoono zresztą Niemców nieustannie. Urzędy zasypywano najbardziej pomysłowymi okólnikami, na ulicach rozlepiano afisze nakazujące ewakuację volksdeutschów albo też wzywano żołnierzy, którzy pragną udać się na urlop. Stosowano dowcipy telefoniczne, ostrzegając np. kilkuset urzędników niemieckich, aby w wyznaczonym dniu nie opuszczali swych mieszkań.

Sabotaż i dywersja nie ustawały aż do ostatnich dni, aż do chwili wybuchu powstania...



ZAKOŃCZENIE

Staralem się przedstawić szyderstwo przeciwnie-
mieckie nie tyle w całej jego rozciągłości, co w najbar-
dziej zasadniczych przejawach. A więc jako nieomylny
wyraz instynktu narodowego, jako swojego rodzaju po-
gląd na niemieckie niebezpieczeństwo, a wreszcie pod-
czas wojny ostatniej najpierw jako wyraz niezłomnego
powszechnego odporu, na koniec zaś jako oręż niezawo-
dny w walce bezpośredniej.

Po odzyskaniu niepodległości i zupełnym załamaniu
się hitleryzmu, skończyło się w Polsce wyszydzenie
Niemców. Polacy nie mają zwyczaju wyśmiewania się
z powalonego przeciwnika. Skończyły się docinki, prze-
śmiechy, żartobliwe piosenki i pocieszne historyjki.
Przestaliśmy żartować, pragniemy obecnie zagadnienie
niemieckie rozwiązać z bezlitosną powagą — powagą
i logiką, na jakie nas stać nie było w przeciagu ostatnich,
wielu lat. Szyderstwo przeciwnieckie stało się dziś
jakby wspomnieniem historycznym.

Zagadnienie niemieckie dla Polski współczesnej jest
niezmiernie proste i jasne. Opiera się ono na bardziej
od innych narodów pogłębionym zrozumieniu tych
zbrodni niemieckich, które popełnione zostały i które

w sprzyjających okolicznościach jeszcze popelnione być mogą. Tę znajomość tak dokładną psychiki niemieckiej osiągnęliśmy nie tylko w nieustających, historycznych już starciach z naszym zachodnim sąsiadem, ale zdobyliśmy jej pełnię podczas ostatnich okrutnych doświadczeń. Ślad wynika słuszną i uzasadnioną wrażliwość na niemieckie niebezpieczeństwo, które podzielamy z niektórymi narodami równie jak my poddanymi ostatnio najcięższym próbom, przede wszystkim z Rosją i Jugosławią.

Przekonanie o niewygasłej grozie niemieckiego niebezpieczeństwa jest wyrazem jednolitej polskiej opinii i powinno być kamieniem węgielnym powszechnego porozumienia polsko - rosyjskiego. Tylko garstka politycznych bankrutów emigracyjnych może opierać swoje rachuby na przypuszczeniu, że w wielkich rozgrywkach międzynarodowych Niemcy mogą być użyty jako sposobny współczynnik intryg politycznych, a nawet jako siła zbrojna w wymarzonej, przyszłej wojnie.

My tu w kraju takim nastrojom nie ulegamy.

Rozwiązanie zagadnienia niemieckiego jest dla nas zagadnieniem niezmiernie prostym i ściśle określonym. Nie wskazuje go nam ani potrzeba zemsty, ani niewczesna wyrozumiałość ani żadna mętna rachuba polityczna. Nie domagamy się tworzenia dla Niemców obozów koncentracyjnych na wzór hitlerowski, nie pragniemy akcji niszczycielskiej, nie mamy zamiaru budowania krematoriów, nie organizujemy elementów przestępczych i sadystycznych dla prześladowań przeciwniemieckich. Jeszcze za czasów okupacji niemieckiej zdawaliśmy sobie sprawę, że kara wymierzona Niemcom nigdy nie dorówna rozmiarom popelnionych zbrodni. W Europie

nie ma narodów tak, jak Niemcy okrutnych i tak w tym okrucieństwie zorganizowanych. Któż byłby w stanie wykonać pomstę z takim zamiłowaniem ścisłym, jak oni popełniali swoje zbrodnie? Należałoby chyba wynająć te same bandy zawodowych morderców, którymi posługiwali się oni w swym dziele potwornym. Nie podobna sobie wyobrazić, aby jakikolwiek naród zgodził się na znikczemnienie własnej młodzieży przez powołanie jej do wymiaru choćby najsluszniejszej kary. Polska jest od tego wszystkiego nie mniej daleka, jak inne narody. Wierzmy jednak mocno, że Niemcy muszą być unieszkodliwieni i jako system i jako naród — w sposób celowy, bez rozkoszowania się w okrucieństwie, bez wtrącania tych, którzy będą karali w nałogi zwyrodnienia.

Rozum polityczny każe nam ze swej strony uczynić wszystko, abyśmy przez długie lata zabezpieczyli się przed możliwością nowej napaści niemieckiej. Pod tym właśnie względem stanowisko nasze różni się zasadniczo od stanowiska anglosaskiego, zgodne jest natomiast z dążeniami rosyjskimi.

Anglosasi niejednokrotnie dawali wyraz przekonaniu, że ich zadania wobec Niemców są przede wszystkim wychowawcze. Zdają się wierzyć oni, że za pomocą szczególnego oddziaływania można sumieniem niemieckim wstrząsnąć i dokonać w ich duszach takiego przełomu moralnego, aby można było po pewnym czasie przyjąć skruszonych grzeszników do rodziny narodów europejskich.

Zogniskowaniem takiego oddziaływania wychowawczego miał być przede wszystkim proces norymberski. Nie tylko tedy ustalenie obiektywnej prawdy historycznej, ale i pedagogia...

Stąd jego olbrzymia rozpiętość i dokładność zarówno w wyzyskiwaniu materiałów rzeczowych, jak i drobiazgowym wnikanu w psychologię wszystkich aktorów straszliwego widowiska. To wszystko ma na celu ukazanie całej potworności zbrodni, która się ostatecznie nie udała, jakkolwiek jej organizatorzy starali się uczynić wszystko, co w ich pojęciu uczynić należało, aby zdobyć panowanie nad światem. Proces norymberski miał być przede wszystkim lekcją pogładową dla narodu niemieckiego. Z tego założenia wynikało, że w procesie norymberskim oskarżona jest klika hitlerowska, oskarżony jest Wehrmacht i hitlerowski sztab generalny, ale nie jest oskarżony sam naród niemiecki, który właśnie w Norymberdze ma się dowiedzieć nareszcie islotnej prawdy i który pod wpływem tych wszystkich wstrząsających przeżyć ma ulec zasadniczemu przeobrażeniu moralnemu.

Co do tych właśnie ostatnich nadziei, my Polacy wraz z innymi narodami mamy poważne zastrzeżenia. My Polacy w odrodzenie moralne narodu niemieckiego nie wierzyliśmy nigdy i nigdy wierzyć nie będziemy. Nieufność do rasy germańskiej jest jednym z najsilniejszych przejawów naszej psychiki narodowej. Niewyrozumowane przekonanie o nieustającym niebezpieczeństwie niemieckim wyrażało się w Polsce tak wszechstronnie i tak potężnie, że nie podobna tego lekceważyć, tym bardziej, że wypadki historyczne potwierdzały zawsze aż nadto jaskrawie nasze złe przewidywania i niedowierzania. Do żadnego innego narodu nie odnosiliśmy się z tak silnym uprzedzeniem jak do Niemców. Żadnego innego narodu nie charakteryzowaliśmy tak złośliwie. O żadnym innym narodzie nie pisano tyle, co

o Niemcach w polskiej literaturze pięknej, publicystycznej i naukowej.

Nasz instynkt wyczuwający niebezpieczeństwo niemieckie nigdy nas nie zawiódł, było to bowiem zawsze niebezpieczeństwo największe. Podczas ostatniej wojny Polska należała do tych niewielu krajów, gdzie okrucieństwo niemieckie i terror totalny panowały się tak, jak tego nie zaznał żaden z krajów zachodnio-europejskich.

Polska oskarża nie tylko niemieckich zbirów i terrorystów, nie tylko Gestapo, S. S., S. A., S. D., żandarmeryę i inne specjalne oddziały, ale oskarża również przeciętnego Niemca, który pojawił się w Polsce jako urzędnik, uchodźca albo przejezdny, który nieraz był po cichu przeciwnikiem Hitlera, ale zawsze z najgłębszego przekonania wyrażał nadzieję, że Niemcy zwyciężyć muszą, bo nie ma dla nich innego wyjścia. Przeciętny Niemiec w epoce hitlerowskiej był świadomie albo nieświadomie przedstawicielem wstecznictwa prusko - niemieckiego. Jeśli był człowiekiem wykształconym ukrywał swój rozum jak ciche kalectwo, jeśli istniały w jego duszy odruchy człowieczeństwa, tłumil je w sobie w sposób bezwzględny.

Nie wydaje nam się tedy możliwe, aby w dniu sądu i kary naród niemiecki mógł być oddzielony od swoich przywódców. I dlatego nadzieje wychowawcze nie przypadają nam ani do serca ani do rozumu. Ideologia tego rodzaju wydaje nam się złudną i zawodną. My Polacy jesteśmy na tyle zarozumiali, że uważamy się za lepszych znawców psychiki niemieckiej od przedstawicieli rasy anglosaskiej. Po prostu dlatego, że z Niemcami obcujemy bardzo dawno i bardzo blisko. Za tę znajomość

placiliśmy drogo i mamy ją niejako we krwi. Wiele np. z odkryć procesu norymberskiego, które cały świat zadziwiają, nie są żadną niespodzianką nawet dla bardzo przeciętnego obywatela polskiego.

Nikt w Polsce nie wierzy, aby mogło być podjęte jakiegokolwiek usiłowanie, choćby najbardziej systematyczne i cierpliwe, które by mogło doprowadzić do zupełnego uszlachetnienia Niemców. Zepchnięci w ciągu lat trzydziestu dwukrotnie na niziny melancholijnego upadku, ukrywają w swych duszach nieprzejeźdźnanych żal za tym, co minęło. Obrazy przenikające z sali sądowej w Norymberdze, obrazy zbrodni dokonanych może wstrząsną sumieniem niektórych Niemców, ale bezwątpienia działać będą zawsze poniecająco na wyobraźnię masy germańskiej. Będą oni tęsknić do czasów pomsty i okrutnego władania nad skrwawionym światem.

Rozum polityczny każe nam zabezpieczyć się wszelkimi sposobami od „marzycieli“ niemieckich. Szyderstwo, które uprawialiśmy wobec nich w tak szerokim zakresie, było do pewnego stopnia przejawem naszej słabości, wyrazem odporu duchowego wobec materialnej przewagi niemieckiej. Dziś, kiedy współdziałamy z narodami zwycięskimi, przyszedł czas na sprawiedliwe i celowe unieszkodliwienie wroga zawsze żadnego odwetu...

**WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK
KSIĘGARNI NAUKOWEJ
T. Szczęsny i S-ka
Toruń, Rynek Staromiejski 36**

70134



OBJAŚNIENIA DO ILUSTRACJI

Rysunki Aleksandra Świdwińskiego
na okładce i na str. 13, 15, 20, 24, 26, 33, 35, 42, 43,
53, 54, 55, 56, 64, 65, 70, 71, 92.

Rysunki Stanisława Tomaszewskiego
z wydawnictwa konspiracyjnego „Windmacher”
na str. 93, 95, 129, 131, 144, 145, 147, 165, 188
część strony konspiracyjnego pisma „Der Klabautermann”
na str. 185.
ulotka satyryczna na str. 187.

Nagłówek pisma satyrycznego „Der Klabautermann”
na str. 167.

Afisz rozlepiany na murach Warszawy podczas okupa-
cji niemieckiej „Führer powiedział” na str. 173.

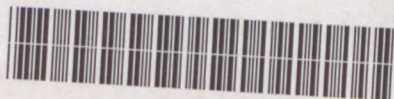
Rysownik nieznanym
Ulotka satyryczna rozpowszechniana wśród lud-
ności polskiej na str. 178.

SPIS RZECZY

	Str.
Słowo wstępne	7
Popularne przysłowia, piosenki, opowia- dania i fraszki o Niemcach:	
<i>Dawniej i dziś</i>	15
<i>Niemiecki charakter</i>	21
<i>Niemiecka chytrość i niemiecka głupota</i>	26
<i>Tchórzliwość Niemca</i>	33
<i>Jak Niemiec wygląda</i>	36
<i>Niemiec demoniczny</i>	43
<i>Polski diabeł w niemieckiej postaci</i> . . .	54
<i>Niemiecka kuchnia</i>	65
<i>Docinki językowe</i>	71
Gdy ródził się żart	
Demon z uśmiechem blazna	93
Piosenki i żarty podczas okupacji	129
Dowcip w służbie konspiracyjnej	145
Zakończenie	165
Objaśnienia do ilustracji	191
	197

70134

Biblioteka Główna UMK



300001052652

Księgarnia Ludwika Florka
Warszawa, ul. Marszałkowska 50.